

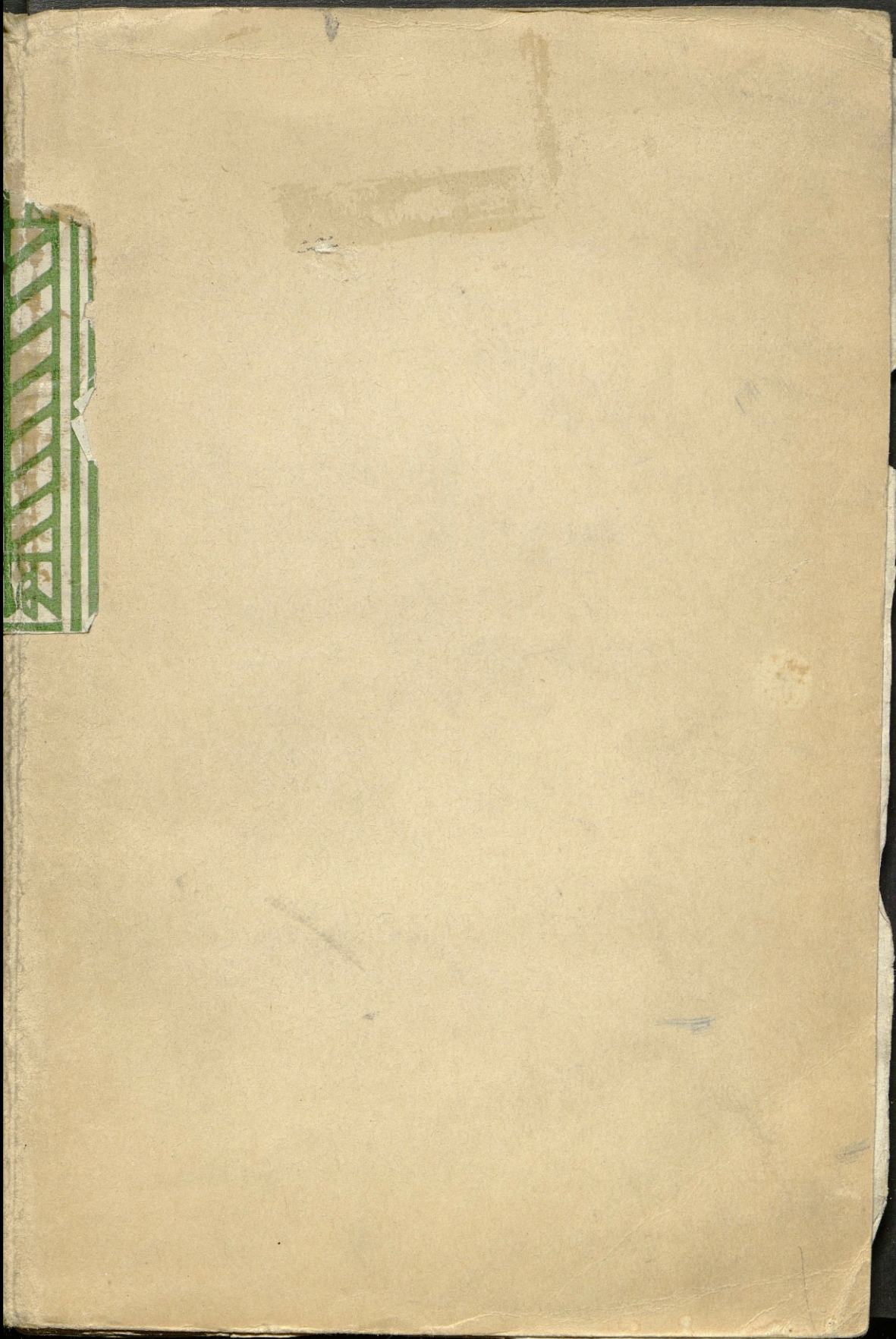


Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES-PICTA.COM



60,-
Z-

LISTY Z POD LWOWA.

PIERWSZE

TRZY GŁOSY,

KORNELA UJEJSKIEGO.

(PRZEDRUK Z DZIENNIKA LITERACKIEGO.)

LIPSK.

W KOMISIE KSIĘGARNI REINA.

1861.

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

Helena Szczepańska

Nr 3296

284

LISTY Z POWIATOW

1880

WYDZIAŁ



[Handwritten blue ink scribbles and lines]

BIBLIOTEKA SECFEPAKSIICH

[Handwritten blue ink scribbles]

PRZEDMOWA.

Uczułem potrzebę podać rodakom te pierwsze moje trzy głosy w osobnej broszurze, gdyż nad moje spodziewanie obudziły one wiele nieprzyjaźnych hałasów — a ja nie jestem sędzią, tylko publicznym oskarzycielem. Powiedziałem już raz kiedyś, że „powagi się nie daje, wyrabia się ona sama w sercu płomiennem i pokornem“; tytuł więc prokuratora narodu, który sobie przybrałem, wyrobił się w ciągu wielu lat sam w moim duchu.

Listy te są improwizacjami. Oszczędzając czas, tak mi potrzebny do podniesienia innych równie ważnych spraw — ogłaszam ten przedruk, czyniąc jedynie niezbędne poprawki. Czytelnik raczy mi więc wybaczyć niektóre ułomności stylu i niezupełne rozwinięcie niejednej myśli. Wiele rzeczy dotknąłem jedynie w tych trzech listach, a szerzej o nich niebawem pomówię.

Z pod Lwowa, 15 maja 1860 r.

AUTOR.

TREŚĆ.

- I. O ALBUMIE WILEŃSKIM.
 - II. O GROBACH SIENIAWSKICH W BRZEŻANACH.
 - III. O JANUSZU I O PANU WINCENTYM POLU.
-

Wykaz

- I. O. Albert W. K. K.
- II. O. Albert W. K. K.
- III. O. Albert W. K. K.

I.

O Albumie Wileńskiem.

Album Wileńskie.

O ALBUMIE WILEŃSKIEM.

22go kwietnia 1860 r.

Autor Z a p i s k ó w raczył mi ustąpić w Dzienniku Literackim na jakiś czas swego miejsca. Uznał on, że dwa głosy jednego tonu zbyt wiele się stają w dzienniku o tak szczupłych na goręciejszy czas rozmiarach. Z ręki jego z wdzięcznością przyjmuję młot, aby kuć dalej rozegrzane już jego pracą żelazo. Ufność moją pokładam w TYM, co rozpłomienionym sercom daje w razie potrzeby ramię silne, a bezbronnym ramionom miecz nagi i ostry — jeżeli Go o to proszą w pokorze i w płaczu.

A więc w imię Boga i dobrej sprawy — zaczynam.

Pisząc moje listy, w których często muszę uderzyć aby poruszyć, smagać aby później może uściskać — powtarzam sobie w duchu słowa Juljusza:

Jeżeli gryzę co, to sercem gryzę!

Ale dzisiaj niech serce spi i milczy, a jeżeli już ma się odezwać, to jak przez sen tylko, a niechaj grzmi jedynie potęga słowa. Bo oto postawię przed wami czterech winowajców, czterech wielkich zbrodniarzy, i postawię ich na pręgierzu, przeczytam oskarżenie, powtórzę

wyrok spadły już na ich głowy, oplwam zebraną śliną
wzgardy, i strącę w przepaść

Swobodniejsze dzienniki polskie w kraju i zagranicą
wydały już w tej sprawie krzyk swego oburzenia, potę-
piły ją stanowczo, potężnie i surowo. Do tego chóru chce
i ja mój głos przyłączyć, nie dla tego, aby miał być
silniejszym, ale aby ulżyć memu sercu.

Wiadomo już, z jakiego powodu Wilno obchodziło uro-
czyście dzień 6. i 7. września 1858 r. I o dziwne zrzą-
dzenie! Była to właśnie i rocznica szturm i wzięcia War-
szawy! Siostra litewska musiała ubrać się w kwiaty,
rozgorzeć światłem iluminacyjnem, uderzyć w hymny ra-
dości i błogosławieństwa, w rocznicę tych strasznych dni,
kiedy jej siostra Koronna zawodziła płaczem i tarzała się
we krwi. Czterech ludzi, noszących imię polskie, z któ-
rych jednego nazywano zasłużonym, a dwóch innych na-
ród otaczał miłością i dał im szerszą sławę — postanowi-
ło uświetnić te chwile trwałym w narodzie pomnikiem.
Wybrano więc najtrwalszy papier, niespożyty atrament,
orle może pióra — i przystąpiły do dzieła cztery wytarte,
spiżowe czoła — i napisano księgę

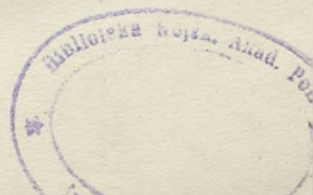
Antoni Edward Odyniec, poeta natchniony i religijny,
dał do tej księgi hymnu p. t. Przyjdź królestwo
Boże! W nim stawia on prawie na równi dwie władze
i potęgi: Boga na niebie, a cara na ziemi. Ale w tym
hymnie drugiemu tylko spiewa: 'Cześć i chwałę i try-
umf bez końca, bo on dawca pokoju i prawdy obrońca
i budownik królestwa Bożego.' Antoni Edward Odyniec,
poeta i Polak, radby więc jemu rozesłać świat cały pod

nogi; Antoni Edward Odyniec, autor Felicyty i katolik, radby więc całemu światu dać szymę; a w końcu rozmiłowany w przeszłości narodowej Antoni Edward Odyniec, autor Barbary Radziwiłłówniej, w niebo wznosi oczy promienne światłem natchnieniem i woła:

„A wy duchy Jagiellonów,
Rozradujcie się w wieczności,
Oto dziedzic waszych tronów,
Waszych myśli i miłości!“

Ignacy Chodźko, autor Obrazów i Podań Litewskich, tak ukochanych przez Litwę i Koronę, równie rozmiłowany pisarz w tradycjach narodowych, umiejący z nich stawiać posagi oblane życiem i światłem — dał do tej księgi rzecz prozą, p. t. Dzień 6. i 7. września roku 1858. W niej chwilę pobytu cara w Wilnie uważa jako «kartę wyjętą z księgi przeznaczeń... woła z pokorą uchyłając czoło: «Palec Boży tu jest!» ... wzywa Litwinów, aby «gościinę tę wickopomną w narodowe święto zamienili»; przed cudownym obrazem w Ostrej Bramie, z pod której niespełna lat temu sto, ubogi wileński mieszczanin strzelił z działa do Moskali, używszy żaru z fajki zamiast lontu, i wypłoszył ich z miasta — Ignacy Chodźko każe całej Litwie padać na kolana i słać «gorące, dziękczynne modły za niewysłowione łaski cara, który, rozdawając przebaczenie za błędy przeszłe, daje rękojmię szczęścia Litwy w dostojnych swych namiestnikach».

Trzeciemu z rządu, Mikołajowi Malinowskiemu, temu już język polski za ubogi do wypowiedzenia wzbierających się w łonie czarnych fal jego imperjo-patriotycznych uczuć.



Ten podał do księgi rzecz napisaną po francusku: *La Lithuanie depuis l'avènement au trône de Sa Majesté l'Empereur Alexandre II.* Mikołaj Malinowski, historyk i uczony wydawca kronik Strykowskiego i Wapowskiego, zapatruje się na losy swego narodu z wysokości historii, i objawia mu głębokie swoje pomysły. Według niego więc nigdy Litwa nie była szczęśliwszą, jak od wstąpienia na tron cesarza Alexandra II, gdyż przed tą błogosławiącą chwilą, sama ona była sobie winną, gdy skutkiem na zawsze opłakanych wypadków miała nieszczęście stracić zaufanie monarchy i zmusić rząd do surowych środków represyjnych, które przywiodły Litwę do ostatniej nędzy. Według Mikołaja Malinowskiego, już pod koniec panowania poprzedniego dawała się w Litwie przewidywać możliwość wyjścia z tego położenia wyjątkowego przez uległość i pospiech w spełnianiu wszelkich rozkazów władzy podczas wojny. Wspaniałomyślność nowego monarchy i jego podróż do Krymu, przyspieszyły tak gorąco pożądaną chwilę. Gdy jak tłumaczy Mikołaj Malinowski, Najjaśniejszy pan zwiedzając szpitale wojskowe, znalazł wielu synów prowincji zachodnich, okrytych szlachetnymi ranami w obronie ziemi cesarstwa. Zacni naczelnicy, jak tłumaczy Mikołaj Malinowski, dali im świadectwo męstwa i poświęcenia się zupełnego. Cesarz postrzegł, tak tłumaczy Mikołaj Malinowski, że generacja nowa, przejęta miłością ku jego osobie, gotowa jest przelewać swą krew dla okazania, że jej rodowość polska jest jedną więcej z przyczyn skłaniających ją do wierności poprzysiężonej sztandarowi i pełnienia obowiązków obywateli. Niezdolnych

do dalszej służby, opowiada dalej Mikołaj Malinowski, cesarz szczerze nagrodziwszy, odesłał na łono rodzin wielbić ojcowską dobroć i wysoką sprawiedliwość monarchy, który nie zwraca żadnego względu na różnicę narodowości swoich poddanych. Ci emisariusze nowego rodzaju, tak sądzi Mikołaj Malinowski, podnieśli do najwyższego stopnia miłość całej ludności dla osoby cesarza.

W końcu czwarty z tych apostołów, Adam Kirkor, a jak go dziennik paryski nazwał: woźnica tej powózki trzech litewskich magów, przyłączył do tej księgi artykuł w języku cywilizowanego świata i przyszłego królestwa Bożego: *Istoriostatistyczeskije oczerty grada Wilny.*

O tym furmanie rozpisywać się nie będę — trzasł raz z bicia, i tyle jego czynów; mało znany przedtem światu, spadł teraz między konie, i stratowały go już kopyta.

Nie wiem z kąd redakcja Dziennika Literackiego wyniosła wiadomość, iż na Album Wileńskie składali się oprócz czterech już wymienionych, jeszcze Wincenty Korotyński i jakiś z ukrytem nazwiskiem utajony żmudzki wierszokle-
ta. Dziennik paryski, zainformowany o ile się zdaje jak najlepiej, zacytował porządek czterech po sobie następujących artykułów, utworu czterech przez nas pod pręgierz wystawionych autorów — nie wspominając o żadnym Wincentym Korotyńskim ani o innym wierszoklecie ze Żmudzi. Kto rzuca tak straszne oskarżenie, powinien być oględniejszym. Domagamy się od redakcji Dziennika Lit., aby wykazała źródło, z kąd zaczerpnęła wiadomość o tych dwóch nowych imionach.*)

*) Dziennik Literacki wykazuje w tym samym numerze (N. 34) najpewniejsze w tym względzie źródło.

Dziennik paryski zbłądził, starając się po wykryciu tego haniebnego czynu prostować zdania czytelników w obszernej swojej protestacyi. Czyż może n. p. kapłan w długiem kazaniu rozwódzić się nad zgrozą matkobójstwa? Są rzeczy, które bliżej rozbierane i dotykane — najczystsze ręce poplamiają. Zbrodnia ta wymieniona, sama jak skorpion zabiła się już własnym jadem.

Co jest w tem wszystkiem najstraszniejszego, to same imiona winowajców. Odyńiec, Chodźko, Malinowski, byli znani i cenieni w kraju. Teraz dopiero po ich spełnionej zbrodni zaczęło się bliżej im przypatrywać, i teraz dopiero przypomniano sobie, że Mickiewicz, który żył kiedyś w zażyłości z Antonim Edwardem Odyńcem, nieraz powtarzał, iż się w jego piersiach nie mógł nigdy dostukać najmniejszego poczucia Polski; teraz dopiero wykryto, że młodzież polska, wiedzona wrodzonym instynktem dawno już jego Felicytę spaliła; a na koniec teraz dopiero krytyka zaczyna powątpiewać, czy Antoniego Edwarda Odyńca liczyć można w rzędzie poetów. Również teraz dopiero dowiedziano się o Ignacym Chodźce, że jest to szlachcic *à la* Rzewuski, którego uważał chłama za stworzenie skazane na wieczne poddaństwo, niezdolne żyć bez pana — lubił nawet nęcić się nad nim; teraz dopiero rozgłoszono, że Ignacy Chodźko, zasiadłszy w komitecie włościańskim, należał do najzaciętszych obrońców starego porządku i chciał z niego zachować jaknajwięcej. Również teraz dopiero spostrzeżono, że Mikołaj Malinowski należał do najszcześniejszych ludzi, którym jakiś przyjaźny rozgłos toruje drogi; że pierwaj nim złożył jakikolwiek dowód

uczoności, znany już był za głęboko uczonego i stał się sławnym pisarzem więcej przez to, co miał napisać, niż przez to co napisał; teraz dopiero zaczynają przebąkiwać o jego życiu prywatnem i oskarżać go o rzeczy przerażające. Nakoniec i o furmanie Adamie Kirkorze mówią i głoszą, że złe powołenie, to najmniejsza z jego wad — bo to także człowiek bez czci i sumienia.

Teraz więc dopiero wykryto grzechy tych dawnych grzeszników. Bo u nas stróżliwość opinii publicznej nie sięga po za życie publiczne człowieka, a dom prawdziwego obywatela kraju powinien być szklannym, jak go chciał mieć Robespierre.

Któż by się n. p. spodziewał, że obecnie w ostatnim numerze Tygodnika Ilustrowanego znajdzie czytelnik portret i życiorys Ignacego Chodźki. Czy rysownikowi już zabrakło twarzy ludzi zacnych, kiedy umieścił dla płochy ciekawości brzydką fizjonomię świeżego winowajcy? Ogłędny zaś autor życiorysu nie chciał, jak się sam wyraża „dotknąć jego życia obywatelskiego”. Spodziewam się, że nam redakcja Tygodnika Ilustrowanego nie odmówi w następnych numerach równie ciekawych fizjonomii i skreślenia pięknego życia Antoniego Edwarda Odyńca, Mikołaja Malinowskiego i Adama Kirkora; bo redakcja bierze rzecz artystycznie i dla podniesienia obrazu całości swego pisma stawia po światłach — cienie. Prosimy tylko, aby po umieszczeniu tych czterech portretów nastąpiła mała pauza, nim redakcja rozpocznie prowadzić dalej szereg twarzy pocziwych. Przypatrz no się czytelniku Tygodnika Ilustrowanego fizjonomii Ignacego Chodź-

ki: usta zaciśnione, twarz nabrzękła, ponura i zawzięta; z tego obrazu poznać, że to człowiek, co lubił się nęcić nad chamem; schwycił go na papier rysownik w tej chwili, kiedy stał Ignacy Chodźko przed rozłożonym chłopem na ziemi i kazał mu sypać baty.

Zdawałoby się, że po takim czynie taką zakończywszy koroną godne swoje żywota: Antoni Edward Odyniec, Ignacy Chodźko, Mikołaj Malinowski zamilkną już na zawsze. Gdzie tam! młodzieńcze są ich dusze, pomimo siwych włosów; nieznużeni walczą oni za świętą prawdę, pomimo lejącego się potu. Dotąd prowadzą zacięty bój o dobrą sprawę w Kurjerze Wileńskim, wydawanym ich staraniem i opieką po części w języku polskim a po części w rossyjskim, a furmanem tego pisma, to znany nam furman: Adam Kirkor; widać wylizał się z potłuczenia. A tymczasem Biblioteka Warszawska donosi: «Kurjer Wileński rozszerza coraz więcej swoje ramy, wszyscy znakomitsi i zasłużeni pisarze litewscy (Polacy) wspierają ten organ: Mikołaj Malinowski, A. E. Odyniec, Syrokomla, Ignacy Chodźko i wielu innych. Kurjer dobrze i starannie redagowany i t. d.» A ustęp ten z Biblioteki przedrukowuje dobroduszne Kółko Rodzinne bez żadnej ze swej strony uwagi!

Wykazał już niedawno autor Zapisków literackich jak po największej części ludzie zanurzający się wyłącznie po artystowsku w przeszłości narodowej, tracą stopniowo wiarę w terażniejszość i zmysł na sprawy bieżące. Bo to bezduszni artyści i kosmopolici; krew i żyły dziejowe służą im tylko za farby do obrazów, za które im księgarze

dobrze płacą. O Chrystusową szatę narodu grają w kości te żołdaki, a zysk przepiją i przebulają. Nie mniej więc rzeczą straszną jest to, że ludzie noszący ciągle Boga na ustach, szermujący ciągle słowem za wiarę, wytykający z odwagą kapłańską cudze błędy i grzechy, zapoznają po największej części swój naród, stają się urągaczami z jego boleści, zaprzahcami jego nadziei. Bo oto Antoni Edward Odyniec nosi zapewne szkaplerze, modli i bije się w piersi, tarza siwe swe włosy na posadzce kościołów, a wobec narodu każdy ten jego włos stanął węzłem, co syknął bluźnierstwem i trysnął jadem. Bo oto Ignacy Chodźko w swoich pismach taki prosty, szczerzy i pobożny; w jednej z swoich powiastek rozczuła się nawet nad czynem pewnej wsi chłopów, którzy własnego pana z rąk wierzycieli wykupili; a teraz nieszczęśliwy zamiera w boleści po niedawnej stracie jedyne go dziecka i drukuje już same modlitwy po gazetach warszawskich — a równocześnie o ohydo! deptałeś własnymi nogami po grobie matki, gdyś zasłyszał z pod ziemi wydobywający się jęk, jęk tej świętej w długim letargu leżącej!

Te nowe imiona Antoniego Edwarda Odyńca i Ignacego Chodźki łączą się do dawniejszych, należących do ludzi równie pobożnych: Michała Grabowskiego i Henryka Rzewuskiego.

Płakać się chce, gdyby nie uśmiech tej wiary, co jak powiada autor Pieśni o ziemi naszej: i w ogniu się nie mieni. A więc z pogodą na czole powtórzmy słowa Antoniego Edwarda Odyńca: Starszy Bóg, niż

Bambiza! I dodajmy: Większy naród, niż Antoni Edward Odyniec i Ignacy Chodźko.

Kiedys staną na ziemi naszej dwie piramidy. Jedna biała ze złotym katalogiem imion tych z jej dzieci co marli w tęsknocie i poświęceniu, jedząc długi czas po dantejsku gorzki chleb dobrowolnego wygnania i deptając cudze schody; i tych co zmarli w kopalniach Syberii lub zginęli w zamieci jej śniegów, i tych co na własnej ziemi cierpieli krwawo i boleśnie, głośno czy mileząco. A druga piramida będzie czarna, i przywloką się do niej żołnierze ranni, i ciekącą krwią własną wypiszą na niej imiona zdrajców na wieczną ich hańbę i potępienie.

O ty matko święta, pełna przebaczenia i miłosierdzia, przeciwko której najwięcej grzeszono, boś zawsze najłatwiej przebaczała — tyś gotowa rozplakać się nad tym pomnikiem niesławy swych dzieci, i gotowaś własnymi łzami zmyć krwawe ich imiona. Uczynisz to zapewne i przebaczysz... ale my żyjący nie przebaczymy!!

I cóż robić, i cóż radzić teraz czterem tym potępieńcom? Oto niech te cztery ciała rozłożą się krzyżem przed Najświętszą Panną w Ostrej Bramie, i niech zaklinają lud przechodni, aby deptał ich nogami. Błoto pozostałe na nich z nóg tego ludu, wybieli może ich czarne dusze, przykryje śniegiem ich zbrodnie, a ta ich skrucza i pokuta, połączona z miłosierdziem Bożem, może im dać na ojczystej ziemi przynajmniej grób cichy.



II.

O grobach Sieniawskich w Brzeżanach.

O grobach Stenizwskich w Bixeznach

O GROBACH SIENIAWSKICH W BRZEŻANACH.

24go kwietnia 1860 r.

Miłość jest cierpliwą; hamująca się własną wolą siła staje się potężniejszą. Z tem co dziś wypowiem, nosiłem się przez lat sześć: Kochałem, wierzyłem — więc czekałem. Podziemne groby w Memfis rabowane czy arabowane przez Arabów, anglikowane przez Anglików, w niewiększej są poniewierce od grobów Sieniawskich w Brzeżanach. Zawsze łękliwa ręka opinii publicznej nie dotykała prawie nigdy tej struny z bolesnej naszej harfy narodowej. Czasem ją tylko trąciło tchnienie niewidzialnego ducha, co unosi się nad naszym krajem — a wtedy jedynie jęknęła ta struna, skarząc się cicho i żałośnie. Kraj tego jęku prawie nie słyszał, ale go słyszało sumienie winne, i zaraz ktoś w publicznych pismach donosił, że kaplica grobów Sieniawskich ma być wkrótce do dawnej świetności przywróconą, a straż nad pomnikami i kośćmi ma być oddaną napowrót Siostrze miłosierdzia, jak to uczyniła marszałkowa Lubomirska, jedna z ostatnich właścicieli Brzeżan. Kochałem, wierzyłem — więc czekałem.

Aż oto teraz dowiaduję się z najpewniejszego źródła,

o które zawsze starać się jest temu obowiązkiem, kto postanowił z bezwzględną odwagą i surowością podnosić publiczne oskarżenia — iż o restaurowaniu kaplicy zamkowej Sieniawskich nikt nie marzy, a opowiadają, czemu już nawet wierzyć niepodobna, że jest zamiysł obdarcia ją z żebraczych jej łachmanów, aby niemi ustroić nie jak powiedziałem w Dzienniku Literackim pałacową podręczną kapliczkę, ale ogród angielski w Raju. A więc teraz czas — i grzmij głosie!

Jestem najgłębszego przekonania, iż właściciel Brzeżan pomimo że niezawodnie posiada dzieło Niesieckiego w swej bibliotece, nie miał odwagi czytać w niem rodowodu Sieniawskich. Ja mu opowiem czem byli Sieniawscy — a to słowami Niesieckiego. Dla treściwości zmuszonym będę opuszczać co chwila mnóstwo najpiękniejszych z ich żywotów rysów; podniosę jedynie to, co było szczegółową missją tej wielkiej rodziny, t. j. ciągłego bronienia i zasłaniania polskiej Rusi przed napadami barbarzyńskiej dzicy. Sieniawscy spełniali to boże, dane im polecenie po największej części własnym zachodem i nakładem — i stali się żywą tarczą tej nieszczęśliwej Polski prowincji.

Sieniawscy zwali się dawniej Granowskimi. Rafał syn Dymitra Granowskiego, kasztelana nakielskiego, gdy na Rusi przeciwko Tatarom długo i odważnie stawa, pojąwszy dziedziczkę na Sieniawie, tamże osiadłszy, pierwszy się od tych dóbr Sieniawskim zwać począł.

Alexander i Prokop; tych rycerska odwaga szczególnie wydała się, gdy w r. 1519 Tatarów w ruskie kraje dla zdobytcy zapędzonych, nie na jednym miejscu i z życia

i z plonu wyzuli, a w r. 1524 Turków od Rohatyna odpędzili.

Mikołaj wojewoda ruski, hetman wielki koronny; temu i braci jego województwo ruskie całość swoją powinno, którego od napadów tatarskich mężnie zawsze bronili; toż nagrobek jego w Brzeżanach tak o nim mówi (czyli mówił): «Pod jego strażą była Ruś szczęśliwa, i od wszelkich wrogów zewsząd bezpieczna.» Dwanaście bitew zwycięsko wygrał, więzienie dla ojczyzny cierpiał, i nieraz rany niebezpieczne z harców wynosił; swoim kosztem strzegąc granicy polskiej i puste kraje osadzając, zasłużył się ojczyźnie. Umarł w Lublinie w r. 1569; ciało jego gdy z Lublina do Brzeżan wyprowadzano, Zygmunt August, zawdzięczając jego ku sobie i Polsce zasługi, ze wszystkim przytomnym senatem pieszo aż za miasto z wielkim żalem swoim prowadząc, uczcił. Spoczął w Brzeżanach... czy spoczął? niech odpowie właściciel Brzeżan!

Syn jego Mikołaj kasztelan kamieniecki, hetman polny koronny, gorącej zawsze na rozszerzenie i obronę ojczyzny miłości; godnością i cnotą ojcu swemu wyrównał, szczęściem przewyższył.

Drugi syn Mikołaja, hetmana w. k. — Rafał, kasztelan kamieniecki, widziany był przez ojczyznę jako mężnie wojujący regimentarz w boju, słyszany na sejmach jako głosujący na dobro Rzeczypospolitej; zgoła ręką i głową wolności bronił.

Hieronim, wojewoda ruski, syn najstarszy Mikołaja hetmana wielkiego koronnego. Gdy podczas bezkrólewia

w Polsce ciężkie postrachy w r. 1576 na ruskie kraje były, dla gwałtownej potrzeby, od rycerstwa województwa ruskiego zgodnemi głosami lubo niepraktykowanym sposobem krzesło województwa ruskiego miał ofiarowane. Wyzuł się z śmiertelności w r. 1579; pochowany w Brzeżanach... i sądził że tam znajdzie spoczynek!

Syn jego Adam Hieronim, podczaszy koronny, pamiętny krwi nieprzyjacielskiej również i swojej za całość ojczyzny rozlewca. Tatarów kilka razy własnym swym ludem z granic polskich wypędził, a żadnego honoru albo senatorskiego krzesła, lubo się do niego cisnęły, przyjąć za młodu nie chciał, mówiąc, że honor powinien być płacą zasług a nie zachęceniem do nich.

Mikołaj, podczaszy koronny, z cudzych krajów do ojczyzny powróciwszy, zaraz się z rodzonym swym bratem Prokopem pod Chocim wyprawił; później złe zdrowie i ustawiczna prawie choroba do dalszych czynów tamę mu kładły. Przecież i przeciwko Tatarom pod Haliczem i pod Glinianami męstwa swego nie małe dał dowody. Pawła Grodzickiego na wywieszenie w wojennym kunszcie swoim kosztem do Belgji wysłał; jakoż był ten Grodzicki potem w Polsce jenerałem artylerji koronnej. Dziedziczną swoją majątność Brzeżany ufortyfikował i kościół farny na grób przeznaczonych przodków swoich wystawił.

Prokop, chorąży koronny, przeciwko Kantemirowi basky z Tatarami na Ruś wpadającemu, znaczny kontyngent ludzi hetmanom do boju sprowadził, a przeciwko Machmet-Sarejowi Chanowi, lubo go natenczas febra trzęsła, do wojska przybył i do bitwy stanął.

Hieronim Adam, pisarz polny koronny, pod Korsuniem wraz z hetmanami do niewoli zabrany. Tohajbek Perekopski którego został jeńcem, zdrowo i bez żadnego okupu do ojczyzny go puścił, spowodowany okolicznością, że i ojciec tegoż Sieniawskiego mając go u siebie w niewoli, darmo i wolno do Krymu mu wrócić pozwolił^{*)}. Tohajbek za wzięte dobro odpłacił dobrem; ale to Tatar!

Mikołaj Hieronim, wojewoda wołyński, hetman polny koronny, ze swoim ludem pod Podhajcami, Brzeżanami, Szaranczukami, Jezupolem, Czernelicą przeciw Tatarom i Kozakom szczęśliwie i zwycięzko wojował. Pod Chocimem do zwycięstwa przyczynił się znacznie. Międzyboż, własne swe dobra poświęcając potrzebie Rzeczypospolitej, przez pakta ustąpił Turkom. Brzeżany lepiej ufortyfikował, tamże kościół i konwent OO. Bernardynom wystawił.

Adam Mikołaj, kasztelan krakowski, hetman wielki koronny. Szwedom pod Kaliszem i na innych miejscach tak siły przytarł, że ojczyznę z ostatniej toni wyratował. Chwałę domu Sieniawskich, przez trzy wieki niezachwianie trwającą, zakończył na sobie. I napisano jest, iż także w Brzeżanach — spoczął!

A teraz wam opiszę moje kalwaryjne stapania po kaplicy i grobowych podziemiach.

Przed sześciu laty byłem w Brzeżanach; przyjaciel tam mieszkający natenczas, ułatwił mi te srogie odwiedziny. Ktoś dzierżył klucze od kaplicy; posłano więc po niego,

^{*)} Zacytowany przez Niesieckiego jako źródło tej wiadomości Kochowski zawiera tylko fakt w sposób powyżej opisany. Dla tego dodatki Niesieckiego opuszczamy.

z biedą go wyszukano. Przyszedł i w zardzewiałym zamku długo kręcił, zanim się drzwi otwały. Kaplica pusta, obdarta, pełna śmiecia i brudu, a w niej gdzieniegdzie różne narzędzia gospodarskie, ustawione — porządnie. I była ta kaplica jak trumna rozbita ręką nocnego spekulanty, co zapomniał przy niej, wygrzebujący ją z uświęconej ziemi — rydel. Przy nagich ścianach nagrobki Sieniawskich. Kuli je Włosi w drogocennym marmurze; sprowadzała je pobożna ręka pozostałych dzieci po ojcach zmarłych; napisami ze złotych liter spisała na nich pamięć narodowa zasługi swych synów — a teraz te marmury kruszą się i walą, bo nie stało już pobożnej ręki dziecka, a złote litery wydarła zbójcecka ręka... i zatarły się ślady zasług Sieniawskich w Brzeżanach — ale w narodzie żyją!

O, za wesołe wydało mi się słońce! I zawołałem: Puść mnie do grobów, stróżu tej rozbitej piramidy, niechaj się oprę o trumnę hetmańską i zapłacze. I oto po wynalezionej z trudem drabince spuściłem się sam do dołu; przyjaciel i stróż kapliczny zostali na górze, stojąc nad otworem. Ciemność katakumby rozjaśniała się powoli, ale jam nie wierzył, jam nie chciałem wierzyć, że te promienie idą od słońca Bożego. I sądziłem, że to sztydzący ze mnie szatan rzucił koło mnie kilka swych blasków, aby mi obłędem zatumanity oczy. Trumny z grubej, lanej cyny, na każdej z nich leżąca spiąca postać z tego samego metalu, takie same jak te na górze wykute z marmuru. Kilka rozważonych wiek popatrzyło na mnie świętokradzkim swym otworem, jak boleśna, otwarta rana. Dług musiał być gruby i żelazny, ręka silna, czas

potemu dłuższy, zanim potrafiąno rozedrzeć te kruszcowe piersi. W kącie, w najdalszym zmroku grobowca, zaświeciły mi pożółkniałe kości wśród brudnego śmiecia: to wyrzucone kości z trumny. Dziękowałem Bogu, że nie miałem świadka, że mi pozwolił cierpieć samotnie. Stałem się podobny do jednej z tych kruszcowych postaci co na trumnach. I zbudziła mnie ze strasznego, długiego milczenia myśl nagła. I przez otwór włożyłem rękę do trumny, i tą ręką, z której każdego palca lży ciekły, szukałem za pozostałą głową rozbitego szkieletu. Chciałem ją przynajmniej ocalić od przyszłej zniewagi, ją, co niegdyś żyła myślą dla swego umiłowanego kraju; ją, co stworzyła plan do fortecy mającej go zasłaniać i bronić; ją, co nie przeczuwała, że nie obroni trumny, ostatniego swego schowku. I znalazłem ją, i wydobyłem, i popatrzała na mnie, i rozplakała się w mym ręku. I rzekłem do niej: Wezmę cię z sobą i dam cześć i spoczynek u wezgłowa Joźa mego, albo jeżeli zechcesz ciemniejszego ukrycia, to w cichej, świętej ziemi.

Stróż kapliczny stał schylony nad otworem, śledząc moje ruchy; przyjaciel mój odszedł w głąb kaplicy. Szepnąłem do stróża: Dam za tę głowę dukata, bo niemał więcej. O serca wielkie! co bijecie teraz liczniej pod łachmanem, niż gdzieindziej! On mnie nie zrozumiał! I odrzekł w błogosławionej prostocie: Panie, kości się nie sprzedają! Ostatni z Sieniawskich, pan mnogich włości, stróż ducha narodowego i obrońca ludu, znalazł żal i litość w nieznanym poecie i w ubogim stróżniku swych znieważonych kości — człowieku z ludu!

Co jest najboleśniej, to to, że olbrzymie majątki Sieniawskich nie rozbiły się po wymarciu tej rodziny na drobne własności nowych nabywców, ale w całości prawie przeszły spadkiem do rąk dzisiejszych ich posiadaczy. Pozostała po hetmanie, ostatnim z swego rodu, jedyna córka Zofia, wszedłszy w powtórne śluby z Augustem Czartoryskim, wojewodą ruskim, złała w dom mężowski obszerne dobra, a Stanisław Lubomirski, marszałek w. k., pojawiający ich córkę Elżbietę za żonę, otrzymał w posagu Brzeżany. Rodzina zaś dzisiejszego ich właściciela wzięła je w spadku po Lubomirskich.

Niepoprawione, nieodpokutowane zbrodnie nie powinny znaleźć przebaczenia w dziejach narodowych. Nie mnie nie ustraszy przed najgłośniejszym powiedzeniem: że przedostatnim posiadaczem Brzeżan był Alexander Potocki, pan Willanowa i innych dóbr bez końca. Za jego to czasów i rządów popełniono na kościach Sieniawskich takie przerażające świętokradztwo. Wynajęto kaplicę na skład wódki żydom! a równocześnie dobyto się do grobowca, porozbijano trumny dla wyszukania w nich i zrabowania ostatnich własności spoczywających kości. Więc karabele, więc spinki, więc złote i klejnotami dziane guzy u kontuszów, więc sygnety herbowe, więc srebrne podkówki nawet — złupiono, wydarto, sprzedano!

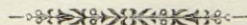
Jakże mam zakończyć ten grzmot burzy, czy łamiącym i gruchocącym wszystko piorunem?... Nie! tęczę i pojednaniem!

Gdybym chciał być srogim, tobym powiedział: Proszę w imieniu kraju konserwatora archeologicznego, przez

rząd ustanowionego na obwód brzeżański, aby przypomniawszy sobie swoje obowiązki, postarał się o to, by walające się w śmieciach kości Sieniawskich złożono z uczczeniem na prostą najętą furę, i wywieziono je na cmentarz miejscowy; aby tam ugodzono grobarza, wykopano dół, i dano im ten spoczynek, jaki osiąga najędźniejszy z żebraków brzeżańskich.

Gdybym chciał być sroższym, tobym przypomniał dzisiejszemu właścicielowi Brzeżan straszną ruską pieśń ludową, o wojewódzkim synu, i powiedziałbym, że do tej pieśni sam dorobię dalsze strofy, które równie w lud utoną i zostaną na jego ustach na wieki.

Ale nie! Wszyscyśmy długi czas grzeszyli, przebaczymy sobie wspólnie wszystkie błędy, które się jeszcze poprawić dadzą. Odzywam się do serca, co bije jeszcze czasami po polsku. Kończę i ufam, że wkrótce w odnowionej kaplicy brzeżańskiej zaintonujemy hymn: Bądź pochwalony Boże ojców, a po skończonej uroczystości spełnimy w Raju toast za zdrowie, szczęście i powodzenie nieodrodnego wnuka hetmanów.



III.

O Januszu i o panu Wincentym Polu.

III.

O Januszu i o panu Wincentym Polu.

O JANUSZU I O PANU WINCENTYM POLU.

28go kwietnia 1860 r.

I.

Uderzyłem na alarm. Podnieść naprzód chciałem trzy krzyki przeciwko trzem najstraszniejszym grzechom, dotąd lekliwie dotykanym, a od dawna już jak trzy bezmiłosierne miecze świdrującym serce narodu. Pierwszy mój krzyk był przeciw bezczelnym zdrajcom, co otuleni płaszczem łałtwo u nas zdobywającej się powagi, każą narodowi wierzyć, że to krzyżacka suknia ukrytego Walenroda, i prowadzą go drogą oczywistej przeciw niemu zdrady i najjawniejszego odstępstwa — ni to drogą zbawienia. Drugi mój krzyk powstał przeciw bezdusznej arystokracji, która krwawą pracą swych przodków dierząc imię, znaczenie i majątki, zapiera się całej swej przeszłości, szarga swoje imię i obchodzi się z odebranymi spadkiem dostatkami lekkomyślnie albo samolubnie, jak z zdobytym łupem w koszu tatarskim — a równocześnie skazuje na przerażającą poniewierkę kości własnych swoich przodków i dawców swego mienia. Trzeci mój krzyk a najgłośniejszy, wstrzymany na chwilę nie z mojej winy, a który powinien był nastąpić zaraz po dwóch pierwszych jako trze-

cie uderzenie młota — wymierzyłem przeciw apostazji kapłańskiej mnóstwa naszych pisarzy, którzy swoim stanowiskiem stawali się jedynymi reprezentantami siły i ducha narodowego — a którego grzechu najważniejszym dla mnie przedstawicielem wydał mi się Wincenty Pol, ze względu na swoją, tak pięknie i cudownie cechującą go przeszłość, i z powodu tej ślepej ufności, jaką w upadku już będąc wzbudzał, i dotąd jeszcze, chociaż w ciasniejszych granicach, wzbudza.

Pan Wincenty Pol ma jednak wielką powagę w kraju; po Mickiewiczu żaden z pisarzy nie liczył tyle co on wielbicieli, nie cieszył się tak ogólną miłością. Wiele z pieśni Janusza drżało na ustach niepiśmiennych szeregowców wielkiej armii, rozpałały ich i prowadziły do boju, a miłość dla Wincentego Pola nie tylko że była szczodłą, ale tak dziecięco ślepą i ufającą, że mu w czasach jego apostazji z największą łatwością nie tylko przebaczano ale uniewinniano go — gdy tymczasem kłęto, podejrzewano i szarpano olbrzymiego orła Adama, którego potężne loty unosiły nieraz po nad donośność słabych ócz ludzkich.

Pan Wincenty Pol ma siłę i znaczenie całej armii; długi czas był jak klucz żórawi, zwiastujący wiosnę, później stał się jak ćma szarańczy, niszcząca plony, pracą całego narodu wydobyte z roli, krwią użyznionej, łzami pokropionej; a była tam krew i łzy samego niszczyciela. Sam Bóg osądzi co więcej zaważy: czy jego dobre czy złe czyny. Do tej armii strzelano kiedy niekiedy z puka-wki, a przeciwko niej potrzeba całej dział baterji: miłości

co karze, rozpaczy co gruchoce, goryczy co żre, bolu co płacze ognistemi łzami.

Dzienniki najbardziej winne; one mające prawo być ideą jedynie, z własnej woli stają się po największej części osobami. Z za każdego arkusza takich dzienników przeziara — redaktor, człowiek spekulacji, albo próżności, albo osobistych widoków. Żaden z nich nie kocha kraju, każdy kocha siebie. Spekulant sprzedaje to, co popłaca; próżny lęka się drasnąć cudzą miłość własną aby jego nie draśnięto; samolub dąży przedewszystkiem do własnego wyniesienia. I tak dziennik zamiast być bojowym żołnierzem, stojącym na wedecie, staje się markietanką w kasarni, którą, dopokąd ma wiktuały świeże i nie złe, zowią niezłą kobieciną, a gdy się one wyczerpną lub spowszednieją — nazwą ją nierządnicą. Na powagę pana Wincentego Pola nikt się targnąć nie śmiał, chociaż grzeszy od dawna. Jeden Dziennik literacki czasem odezwał się bezstronnie i surowiej, ale wnet krzyknięto: że to znana złośliwość redaktora, że to osobistość. Dwie tylko być powinno powagi: Bóg i Naród! A i naród stracić ją może, jeśli błądzi. Ludzie grzeszą; na wyżynach maci im się w głowie. Nieraz powaga jest jak kostium błyszczący, co kryje gnijącego trupa; kostium obłany perfumami, ale ze środka wieje dżuma. I dla tego mądrzy Grecy z nieufną stróżliwością otaczali ludzi wielkiej sławy, i często skazywali ich na wygnanie — z obawy jedynie. U nas każda powaga jest nietykalną świętością.

Jak mówiłem, pan Wincenty Pol grzeszył już od da-

wna — a nie znalazły się usta, coby mu to wręcz i z odsłoniętą przyłbicą wypowiedziały. Na dowód fakt drobny:

Właśnie temu miesiącu, kiedy w Kółku rodzinnem pojawiły się wyjątki z Teki lwowskiej pana Wincentego Pola, oznaczone cyfrą W. P. — Miała się w nich zawierać charakterystyka najpierwszych naszych poetów, pozornie wyprowadzona z odebranych wrażeń przy rozpatrywaniu się w ich portretach. Między innymi wydał także autor swój sąd o Teofilu Lenartowiczu. Sąd ten miał twarz podwójną: pod pokostową maską słów brzmiałych, wrzkomo życzliwych i bezstronnych, przezierало zachmurzone czoło zawistnego nieprzyjaciela i uśmiech jego szydery. Ze stylu niejasnego, z wyrazów tęczujących się przed oczyma jak bańki z mydła, a które zostawiają po rozprysnięciu jedną mętną kroplę, nic więcej — nareszcie z położonej na czele cyfry, poznano od razu autora. Krzyk oburzenia stał się ogólnym; opinja położyła swój protest po swojemu, t. j. krzyczała gdzie można było głośniej, szeptała gdzie potrzebna ciszej, lekliwą ręką rzuciła swoją protestację przed dom autora — i uciekła w konopie. A tymczasem szereg wielbicieli pana Wincentego Pola otoczył go jak mur z bawełny, aby doń niedopuszczyć karzącego głosu. W pismach czasowych, reprezentantach opinji publicznej — cisza, jak zwykle. Ktoś ruszył szatańskim konceptem i inseratem w Przeglądzie Powszechnym zacytował cały ustęp o Lenartowiczu, i wyznaczył 5000 dukatów nagrody temu, co w nim wynajdzie logikę; feljetonista Czasu mile powitawszy ustępy Stryjanki Wincentego Pola, bardzo sprawiedliwie i dosadnie

skrytykował Tekę Iwowską, a udał dowcipnie, iż nie domyśla się autora. Ja nie będąc dowcipnym, domyślałem się, iż autorem artykułu w feljetonie Czasu jest pan Siemieński, pomimo iż nie położył nawet swoich cyfer. Tyle tylko okazano odwagi; strzelono z za parawanu — prochem tylko; a pan Wincenty Pol śmiał się i pokpiwywał: Bili mnie dzieckiem, bili patry w szkole, a teraz na starość krytycy biją. A! a! omal nie zapomniałem: Pan Zacharjasiewicz, jeden z redaktorów Kółka rodzinnego, który niedawno poświęcił Lenartowiczowi dwie swoich powiastek, a jeszcze świeżej pisał do niego, zapraszając na współpracownika Kółka — umieszcza zaraz w pierwszych numerach swego rozpoczętego pisma artykułik, potępiający Lenartowicza, i uczynił to niezawodnie bez złej woli, ale z braku taktu, z braku odwagi, olśniony powagą pana Wincentego Pola. Bo powaga pana Wincentego Pola większa niż powaga Lenartowicza — a więc pokłonmy się pierwszej, a obrzućmy drugą błotem.

Niechaj padnie co paść musi,

Byle człek się nie obwinił!

Tak śpiewał autor Pieśni o ziemi naszej, i z tem godłem przystępuję do ocenienia jego cnót i grzechów. Nazwał on mnie kiedyś Benjaminem, wie że miłości pełen. On sobie przypomniał, że te usta, które go potępia, kładły się w rozczuleniu po synowsku na rękę jego, dziękując za słowo piękne i wzniosłe. Przed rozpoczęciem tego artykułu modliłem się długo, prosząc Boga o natchnienie. Gorycz moja, to tylko spotęgowana miłość.

Precz czarne chmury ze wstęgami piorunów w łonie —
wróćcie, kiedy was przywołam! — Teraz świeć mi słoń-
ce! Z czystego nieba rzucaj światło swoje na ten piękny
posąg, który postawię na piedestalu!

II.

Postać Janusza to cały poemat! Opowiem go po
większej części jego własnymi słowami. Słuchajcie!

Z rodziny obcego rodu, ale od dawna zamieszkałej w
Polsce, z matki polki, urodziło się na naszej ziemi dzie-
cię, co miało kiedyś ją ośpiewać. I wszystko sprzyjało
rozwinęciu się posłannictwa tego dziecka. Na kępie oto-
czonej wodą stał stary dworzec modrzewiowy, zapełniały
ją sady i ogrody, a za wodą toczyły się łąki i ciemnia-
ły lasy. Za sadem między lipami był futer i pasieka. Do
tej pasieki biegało często to dziecko, o szerokiem pogo-
dnem czole i o jasnym błyszczącym oku; bo w tej pa-
siece miał przyszły Janusz przyjaciela: to stary pasiecznik
jego rodziców. On go uczył szepić drzewa i zioła po-
znawać, i uczył go proroczo, co i jak zbierać i siał się
powinno, i tłumaczył mu życie i czyny miododajnej pszczo-
ły. I tak często, słuchając tych nauk, podczas gdy we-
soło grały pszczoły, usypiało dziecko na ręku pasieczni-
ka. I tak nauczyło się dziecko w swej prostocie i poko-
rze wielbić łaskę i miłosierdzie Boga, co dał tej ziemi
takie łąki, takie gaje i owoce i strumienie, i człowieka
o gorącym sercu, a z łagodną choć nieraz cierpiąco
uśmiechniętą twarzą. I tym sposobem nawiązała się w
sercu tego dziecięcia, co później miało się stać głośną i

brzmiącą harfą, pierwsza jej struna: miłość ojczystej ziemi!

W starym zamku króla Jana był pokój; wschodzące słońce oblewało go pierwszym swym promieniem. W kąciku stał stolczyk, na nim skrypta i książek parę; a w innym kąciku łóżeczko, nad nim relikwiarzyk, a obok niego krzesło duże staroświeckie, na którym dawniej siedywał może jaki senator. A w samym rogu był wielki komin marmurowy, co płonął nocą i rzucał swój blask na śpiące dziecko; nad tym kominem stała postać hetmana o surowej twarzy; jednego z tych co ojczyznę zlecali Bogu. A w środku pokoju stół duży, a na stole krucyfiks strojny w kwiaty. Do tej celi przychodził ksiądz bazyłjan, starzec siwy, a mentor dziecka, i uczył przyszłego Janusza dziejów Polski i Pisma świętego, i dohartowywał go jeszcze Plutarchem. I często tonął ich wzrok to w twarzy hetmańskiej, to w twarzy Chrystusa Pana. A gdy przyszło bazyłjanowi opowiadać czasy bliższe, to już z relikwiarza ócz nie odejmywał i długo potem nie nie mówił, tylko stał milczący i rzucał rękę na powietrze, błogosławiąc. A dziecko padało staremu księdzu do nóg i płakało. I zawiązała się w sercu tego dziecka druga struna: miłość Boga i narodu!

Po takim dniu, spędzonym na nauce, ksiądz wracał do klasztoru, a dziecko zostawało już same z kozakiem; co mu dany był do usługi. Z Ukrainy on był rodem i tęsknił po niej jak za rajem, bo go z nią wiązała pieśń wiejąca od Dniepru i Dunaju. W zamku nazywano tego kozaka Sokołem, bo miał sokole oko, harde czoło, i ja-

kieś dziwne serce nosił w piersi tak, że nie dziwowało-
by nikogo, gdyby go ujrzano stojącego na czele rycer-
skiej swej braci, jako jej hetmana i przewodnika. Na
ustach miał on zawsze słów nie wiele, ale wiele treści
w oku i w ruchach, a w sercu jakiś ból tajemniczy,
jakąś rozpacz piękną. A ten drugi nauczyciel rozgrzewał
serce przyszłego Janusza i układał go do konia, a wie-
czorem śpiewał dumy, a często i noc zesłała na opowia-
daniu gadek. I zawiązała się trzecia struna w sercu dzie-
cka: miłość ludu!

III.

Małe chłopię po raz pierwszy wyprawiono w świat,
bogate już temi trzema strunami, drgającemi mu w du-
szy. I po smutnych dniach podróży przywieziono dziecko
do miasteczka: tam kościół i klasztor, a poniżej staw
wielki jak jezioro. Piękny był widok z tej nowej celi, w
której dziecko zamieszkało: przedmiejskie ogródki, dwo-
reczki, a między łąkami i zbożami płynęły ścieżki i dro-
gi; z drugiej zaś strony staw i rzeka, na których jak ła-
będź pławiła się łódka czasami; a w oddali dąbrowa, i
z niej dolatywało nieraz proroczo do ucha dziecka: rze-
nie konia i strzał gdzieś padający. Na ten staw wycho-
dził często syn pieśni z książką w rękę, a gdy zmierz-
chać poczynało, siadał nad brzegiem i puszczał swe my-
śli na bieżące fale. Raz, gdy siedział w zadumaniu, usły-
szał głos nieznany, co jakby z głębi wód doń dobieżał.
A był to głos zły, choć na pozór ostrzegający, bo mó-
wił: „Ostrożnie z głębią paniezu, bo nie dobrze jest pa-

trzyć w głębie! tam topielec bywa, co wam wprzód serce wyziębi, a potem oślepi i omami i wciągnie was do toni. •Kto tam?• zapytał młody Janusz, a wtem z ciemni jeziora pomknęła łódź do brzegu, i jakiś człowiek stanął przed nim. Serce chłopięcia zimna zdjęła trwoga, ale że go ten człowiek powitał; Bądź pochwalony, zatrwożenie w lot przeminęło, i pacholę wciągnięone jakimś urokiem skoczyło w łódkę nieznanego. Śliczną była ta nocna jazda! Gwiazdy w górze, gwiazdy w dole a śród fal spią ryby ciche, na ciemne wód zwierciadło rzuciła mgła swe warkocze; gdy łódź pomykająca przez szuwary żywiej się zakołysała, to przerwała się nocna cisza dzikich ptasząt sennem gwarzeniem. Młody Janusz kazał rybakowi na swe szczęście sieć rzucić i oto połów ryby nader wypadł szczęśliwie! I urosło serce w piersiach jego, widząc że ma władzę dobrego zaklęcia, które biednemu szczęście przyniosło. Więc często potem biegł w tę drogę szczęśliwy że się komuś mógł przydać, i stał się skarbem dla ubogiego rybaka, bo za każdą jego bytnością połów się udawał. Te chwile i te tajemnicze nocy dotąd autor Pieśni o ziemi naszej do cudów liczy. A były to chwile, w których głos złej pokusy po raz pierwszy zachwiał jego silną wiarą, co nie tylko pozwala ale nawet każe w każdą głębie patrzeć, a w których on okazawszy swoją niezłamaną ufność, po raz pierwszy od Boga otrzymał kapłańskie namaszczenie i niem potężny uczynił rzecz, którą nazwał cudem.

I tak te chwile sam Janusz sobie tłumaczy:

„A Duch świętu łaskę dawał,
Kiedym w owej łódce stawał...“

A potem wydaje potężny krzyk, głoszący wielką i wieczną prawdę, jako zebraną treść odebranych nauk i własnej pracy ducha:

„Na dno życia! na dnie waga,
Na dnie tylko prawda naga!
I natchnienie rwie się z głębi,
Kiedy w sercu krew zakłębi!“

IV.

A teraz bogaty już nie tylko onemi trzema strunami na harfie serca, ale bogaty namaszczeniem Bożem, idzie młody Janusz w świat mglisty. Anioł stróż go prowadzi, przebrnął z nim nocne mroki i sennego pośród jakiegoś sadu zostawił. Zbudził się młodzieniec, patrzy: a tu wioska i zacisze, a wiosenno jakoś i wesoło, a o ucho jego jakiś głos nagle uderza: jakiś śmiech tak szczęśliwy, że odrazu nim zawładnął, że zdawało mu się, że to źródło żywy urwał się gdzieś w niebie i na serce mu upadł.

A więc za tym głosem, za tym śmiechem pobiegł ciągniony magnetyczną siłą, i nie znalazł już nikogo, tylko ujrzął drzącą jeszcze gałązkę, z której jakaś ręka kwiat zerwała. W sąsiedztwie, gdzie młody Janusz zamieszkał, stał na baszcie dwór Łowczego. Stary był to szlachcic, kochał rolę, sady i pszczoły; nie lubił kupczyć ani budować, konie tylko chował. A miał on jak ów kozak z Ukrainy jakąś rozpacz piękną w sercu: jeśli wyszedł to chyba w pole, ale dalej ani kroku. Smu-

tny i złamany wrócił on niegdyś z jednego straszego sejmku; a wróciwszy cisnął szablę do skrzyni, i jęknął: „I ja wdowiec, i ty wdowa! ale stalowy hart był w tej duszy, bo wnet wyprężył się i na zdeptanej boleści stanął wzniosły i natchniony, i rzekł do odrzuconej szabli:

„Gdy cię pan Bóg w pochwę schował,
Znać, już będzie sam wojował.“

Przy tym niezłamanym dębie owiła się liljowych rąk powojem córka piękna; wychowana gdzieś w klasztorze, i wniosła w osepiony próg ojcowski szczęście słodkie. Kiedy ją młodzieniec po raz pierwszy obaczył i zapatrzył się w jasność jej czoła, to zdawało mu się, że anioł swoim głosem pozdrowił duszę jego. Dziewczę to miało włosy krucze i dziwnie lśniące, z jej rzes sypały się iskry, a oczy miała szafirowe jak niebo włoskie. I przejrzał się młodzieniec w tych oczach, co głębokie jak jezioro a tak wierne jak zwierciadło. I na te oczy anielskie i w progu starego szlachcica, jednego z ostatnich żywych posągów chwały i wiary narodowej, złożył młody Janusz swoje śluby przed Bogiem.

V.

Ale nie czas jemu tonąć w różowych falach miłości i wniebowzięcia. Uciszone trzy struny w jego sercu drgnęły nagle, zwały się swemi tonami w jeden akord, zbudziły w nim Janusza, porwały i odniosły go na pole bitew. Bo w tym akordzie były słowa pasiecznika i nauki zakonnego kapłana i dumy kozaka Sokola, a górowało nad temi głosami zasłyszane niegdyś rzenie konia i ten strzał

co padł w onej dąbrowie. Krótkie było pożegnanie; świat nie znudził się jego skargą; żale utonęły w głąb, a pieśń jego serca usłyszał tylko miesiąc jasny i dąb stuletni. Dusza wielkiego poety po raz pierwszy zapragnęła szerszego, dłuższego oddechu: pieśni! Więc kiedy Janusz skoczył na siodło i przelatywał pola ojczyste, to zaczęła ona marzyć, roić i zdawało jej się, że to wszystko do niej należy, jak do władcy narodu. I Janusz wszystkim i wszystkiemu był bratem, ale nie rozmiękł w tem uczuciu, bo zabrzączała nagle u siodła szabla, może ona szabla dana z błogosławieństwem Łowczego. Więc podniósł czoło, zmarszczył brew, pogroził ręką, i jako wtór do tego brzęku, wyrwał mu się z piersi krzyk wielki: „Jest i w śpiewie jad!“

VI.

Janusz odrazu wie, jak trzeba prowadzić powstanie. Kasztelan wyprawiając na bój syna, rad się uśmiechnął, ujrawszy go w sukmanie krakowskiej, i rzekł: „Nie z rodu sława, ale idzie z czynu.“ Dla większego poparcia tej myśli pisze Janusz historję o szewcu Kilińskim, a pisze to na tornistrze pod namiotem albo przy łojowej świeczce w koszarach. Przyleciał, pojrzał i odgadł wszystko. Natchnionemu spieszno, a dla natchnionego Bóg czas potraja, bo czas płaci i czas traci. Janusz wie, że trzeba działać na masy: rada niech będzie krótką, ale za to ręka gęściejsza, a przy tym stanie prawo, z kim gromada. A więc żwawo, tylko żwawo! ludem, cudem, siłą, zdradą. Pod względem formy historia szewca Kilińskiego

go otwiera poezji świat nowy. Dotychczasowe jej obręcze rozsadził w tym utworze duch Janusza ognisty i niepo- hamowany. Zdawałoby się na pozór, że to pisała ręka niewprawna — a to ręka mistrza co włada rytmem, ry- mem i każdym słowem jak swoim niewolnikiem, i stał się szorstkim, chropawym, bo chciał być takim. Czuć w tym utworze pospiech natchnionej, rozgorzałej piersi. Na dłuższe słowo brakuje jej nieraz oddechu, więc w swo- jem zadyszaniu krzyczy krótko, urywkowo a jędrnie, i przypomina tego Greka, co po zwycięztwie maratońskim zbiegł z pola bitwy, a przyleciawszy do Aten, ogłosił w urywanych słowach wieść szczęśliwą — i padł nieżywy.

Chorąży wydając swą proklamacją, czuje i widzi, że wojskich wiele a chorążych mało, że do estymy najpier- wsi panowie, a jak kraj bronić, to pierwszego niema. I równocześnie Janusz pisze gawędę wachmistrza Dorosza. Cieszę się, iż mam sposobność, cytując ten utwór, po- mówić nieco o rzeczy, którą mi jako śmiertelny grzech wyrzucają. Gawęda Dorosza toczy się cała jednym bole- śnym sarkazmem Janusza. On wie, jak musi ten cierpieć kto używa takiej broni. Wachmistrz Dorosz to stary le- gionista, a co więcej, gorący, więc natchniony patryjota. Liecho mu nadało służyć w takiej ruchawicy, gdzie słu- żby żadnej a ducha nie wiele, a gdzie spojrzeć, sama szlachta, same pany. A nawet jego stary pułkownik, któ- rego znał jeszcze w legionach tegim jeszcze człowiekiem zna co służba, cóż gdy nie ma dawnej wiary! Bo ten półkownik był uczestnikiem demoralizujących wypraw na- poleońskich, a wachmistrz Dorosz wrócił zapewne do

kraju w chwili, kiedy jego nieszczęśliwych towarzyszy zmuszano armatami do wsiadania na okręt o czarnej fladze, płynący do ś. Domingo na ich zatracenie. Dorosz nie może sobie dać rady ani w obozie, ani podczas boju. Gdy potrzeba, świecą mu baki, a potem sarkają i lekceważą. Szwadronowy wachmistrz krzyczy nieraz: stać! komenda! a szeregowi panice, siedzący na własnych koniach mruczą między sobą: Słuchaj hrabio! czy to rzecz słyszana! czyśmy na to tu zjechali aby stać i moknąć na deszczu? Gorzej jeszcze, kiedy przyjdzie staremu wiarusowi w dobrym szyku pułk panięcy do boju prowadzić. Nie żałuje on swojej skóry, którą nastawia za wszystkich, ale konia mu żal, co marnuje się przy harcach — ze swoimi. Bo każdy z jego podwładnych ma jakąś wymówkę, bo ten chory, a ten ścięty, a czwartego koń ustanie, a piątego źle podpięty, a nie jeden stchórzył panie! Ale zato kiedy słońce świeci a obóz spokojny, to gardłują całą siłą i schlebiają wodzowi, aby dostać wstęgę. Pewnego razu pułkownik wyprawia Dorosza z depeszami do głównego sztabu, bo pułk odcięty, zostając bez wyższej rady i pomocy, może być zniszczony. Nigdy Dorosz nie był jeszcze w sztabie, podobno nawet nie znał tego wyrazu. On znał Naczelnika, co chodził w sukmanie i dzielił się nieraz z żołnierzem chlebem komiśnym, on znał Dąbrowskiego, co kładł się na gołą ziemię, powtarzając przez sen: marsz, marsz Dąbrowski! a obudzony patrzył na północ i wzdychał. Ale półkownik każe, Dorosz siada na deresza, rozważa sobie w myśli, jak się przed wodzem sprawić, na improwizowane jego zapyta-

nia obmyśla dobre i zwięzłe odpowiedzi — i tak sobie czesze, aż się wszyscy diabli śmieją. Nad rankiem stanął w sztabie, i otarłszy znój z czoła rżnie prosto, czy do namiotu? — nie, do pokoju. Pyta o wodza, a służbowy: «Czyś zwarjował? wódz spi jeszcze, bo dzień chmurny.» — «A szef sztabu?» — «Szef zajęty.» — «A dyżurny?» — «Spi dyżurny.» Trzy godzin stał biedny Dorosz w sieni i czekał, a był głodny i po bezseni.

Nareszcie słyszy, że wódz wstał, ale się goli. Nagle wielki rejwach się robi: «szastu prastu, i wypada do Dorosza w okularach siedmnastu.» Czy jaka ważna wiadomość wpadła do sztabu jak bomba? nie! to śniadanie. Wyszędł orszak okazały; wszyscy smacznie zajadali, po francusku rozmawiali, i perfumy zapachniały. Zgorzkniał Dorosz i zadumał: «Tutaj tylko wino płynie, a tam nasza krew się leje, ach i pułk mój może ginie!» Straszny, bezmiłosierny jest Janusz w swoim sarkazmie, bo malując tę postać płaczącego wiarusa, pokazuje zaraz jakiegoś sztabowca, co wybiega z pokoju, potrącając Dorosza i krzyczy na służbę: «Ha ciemięgi! przydymiona czekolada!»

Janusz wie, że nie tylko trzeba radzić i zażgrzewać i za procesją chodzić, ale trzeba także nie same szkaple-rze wieszać i otrząsnąć brudy stare. Janusz wie, że przy mieczu należało się i w rozpacz uzbroić. Janusz wie, że w kordy wolno się złożyć, ale nie układać, bo więcej niż stem kałamarzy, zrobisz jedną piką, i co tam piszą, wiedzą djabli, a co człek rąbnie — widzi! Bo nareszcie was starszy niż traktaty, a każdy dyplomata wart licha. Janusz wie nawet, że grzechem jest, ludzi, ginących za

dobrą sprawę, grzebać jak ścierwo w długie, płytkie rowy. Napoleon, który uważał swoje armje jako bezduszne szachy i nazywał je często w dobrym humorze szatana: żerem dla dział—pierwszy na obszerniejszy sposób rozposzechniał ten zwyczaj. Kiedy Janusz, chcąc wrócić do dawnego obyczaju przodków, który jeszcze za czasów konfederacji barskiej wykonywano, radził jednemu z naszych generałów, należącemu niezawodnie do dawnej liberji napoleońskiej,*) aby jak dawniej sypano mogiły, odpowiedział cywilizowany generał: 'To nie zgadza się z cywilizacją dziewiętnastego wieku.'

VII.

Ślicznie Janusz pojmuje i opisuje tajemnicze zrazu, na pół sennie, a później jawniejsze i żywsze przebudzenie się ludu, przy którym jak zawsze tworzy on legendy. Przed gospodą mnóstwo stoi ludzi, muzyka rżnie od ucha, młodzież tańczy. A wtem nadchodzi Bartosz stary i przynosi nowiny, a na ich poparcie cud się pokazał i skrwa-wiony orzeł z chmur wyleciał i zawisł nad gospodą. Prerażony lud idzie do kościoła, chłopcom każe bić we dzwony, i długo klęczał i modlił się, bo orzeł, jakby przybity do obłoku, odleciał dopiero wieczorem, i usłyszano potem psów wycie, i powiedziano sobie: Będzie wielka wojna. Z kaliskich wiosek wiozą dzwony do stolicy aby je przelać na działa, a na gościńcu pełno ludu i gwaru. I oto o nowym cu-

*) Nie potępiam tym wyrazem wszystkich napoleończyków. Znam wielu między nimi, których szanuję jakby własnego ojca. Liberją nazywam tych, co przestali być Polakami, aby się stać jedynie żołnierzami. Do takich liczyli się: Chłopicki, Wincenty Krasiński, Hauke, Roźniecki i. t. d.

dzie rozprowadają: pod Kaliszem, w małej wiosce, cały lud zebrał się na mszę w dzień świąteczny, i w samą chwilę podniesienia runął z wieży dzwon największy, i o dziwo! przemówił do ludu. A i na dalekiej Litwie lud coś przeczuwa; bo wśród puszczy, w klasztoru małym, zakonnicy po nocach nie śpią, a nie dla samej tylko modlitwy, gdyż jak szeptają, modląc się—leją kule. I sam ksiądz Ambroży, kiedy mówi z kazalnicy, to iskrzą mu się oczy, i grozi gniewem bożym, a tymczasem co nocy jakieś ładowne wozy gdzieś wyprawia. A w innem miejscu zjawił się nagle w karczmie jakiś dziad siwy. Chociaż był to dzień świąteczny, mileżąco było na gospodarze, pomimo że tłumno; młodzi nie śpiewali, starsi, oparłszy głowy o kufak, smutni i zadumani siedzieli nad szklanką. A gdy zapytano dziada zkąd on, odpowiedział: Jam z Korony! I długo coś prawił, i długo coś radził, i tak noc zesła. A rankiem, drugiego dnia, dziwna wieść się rozeszła: nad Niemnem straż wybito, a w wiosce zabrakło kilkunastu parobków, i mówią, że w augustowskie poszli lasy, a co dziwniejszego, zabrali z sobą ostre kosy i topory, gdzie? po co?...

Rusza się lud, chociaż niechętnie go przyjmują: prawie odpychają. Panna młoda stoi we drzwiach i płacze, a przed nią chłopak zbrojny i koń wrony; złowrogim wrzaskiem zakrakała wrona, ale to nic nie pomoże, iść trzeba! kraj nad wszystko drogi. I chłopak od zapłakanej przyjął szkaplerz i krzyżyk, westchnął i dosiadł konia, chociaż równocześnie w tych dwóch rozdartych sercach ozwało się przeczucie: Nie wróci on już więcej! Inna, o szczęśliwszem przeczuciu, stoi we drzwiach owdowiałej

chaty, i patrzy na jadących Krakusów. I zbliża się do niej sierżant stary, zapewne jeden z tych napoleońskich weteranów, co brali szturmem fortece i serca kobiet; kiedy bój, to krew i srogość, a na kwaterze wino i miłość, to już takie hasło było u nich. Więc pokręcił wassa, i dalej w umizgi. *„Mój cacany panie, odrzekła dziewczyna, „ja mam już mojego. „A gdzie? „pytał sierżant. „Tam gdzie i panowie, na wojnie mój panie. A zkądże jedziecie, kiedy wam niewiadomo, gdzie dzisiaj Mazury? „Ale sierżant wraca do szarży i na zgodę żąda buziaka. Zachnęła się dziewczyna; ona głębiej czuje od napoleońskiego żołnierza świętość narodowego boju. Z powagą stać i z uśmiechem, to dobrze i ładnie, ale nie mięszać figlów do świętej sprawy, za którą krew cieknie. Więc pokazuje mu niedaleki dwór, gdzie została pani sama i młoda, a dwór rabują Kozaki, i niema jej komu bronić, bo jej mąż na polu jak wszyscy. I ocknął się sierżant, i poskoczył ze swoimi, i dwór ocalił. A na Litwie na ślicznym koniku jedzie szlachcie z okolicy; dziewczę wybiegło z chaty, bo zauważało kord brzęczący mu u siodła. Młody panicz przylatuje cwałem i krzyczy: *„Biegnij dziewczę do puszczy, niech schronieni ludzie wracają, nasi Polakowie przybyli już z za Niemna i w Żejmach obóz rozłożyli. „I zadrżało i spłonęło serce u dziewczęcia; jak jaskółka poleciała w las.**

Wojna już, wojna! kraj cały jak obóz; miejscami buchają bitwy jak obozowe ogniska. Czy widzicie młodego i pięknego Janusza, uwijającego na koniu? W jednej ręce miecz, w drugiej harfa, tak latał. Słyszycie jego pie-

śni, górujące nieraz nad grzmiotem dział? To o Krakusach, co bez rozkazu jenerała armaty biorą nieprzyjaciółom; to o niewiastach, co z drobnemi sierotami w objęciu wychodzą na grochowskie pola, boleśne a milczące, i każda z nich szuka swego, i nie jedna z nich znalazła trupa ukochanego, a przy nim broń i wał z zabitych moskali; to o tym Krakowiaku, co śmiertelnie ranny czołga się po pobojowisku i dodusza konających wrogów, aby jego dusza krakowska prędzej mogła być zbawiona; to o panu Różyckim, to o Rzewuskim, nowożytnych hetmanach, chociaż bez buławy...

O cudzie miłości natchnionego serca! Przy takich obrazach, dyszących zemstą, Janusz znajduje w niem żal i miłość nawet dla wroga. Przepyszny jest jego obóz moskiewski pod Kownem; na czele kładzie słowa Adama:

„Żrąca i paląca gorycz mojej mowy...

Niech żre i pali, nie was, lecz wasze okowy.“

A potem następuje ten obraz ogromnego artysty, dantejski to obraz: Mgła zalega obóz, w namiocie światło gore czerwonym blaskiem; dymią i żarzą się samowary jak kotły piekielne; przy stole siedzi starszyna, przed nią karty i ruble; a przy grze grzmi pieśń ponura: „Urra urra, Polszcza złota da!“. Pomimo jaskrawości tego obrazu czuć w nim jakąś dziwną melancholję: ten krzyk barbarzyński nie idzie im z serca, bije ono inaczej pod pleśnią; czajem, brzękiem rubli i nieszczerą pieśnią, chcą oni zabić w sobie budzące się uczucie. Jeden z nich tylko, na pół dziki Doniec, szerszy, gwałtowniejszy, serdeczniejszy, zrywa się, odtrąca podany toast i krzyczy: „Nie

piję na zgon! I wstają od gry, i usłyszano dzwonek w dal odlatujący; przed namiotem stali Kozacy i z cicha szepnęli: W Sybir poszedł chwyt! I niezawodnie rozeszli się grający, każdy do swego namiotu, i nie jeden z nich może zapłakał, ale jutro zapomniał o wszystkim i szedł na Warszawę.

Ale już zaczynają ciągnąć mgły, i ciemnieje w sercach i na niebie. Na placówce pod Birutą usnął młody Janusz, konia trzymając w ręku. Dusza jego poleciała pod Karpaty do baszty Łowczego; brzęknęło w niej okienko, i ujrzał błękitną suknię... czarny włos... to ona! Zbudził się, i te cudne sny i obrazy przy troskach kraju pobladły mu na jawie. To znowu w cichej dziewiczej komnacie drży serce w niepokoju; panienka zbudziła się nad ranem przelękciona i we łzach. Wczoraj do późna słyszała huk dział, a przez noc całą psy wyły, a gdy usnęła nad rankiem, śniły się jej krzyże i perły... zły to sen! To znowu we dworze Miecznika pokazały się równie złe wróżby; po praojcach, gdzieś znalezione w rozbitym tatarskim taborze, posiada on obraz święty: twarz Matki Boskiej. A twarz ta blednieje za każdym nieszczęściem krajowem: zbladła po buncie targowickim, zbladła po wyrznięciu Pragi, ach i teraz jej twarz pobladła! Wpadł z listem od obozu goniec na ganek, drżącą ręką chwycił go Miecznik, rozłamał pieczęć, zbladł jak twarz Przenajświętszej, zasłonił oczy i jęknął: Pod Ostrołęką przegrana!

Ucichły pioruny, zamknęły się błyskawice, a mgła coraz większa i jak noc czarna. Pod Brodnicą stoi wojsko

na błoni, przybiegła zapłakana niewiasta i szłocha: »Ach cóżeście najlepszego zrobili?« Stary ułan zatkał sobie uszy, powiódł po niej żrenicą suchą, krwią zapiekłą, i cisnął kaszkiet pod nogi i rzekł: »Dla mnie niema grobu!« I zdarł chorągiewkę od lancy i zawiązał w nią garść ziemi i ruszył w świat, i jak wszyscy gdzieś zginął. To znowu matka z borów Augustowskich żegna syna pod Kalwarją; prosi go i błaga, aby został i nie szedł na tułactwo za rzeki i morza, ona go ukryje w lesie, i co świt przynosić mu będzie pokarm, co wieczór koszulę, i utuli go przy sercu matczynem. Ale choć łez matki mowa znana, nie zmiękł syn pod niemi i rzekł: »Zal ustąpić musi dumie, oczy moje krwawe łez nie leją, ja tylko bronią kraj mój kocham, a tylko śmiercią służyć mu umię.« To znowu w Czersku ma odbywać swój nocleg wojsko, idące na wygnanie; wysypała się z chat gromada, za każdym z żołnierzy pacholał kilkoro biegnie, jak za matką; dziewczęta krzyczą: »My się za was modliły.« Chłopak powiada: »A my kosy nabili.« I obstąpili żołnierzy, i wszyscy o coś proszą: ten o rzemyczek od pałasza, ta o guzik z orzełkiem, inni proszą o spiewki, które z bojów im pozostały jak błyski na grocie lanc... i tak zesła noc przy płaczu, to przy spiewaniu. A w puszczy, na dalekiej Litwie, stoi chata leśnika; późno już jest wieczorem, łu-czywo dogorywa; napróżno matka swe dziecko napędza do spania: w jego małej główce nowe powstały światy, płaczą mu się różne obrazy, biedne! spać nie może. I pyta matki o to i owo: czemu już nie strzelają tak samo jak w lecie? gdzie się podział ten panicz w białej

sukmanie, co stał przy koniu za bramą, a żegnając go dał mu trzy grosze i uśmiech? czy wróca jeszcze kiedy ci bieli jak anieli? Matka uspakajając dziecko bezmyślnie mówi: Na wiosnę! I usnęło dziecko kontente, bo do wiosny daleko, a ono podrośnie tymczasem. Nie koniec jeszcze tym obrazom precudownym. W dalszej jeszcze dali Irpień płynie i kijowskie słychać dzwony; mkną kibitki z więźniami pokowanemi! Zdybała je pani jadąca z Kijowa, spojrzała i pobladła, i biaduje nad losem nieszczęśliwych: „O gdyby moje łzy płaciły, wykupiłabym was łzami! „Nie płacz pani! rzecze jeniec, jest nas tu trzystu, a każdy ranny, bo inaczej nie biorą nas z pola bitew; kto zapłacił dług tak święty, ten spokojny i w Sybirze.“

Następuje potem chwila straszna w życiu Janusza, wyłała się ona w jednej tylko pieśni; Belwederczyk. Nie znam, ani w naszej, ani w żadnej literaturze, rzeczy boleśniejszej i silniejszej. W niej rozpacz nie jest tylko pięknością, Janusz kończy tę pieśń wykrzyknikiem:

„I rozpacz szczęściem być może.“

Na ten krzyk zadrzał Bóg na niebie, bo nie dyktowała go pycha, bo to nie improwizacja konradowska; tam ból, tam żal, tam serce, ciekące krwią i łzami. Za zasłoną tej tytańskiej siły widać Janusza klęczącego, i w pokorze. Czemże jest pożegnanie Child Harolda w obec tego pożegnania Belwederczyka, rzucającego się na okręt, aby zapomnąć i nie widzieć już ziemi. On idzie na rozlukane bałwany, aby w nich śmierć znaleźć, i łatwiej mu będzie na morzu umierać: bo ztąd nie widać ojczyzny.

I sądzicie że na tem koniec? że po takiej pieśni duch

Janusza nie może już pójść wyżej? Niema końca dla drogi ducha, szczebluje on po Jakubowej drabinie, aż utonie i zleje się z Bogiem! Janusz zamyka swoją księgę: Proroctwem kapłana polskiego. On jest tym kapłanem. Po raz pierwszy czuję, że słowo moje jest nikłym w obec tej wielkości. Niech czytelnik sam sobie to proroctwo odczyta, a po odczytaniu niech mileży.

Pieśni Janusza należą do tych ksiąg, na które wieki czekają; wszystkie inne arcydzieła, któremi się szczycą narody: *Iliada*, *Pan Tadeusz*, podnoszą tylko pewną chwilę historyczną lub ciaśniejsze kładą sobie granice. W pieśniach Janusza żyje cały naród, całą swoją przeszłością, chwilami obecnymi i rozwijaniem się przyszlęm.

Gdyby szczególnem zrzędzeniem zniknęły nagle wszystkie księgi tyjące się historii polskiej, gdyby zatarły się nagle w pamięci ludzkiej wszystkie ślady życia narodowego, a ocalała z tego potopu, spadającego na duchowy nasz żywot, tylko jedna ta złota, nie wielka książeczka: natchniony historyk, czerpiąc z tego źródła, odgadłby charakter dziejów Polski, a nowy wieszcz czerpiąc również w tem źródle, wypiewałby jej przyszlęść.

VIII.

Wrócił Janusz do kraju. Potrzebywał on ciszy i samotności. Wobec ogromnej boleści przygasło nawet u niego najpiękniejsze ludzkie uczucie: miłość dla ócz anielskich. Czas jakiś przesiedział w górach sanockich; tam w chacie, osłonięj świerkami, zasypanej śniegiem, spędzał swoje wieczory kalnickie. A spędzał je z góra-

lami; z fajkami w ustach, przy płonącym na kominie ogniu siedzieli na długiej, prostej ławie i gwarzyli. Z nowymi swymi przyjaciółmi tułał się także Janusz po lasach i górach. Ożywczą rosą były dla niego te krople dżdżu, spadające nieraz na sennego ze świerków gór, otoczonego wieńcem leżących koło niego białych Górali — co byli jak owce przy pasterzu. Ukoił się Janusz w ciszy olbrzymiej natury i w słodkości pierwotnych ludzi.

Tu miejsce skreślić dorywczo treść obrazów góralskich, które zawierają się w bezimiennie i dopiero w roku 1846 wydanem dziele: *Obrazy z życia i podróży*. Chodził pan Wincenty Pol i później po górach, ciągniony złotymi wspomnieniami swej młodości, ale chodził już tylko — jako geolog. Jestem więc przekonania, że wszystkie pieśni góralskie wyśpiewał Janusz w czasie pierwszej swej w górach bytności. Na wstępie zrobię jeszcze jedną uwagę: Zarzucają panu Wincentemu Polowi, iż w utworach jego z lat ostatnich coraz mniej pokazuje się w ich budowie artystyczności. Zarzut jest bardzo sprawiedliwym, ale oraz bardzo naturalnym. Silny tylko i piękny duch umie wynaleźć silną i piękną formę; duch zaś w upadku odbija się swoim rozprężeniem i złamaniem w tem, co wydaje. Ołóż w *Obrazach z życia i podróży*, również jak w *Pieśniach Janusza* forma każdego obrazu przepyszna jest swoją treściwością i pięknnością.

W *Obrazach z życia i podróży* daje Janusz swe pieśni narodowi jak je sam skreślił: „przez łzę śmiejącego”: w *Pieśniach Janusza* były one przez krew wierzące. Oto mniej więcej szereg tych przepysznych obrazów.

Wechodzi Janusz na halę między gazdów góralskich, i wita ich jakby od dawna znajomych. — Zkądże nas znacie? pytają gazdowie. — Po chrzcie, po chlebie, po ludzkiej mowie; odpowiada Janusz. — Ha, rozumiemy! mówią Górale, i po tych kilku słowach serdeczny związek stanął od razu między ludem a śpiewakiem. Dawniej Karpaty, te *ultima Thule* polskie, rzadko były przez kogo zwiedzanemi. Po Staszycu może ze znakomitych ludzi dopiero Janusz, a równocześnie z nim Goszczyński dłuższy czas w górach przebywali. Toż zapewne, zachowawszy w pamięci geologiczne szperania Staszycza, zapytują się gazdowie Janusza: co go między nich sprowadziło; czy przyszedł za złotem szukać? płonna to będzie praca; czart go wprawdzie często ludziom pokazuje i chwycić pozwoli, ale wnet je z uszczęśliwionej ręki parą rozwiewa. Tak opowiadają starzy znachorzy góralscy; a kapłan-poeta im na to: »O! złotem mojem prawda żywota i dusza, którą diabły nie stopią. Gładko się obie strony rozmówiły, i jeden z gazdów woła do Kachny: »Nie warz no już mleka a skocz po wódkę, trzeba nam ugościć tego Lacha«. I co zawsze bywa najtrudniejszem, serce ludu od razu zaczęło się zwierzać przed Januszem ze wszystkich swoich tajemnic. Potoczyły się gadki i opowiadania. Więc o Bolesławie Chrobrym, co łamał skały i puszczał wody Dunajem, otworzył Dunajec, a modląc się przed uczynieniem tego cudu, obiecał Bogu, że dobyte w górach złoto odda kościołowi, a dobytą stal obróci przeciw wrogom. Więc dalej o Grzeli, co był zwan: królem na Magurze. Więc jeszcze o obrazie Panny Ludzimierskiej,

co się zemściła za znieważenie stołu nagłą śmiercią bliźniercy.

I zaczęła się potem wędrówka Janusza po górach. Widok jego twarzy pada już urokiem na serca wszystkie, i zdobywa mu je od razu. Cóż to za cudowna sielanka, wiersz co się zaczyna: „Czy ty mię kochasz, moja dziewczyno?“. Zaczawszy od Tybula i Wirgilego, idąc po szeregu wszystkich romansowych sielankarzy, przesadza ta pieśń swoją prostotą i pięknnością ich wszystkich. Zdarzyło mi się raz ze sanskryckiego coś równie pięknego czytać. Ta dziewczyna, żałująca że nie jest panią we złocie, aby go posiadać, łamiąca sobie głowę czemu go sobie od innej już go posiadającej kupić: może chustką jedwabną? — mimowolnie nasuwa porównanie do całej ubogiej ojczyzny śpiewaka, która równie obecnie biaduje nad jego utratą. A potem ten dialog, przez łzy dziewczyny na pozór śmiejący a wyrrywający się z tych dwóch ust w krótkich, coraz poetyczniejszych wyrazach — jak dwa wesole płomienie! Jest jeszcze kilka innych obrazków, dowodzących, z jakim pociąganiem serduszka górskich dziewczątek lubiały zlatywać jak białe gołębie do magnetycznego śpiewaka, aby usiąść na jego ramieniu, zwierzyć się i poszczebiotać. Jedna z nich rozpowiada w chacie Januszowi o Paniencie Najświętszej, co ze ściany opiekuje się chatą. Śniła ona raz się ojcu, a dziwnie się śniła!... bo objawiła serdeczny swój żal, że taka uboga i zapomniana, i wskazała na swą nóżkę bosą. Więc ojciec długo z myślami się wodził, a gdy przyszedł czas pójścia z kosą na Lachy, wziął sobie on sen do serca, wstąpił do

Krakowa i zakupił złote trzewiczki dla ubogiej swej opiekunki. I odtąd Najświętsza Panienska nie przykrzy już sobie w chacie, słodszy ma uśmiech na twarzy i śni się dziewczęciu co wiosna. Alboż to przyjęcie Janusza przez córkę Sobka Sobczaka w niebytności jej ojca! Zwołuje ona swoje sąsiadki, aby się weselej stało gościowi. I znoszą dary boże, sadzają, proszą, przypijają. I jakoś znalazły się i grajki, i zapełniła się cała chata. I stała się radość i wielkie wesele, choć nieznanego człeka podjęto. Poważnie gwarzyli ojcowie jak Piasty, kobiety wesoło i rozmownie a dziewczęta zaplotły się w taniec, jak wieńiec róż polnych. Ale najpiękniejsza z nich wszystkich to owa, którą ojciec wysłał ze śpiewakiem, aby mu drogę wskazała i po drodze śmiechów przymieszała: bo na to chował on swe dziecię, aby się stało miłe człowiekowi. Idąc za rozkazem ojca, dziewczę prowadząc Janusza, zaczyna od pustoty. Dowcip jej lekki, bystry jak jej nóżki, a nóżki jak u saruy — i przy tych obopólnych żartach któż się domyśli, że to serce młodego dziewczęcia przeszło już przez wielkie bole, dojrzało w nich jak pod słońcem i może zwiędło-by było bez ożywczego oddechu powietrza gór i lasów. Spadła wesoła kortyna, i zaczyna się zwierzenie jak bolesny dramat: Jakoś rok temu a było to po wojnie, zaszedł do chaty ojca człek ponury, chromiący o szcudle. Nogi miał poranione na wojnie, a w więzieniu pogorszyły się rany. Więc ojciec kazał zładzić łożo w tokarni a dziewczyna zbierała podbiał i leczyła jego rany. I rok cały przebył w tem ukryciu, ucząc dziewczę czytać na pobożnej książeczce, a choć z

rodu był zapewne wielkomożny, nie widać było tego po nim, bo przydział chłopską odzież, toczył puhary, które dotąd po nim zostały, a nawet mówili ludzie, że w jesieni będzie się żenił ze swoją lekarką... Zaczyna się akt drugi: Późną nocą stryjek do drzwi zastukał a niecierpliwą pięścią bił z całej siły. W progu już krzyczy zadyszana pierś: choć mówi z cicha: — Wyprawiajcie tego człeka, bo po wsi już wojsko za nim szuka. Na orawskiej stronie mówiłem już z ciotką, ta na was będzie już w lesie czekać — żywo, żywo! trzeba go przez granicę przeprowadzić a przed świtem. Poważny pan chaty, pan rusznicy i toporka, powolnie zabiera się do wyprawienia swego przyjaciela. Sam go odział i opatrzył nogę, i dał chleb boży do torby. Poszli — za nimi dziewczyna płacząca. Nastąpiło w lesie pożegnanie — akt trzeci. Świtało już, tułacz odpoczywał zmocowawszy nogi, stryjek dobył wódkę, jedyną swą pociechę na ból serca; dziewczyna piła łzy. Wstał i dał jej obraz Panny Częstochowskiej i obiecał powrócić z matką — zapewne po żonę. A gdy odszedł, długo stała na górze góralska Niobe z załamaniem dłońmi, zstężaleni w kamień. Po opowiedzeniu tego dramatu pyta się dziewczę śpiewaka jak nigdy Szekspir się nie zapytał: — Powiedzcie mi, proszę, po co to ludzie wojują na świecie?

Nocą jak wróg ciemną, pędzony wichrem i mgłami, niby jeden z duchów, co błądzą po Magurze, zjawia się Janusz w kuźni góralskiej. Góral, jego przewodnik, przeraził się widokiem tego rozgorzałego piekła, co przypomina namiot obozu pod Kownem. Jest między Góralami

przesąd, nie pozwalający jać się młota, bo w ogniu wiara się mieni. Posłyszał te słowa chłop setny, kowal ze Świątnik podkrakowskich. Szczególny był to człek! kowal — a nie pijał wódki; niegdyś był szyprem na Wiśle, po świecie nią pływał; potem strzelcem w kozienickim borze, a podobno i w wojsku służył. W końcu pokłócił się z rządcą we dworze, porzucił dom i narzeczoną i poszedł w góry. Ten czerwonym drągiem zaświecił w oczy Góralowi, i krzykiem przygłuszył huk młota: »O jakiej to wierze bajecie?« — a potem: »Oj zła to wiara, co się w ogniu mieni!« I zapewne w tej chwili spojrzął na Janusza, co miał się stać później panem Wincentym Polem. I gniewny, drągiem ognisko rozżarzył i pod wyważoną żórawiem głownią aż jętko kowadło. I uderzył młot setnemi ciężary; rozgorzało wśród cieni; stało się straszno i tajemniczo: »Jakby miecz kuto w obronie tej wiary, co się i w ogniu nie mieni!«

Miał taką wiarę Janusz w sercu, kiedy wśród obłądnych mgieł spuszczał się za swym przewodnikiem z Krywania, aby dostać się na halę. Obraz ten równie piękny a wznioślejszy zakończeniem, żywo przypomina jeden ze Sonetów Krymskich, opisujący błądzącego na koniu autora wśród skał przepaściowych. Po szczęśliwym wyszukaniu zaciszy w skalistym wandole, narąbano kosodrzewia i rozłożono ognisko; tam spożęli trudem i przerażeniem zmęczeni wędrowcy. Cyple turń:

„Olbrzymio wyrosły w powodzi obłoków,
Poczarne — jak widma sumienia,
Samotne wśród ziemi — jak słowa proroków,
A wielkie — jak słowa stworzenia.“

O świecie tak samo nad światem mgła stała, nie świeciło słońce chociaż zeszło; skała, na której podróżni spędzili swój nocleg, wydała się wyspą wśród morza — oni na niej jak żeglarze rozbici. Pomimo jednak tego obrazu tak smutnego, Janusz nie traci otuchy; z za tej posepnej mgły przeciera mu Bóg ojców; rośnie mu pierś, zrywa się myśl wolna, lekko mu na tem morzu mgieł; wszystkie przepaście czarownie zakryły się przed okiem jego. A jednak on wie, że pod tem tam morzem jak wiele narodu i jakie tam ziemie rozbite! — Hej łódki! krzyczy Janusz, bo serce powiada: Nie zginiem! Hej łódki! a z wiatry jak morzem popłyniem po mgle tej — na polskie równiny.

Umyślnie rozpisałem się o tych Obrazach z podróży, równie prawie obszernie jak o Janusza pieśniach. Głównie dla tego, iż te obrazy mało są komu znane, niedostatecznie ocenione, a podobno, czego już rozumieć nie mogę, i przez samego autora lekceważone. Obrazy te nie ustępują niczem Pieśniom Janusza, bo jeśli granice ich są szczuplejsze, to zato ubogaciły naród prawie nieznanym dotąd skarbem: bliższem zagłębieniem się w serce ludu. Janusz wie o tem, że daje rzecz nową i kończy swe obrazy wierszem, pełnym żalu. Czuje on, że ten lud lepszym, świętszym jest od cywilizowanej braci na równinach. Troska się, że ten lud pochwalił, bo uderzą na niego jak na białych gołębi stado, szare szkodniki — jastrzębie. Zepsute dzieci równin wezmą ten lud za cacko i będą go jak cacko psować, bo te dzieci, jeżeli zagładają w góry, to przychodzą ze swemi grzechami i zostawiają

po sobie zgorzenie. I mówi Janusz: „Nie uleczy was ten lud swą prostotą, ani w was prawdy ludu nie odżyją. Nie odżywa on się tem słowem do całego narodu, bo on zna złe i dobro, ale zawiąły mu zapewne w tej chwili wspomnienia z niedawno odbytej wojny, co prowadzona po szlachecku, prawie nie pozwalała aby w niej lud uczestniczył. Sercem boleścią napełnionem, żegna się Janusz z tym ludem. On wie, że nieraz cierpienie jednego wielkiego serca, może się stać zbawieniem dla wszystkich, więc żegna go słowy: „O, spoczywaj ludu, gdy cierpią za ciebie.”

Pod względem formy nie piękniejszego nad te obrazy. Miłość i natchnienie, to Bóg ojciec, który wszystko daje, o co go się prosi. Z miłością wszedł Janusz w góry, spojrzął — odgadł i zrozumiał wszystko. Przystawia sobie od razu język olbrzymiej natury i równie wielki język ludu, wielki, bo pełen prostoty.

IX.

A jednak pociągnęło Lacha-Janusza na doliny, na ziemię mogli, tam gdzie górale podczas żniw z kosami zchodzą. I znalazł się nagle Janusz w dawnym zamku Kmitów, którego odnowienie, właściciel, stary poeta od szabli, powierzył młodemu Januszowi; a uczynił to, jakby tknięty ręką bożą, która chciała do uzupełnienia bogatej duszy Janusza, żywiej w niej obudzić, płomiennie rozpalić szlachecką krew, daną mu przez matkę. Postać Ksawerego Krasickiego, o którą dłuższy czas ocierał się Janusz, to niemal większa od postaci Mohorta. Odrodzo-

ny pan Wincenty Pol, on co zachował dotąd całą potęgę talentu, wszystko prócz wiary — powinien ją spiewającym posągim uwiecznić. Tysiące precudnych rysów z postaci Ksawerego Krasickiego krąży dotąd w naszej prowincyi. Coś proroczego było w tym znakomitym człowieku. Stary już, chociaż niezłamany, nie zciał się w krzysztal samolubnego szlactwa. Czuł on i widział, kiedy młody świat toruje sobie drogę; i z miłością szedł myślą za nim. Kiedy usłyszał nieśmiałe i rzadko odzywające się głosy za usamowolnieniem ludu, rzekł pan Ksawery: „Ha, dobrze, byle naród się dźwignął!”. Kiedy ślepi zagorzalcy chcący wszystko burzyć, aby na gruzach coś nowego budować, odezwali się przed nim, iż potrzeba zatrzeć wszystkie ślady szlacheckiej przeszłości — rzekł pan Ksawery: „Ha, dobrze; pierwszy skruszę mą tarczę herbowną — byle naród się dźwignął!”.

W tym zamku chodził Janusz samotnie po komnatach i błądził po jego podziemiach, a nocami zapalał ognie na ogromnym kominie — siedział przy nim, dumal i słuchał. O, wiele mu natenczas te ściany powiedziały! Odgłos echa z nich bijący, był dla Janusza chodzącego po kamiennych posadzkach, nie głosem zwyczajnym, ale wtórem jęku spływającym się z jękiem jego duszy. I nieraz siedzącemu przy kominkowym ogniu jawiły się w zmroku kątów stare postacie hetmańskie, jakto sam ślicznie opisał. Rozmówiwszy się z ojcami wszedł Janusz między ich synów. Otoczyła go okoliczna szlachta, z której część spiewała niegdys jego pieśni na polu bitew — miłością i uwielbieniem. Więc Janusz dosiadywał razem

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

Nf

z nimi konia i uganiał po lasach za [grubszą] zwierzyną. Przy nocleżnem ognisku, przypominającym ogniska obozowe, rozkładali się często myśliwce na murawie. Byli między nimi i starce, pamiętający wojnę kościuszkowską, a może nawet i czasy konfederacji barskiej. Górowała między tymi rycerskimi rapsodami, postać właściciela zamku leskiego, przyjaciela i opiekuna Janusza. Tam biły żywym słowem w jego ucho tradycje narodowe, i tym sposobem powstała gawęda: *Wieczór przy kominie, prześliczny ustęp; Hej hej panowie, co wy za młodzi!* przypomniały się z dziecięcych lat opowiadania staro Winnickiego i rysowała się w myśli Janusza olbrzymia postać Mohorta. Dwie pierwsze zacytowane gawędy, to nie gawędy, to nie facecyjki rymowane — to poemata, wielkie, choć krótkie, błyszczące, choć rdzą z nieotartej krwi obsiadłe — jak szable. *«Na ostro»* pisał je Janusz *«nie płazem»*. Zdjąwszy swe oczy z ponurych twarzy starców, na których dzieje narodowe kreśliły się niezatartemi dotąd bliznami, kiedy je Janusz powlókł po twarzach młodszych i weselszych — obrócił do nich mowę: *Hej, hej panowie, co wy za młodzi!* — i wyrzuca im brak hartu, lekkomyślne zapomnienie przebytej krwawej drogi i tę chwilową żarliwość, co traci swój zapal — kiedy nie idzie! Janusz wie, że młodość to ogień święty, który i przy siwych włosach płonąć powinien, że nawet i pięknie można grzeszyć, jeśli po młodemu.

Ta wiara w lud i w jego reprezentantów: szlachtę, którą mu niegdyś zaszczerpił kozak Sokoł i ksiądz

patryota, umocniła się w Januszu przy żywszem jego otarciu się o lud i szlachtę. Stał on już teraz w pełni ducha, zamknął w swojej piersi wszystkie skarby narodu, prorokiem stać mu się było; iść naprzód, ruszać, rozpalać, podnosić; iść jak sęp z ognia i z wiedzy; iść choćby samotnemu... Ale nie! jego otaczała cześć i miłość, i ufność w każde jego słowo. Nikt w nowożytnej Polsce nie miał takiej drogi! — a jednak nie poszedł nią... płakać się chce.

X.

Obudził się w nim człowiek, co zapragnął szczęścia dla siebie. Przypomniała się baszta Łowczego. Kochający, ukochany, związany ślubem dobrej wiary, sądził Janusz, że można połączyć obowiązki rodzinne z obowiązkami swego kapłaństwa. I ja tak sądzę, i ja sądzę że można, chociaż celibat przez kościół księżom nakazany, uważam za wielką prawdę, której jednak skutki w obecnem zamarcu wszelkiego ducha, są okropnemi. Kapłan-wieszcz pod tym jedynie warunkiem może otoczyć się rodziną, jeżeli czuje dostateczny hart w duszy do poświęcenia jej w razie potrzeby dla narodu; bo połowiczność tworzy tylko ludzi nijakich i czyni takie same. Rzeczy, idące z ducha, potrzebują całego jego skupienia się. Potęga każdej idei dobrej czy złej, jeżeli chce swój cel osiągnąć, musi być ślepą. Napoleonowi chciało się przed zimą dostać do Moskwy; pomimo przestroż własnego rozumu i wszystkich niesprzyjających okoliczności, dostał się do tej stolicy. Joanna d'Arc, słaba dziewczyna, chciała

Francję wybawić, i wybawiła ją. Ubogi mnich, Piotr z Amiens, chciał wyprawić ogromne wojsko na zdobycie Grobu św., i wyprawił. Robespierra zastano raz płaczącego nad listą tych, których miano nazajutrz pomordować; podpisał wyrok, choć płakał. Często dziwimy się temu zaślepieniu, które pcha zwykłego zbrodniarza do popełnienia zbrodni, kiedy wszystkie okoliczności nie pozwalają mu ufać, aby i na najkrótszy czas mogła się ona utaić... We wszystkich tych wypadkach było ślepe skupienie się ducha dla jednej, opanującej go myśli.

Nie porachował się Janusz z własną siłą; ożenił się i od tej chwili datują pierwsze nie jawne jeszcze, bo wewnętrzne zarysowanie się jego litego posągu. W Obrazach z życia i podróży jest na wstępie śliczny wiersz, w którym Janusz opowiada o swojej narzeczonej, jakby jej poświęcając tę książkę. Wiersz ten napisany był, o ile się zdaje, po odbytej podróży karpackiej, i w nim już odzywa się pierwszy dysonans, psujący pyszną dotąd muzykę Januszowego ducha. Godło, położone na czele tego wiersza, kończy się słowem: „Z wielkich bólów pieśni małe.” Widać w tem, rozmiękczenie uszczęśliwionego serca, rojącego sobie już tylko ciszą rodziną, a tracącego wiarę w potęgę pieśni. Straszne to słowo! tem straszniejsze, że jest jakby przecuciem tego, co się później stanie, t. j. że z wielkiego Janusza stał się pan Wincenty Pol. Słowo zaś, kończące ten wiersz do narzeczonej, jest jeszcze gorsze: A wierzechem życia pluśniesz wesoło, jak rybka wodą. Tem słowem zdejmuję już prawie Janusz swoją szatę kapłańską i wiesza ją na

kołku, od święta. Rezygnuje on prawie ze swego posłannictwa, aby się stać już tylko dobrym mężem i ojcem i śpiewakiem czarnoleskim, gwarzącym ze swymi przyjaciółmi w cieniu lip i śpiewającym kiedy niekiedy pieśni swobodne i uroczne. Ale to nie czasy Jana z Czarnolasu! Ongi kraj był wolny i wielki — a teraz rozbity; ongi tworzyła się unja Litwy z koroną — a teraz serca rozerwane; ongi brzęczały surmy zwycięzkie — a teraz skarżą się tłumione jęki... I w takiej chwili Janusz zapragnął: plusnąć wesoło wierzchem życia!

Posąg takiego Janusza, ciosany w twardym marmurze, długo stoi, nim na swej powierzchni popęka, a nie zwali go chyba piorun straszny. Na nieszczęście nie brakło nań i tego piorunu! Posąg taki nigdy nie rozpadnie się w gruzy, potłuczony stać się jeszcze może ozdobą jako kosztowna pamiątka, a nawet jeżeli zechce, własną siłą może się napowrót uzupełnić i stanąć na pierwotnej swej wysokości. O, z miłością i wiarą kładę przycisk na to słowo; niech ono nie przebrzmiewa w uchu dawnego Janusza. Bo stanął on mi na myśli, kiedy przechodząc wczoraj przez wały, ujrzałem postać zasłużonego hetmana, podnoszonego na ołtarz narodowy. I jego posąg długi czas leżał w poniewierce, ale prędzej czy później, musiało być pozwolonem oddawać mu publiczną cześć, mieszkańcom tego miasta, które ocalił od wdzierającego się w jego bramy pogaństwa.

Jak mówiłem, zarysowanie się ducha Janusza było tylko wewnętrzne, nie wystąpiło ono na wierzch, i długo jeszcze nie wystąpi. Uląkł on się jednak już swojej wiel-

kości. Na dowód tego zwrotu, wielką ma u mnie wagę wiersz VIII. z Obrazów podróży. Nad brzegiem źródła, na urwisku skały, stał Janusz wśród Tatrów, i dumnie podniósł szerokie swe czoło, i wodził wzrokiem po turniach, i póty wodził, aż mu na końcu w duszy pociemniało. W obec wielkości natury i prostoty ludu, który poznał, dusza jego piękna, pokorna, chrześcijańska, uczuła się małą i nikłą. Uczucie takie, to nie grzech, to prawie potrzeba dla duchów czystych i potężniejszych. Rozumiem korzyć się przed Bogiem, płakać przed nim jak dziecko, nosić się z tym wyrazem na ustach: Proch jestem! — ale w obec tych, którym się daje słowo natchnione i wiarę, stać trzeba silnie i dumnie, bez drgnięcia twarzy podczas wzruszenia, bez łzy w oku podczas wewnętrznego rozczulenia. Na miękką tę chwilę Janusza trafiła wyskakująca z wody rybka, zły był duch w tej rybce. Słodko ona, pokornie wtóruje Januszowi. I mówi: «Czego się smęcisz? świat taki piękny, a tyś taki młody! Jako mnie z wodą, tobie płynąć z wiekiem; kiedy się lękasz i korzysz przed każdym szczytem i głębią, to zniknij iskrą lub zlej się w kropelkę. Biedni wy ludzie, że też wy nie wiecie, co to być małym. Gdybyś ty był rybką jak ja wesołą, jakby ci dobrze było w słońcu chodzić, bo niktby cię nie tknął! Żle wielkiej rybie, która wierzchem płynie, i biedne to oko co w słońce patrzy, bo świat zwykle godzi na to, co światłe, co skrajne, na to, co wielkie, wzniosłe i samotne. A to co małe, to bywa i całe, i wieczne, i zdrowe, bo rade sobie i wszystkim, i nie zawadza cudzemu ni swemu.» A potem na dowód

wylicza ten szatan kusiciel cały szereg rzeczy na pozór małych a cennych: więc mrówkę i pszczołkę, więc ziarnko zboża i drobny piasek, z którego skała się tworzy, więc perły i krople z których morze wielkie, więc małą źrenicę, w której świat cały. A potem następuje sens moralny tej nauki:

„Więc lepiej złać się w miłości z drugimi!
 Pyłkiem i kroplą popłynąć wzdłuż ziemi,
 Razem z drugimi, bez rachuby, wieści,
 Bez szumu, gwaru, cześci i boleści!“

I duch Janusza nie odpowiedział nic szatanowi. Każda wielkość lubi być pokorną. Słowa złe wziął za słowa święte. Poświęcił się, łamiąc się w burzach, dla ciszy i wygody. Uczuł że można się czuć wielkim w sobie samym, choć zapomniał o tem, że ta wielkość o tyle ma tylko wartości, o ile wylewając się na świat, podnosi małych, potęguje słabych. Sławy nie żądał, nie pragnął Janusz — pojmując to doskonale. Czemże ona jest w obec rozkoszy duchowej? Z ironją na ustach słucho się często powtarzanego wyrazu, zastosowanego do ludzi i ich czynów: Nieśmiertelny! — Wielkość duchowa, to wielkie cierpienie, a w obec niego staje się nieraz sława bolesną ironją świata. Nie zadawalnia ona, ale osmętnia. Szczęśliwi ci, którym sława kładzie dopiero ich wieniec na grobie.

I z tego powodu ślicznym jest Janusz w tej chwili, kiedy nie znając prawie co to sława, tak łatwo z niej rezygnuje. Gdyż dotąd, chociaż znano pieśni Janusza, znano je jak każdą wielką, w lud utonioną rzecz — bez wiedzy o ich autorze. Oświeceńsi towarzysze bojowi, oko-

liczna szlachta, z którą się później zetknął, wiedziała tylko o nim. Ale winnym jest i grzesznym Janusz, rezygnując ze swego posłannictwa, pełnego wielkich, choć może tylko wyśpiewanych czynów — do których pasażerowie zwykle czepia się sława.

XI.

Wieczne zdrowie i pogoda nie objawiają się nigdzie, ani w naturze, ani w duchu ludzkim. I jak po przeżmieniu burzy żywiołów, natura odświeża się, młodnieje i staje się zieleńszą, tak i duch ludzki potrzebuje kiedy niekiedy odmładniających go walk — potrzebuje nieraz zwątpić, aby potem silniej uwierzyć. Najświętsi ludzie mieli chwilę swego upadku. Pierwszy apostoł Chrystusowy wątpił — on, co utworzył potem kościół, którego bramy piekiel nie przemogą. Każda silna wiara rodzi się z płomienia, a również z żywości wewnętrznego ognia rodzi się niecierpliwość. Martwa tylko wiara nie pragnie spełnienia swego w życiu, więc dla żywej, świat ten wlece się za powoli — ztąd chwilowe zwątpienie. Później więc, kiedy mi przyjdzie oskarżać pana Wincentego Pola, nie poczytam mu za grzech że wątpił, ale słusznie nazwę jego apostazją to, że nie przestał wątpić — a poczytam mu za najstraszniejszy grzech to, że w zwątpieniu będąc pisał i zamiast zdrowego ziarna dawał truciznę narodowi.

Janusz miał serce rozpłomienione, więc niecierpliwe; w górach jeszcze będąc, wykrzyknął raz: „Po co my nosim naszą nędzę w góry? a żegnając je, równym ża-

lem, jak to już wykazałem, wzbiera pierś jego. Nie uspokoiło go bliższe przypatrzenie się młodemu pokoleniu szlachty, z którym później obcował. Jest w naturze polskiej jeden rys jej charakteru, którego wartość trudno nam określić, a tym jest jakiś pozorny hart, co występuje w nas po każdym wielkiem nieszczęściu, a który u naszych przodków był niezawodnie wiara, a u nas stał się lekkomyślnością. Każdy głębszy objaw ludzkiego ducha wyraża się jakąś przypowieścią. U nas mówi się: kiedy bieda to hoc! — Straszne, przerażające wyradzały się, osobliwie w ostatnich czasach Rzeczypospolitej, objawy tej naszej natury. Za króla Sasa popuszczano pasa. W budynku, co stał już w ogniu — bankietowano! A kiedy ojczyzna rozsypywała się w gruzy, jakiś szalony obłęd, jakby pragnienie upicia się na śmierć, aby zapomnieć o wszystkim, ogarnął cały prawie szlachecki naród. Kraj cały był jak cyrk rzymski, w którym przy huku oklasków konało nie wielu gladiatorów: Rejtan umierał, rozprówszy sobie łono własną ręką. Również i po upadku powstania 1831 r. objawiła się u naszej szlachty galicyjskiej i poznańskiej ta lekkomyślna junkierja, od której ochroniła polskie, przez Moskwę zabrane prowincje, barbarzyńska repressyjność rządów Mikołaja. U nas szlachta piła, polowała i ogromne summy przegrywała w karty, a lekcewżyła nawet obowiązki rodzinne. Patrzył na to Janusz i zgorzkniało mu serce. Czuł on potrzebę, aby wszystka krew do Rodziny się zbiegła, niby do serca z kąd się życie wzięło, i że z tego serca ma się rozejść ciepło po wszystkim ciele, gdy bo-

leść przeminie. Zdawało się Januszowi, że i on nie powinien być wyjątkiem i że jest jego obowiązkiem pójść przykładem: ożenił się.

XII.

Ale jak już mówiłem, Janusz miał większą misję. Otoczywszy się ścianami skromnego, rodzinnego domu, duch jego nie skupił się, ale się ścieśnił. Obudził się w duszy Janusza nowy ton: Dom i rodzina, który zaczął płatać i łamać dawniejszy jego ton: Bóg i naród; ztąd częsta niekonsekwencja w objawianych przez Janusza zdaniach. Raz mówi do swej narzeczonej: »a wierzchem życia plunieniem wesoło.—to znowu poświęcając wiersz Polce, idącej do ołtarza, kończy go słowem: »świat idzie wierzchem, prawda leży w głębi.

Pomimo jednak tego rozstroju sprzeciwiających się tonów, pięknym jest jeszcze Janusz w pierwszych latach swego pożycia rodzinnego.

Kto silnie wierzy, kto duchem pracuje,
Brzydzi się czczością żywota, jak grzechem;
A w naszym kraju, kto myśli i czuje,
Ten nie spogląda po świecie z uśmiechem!

Jeżeli sądzisz może, mówi dalej Janusz, że mam dla ciebie śmiechy, to mnie nie szukaj — ja nie będę bawił, (ach! a teraz bawi). Jam w pracy całą nadzieję położył, mówi Janusz, a resztę zdaję jako kmieć na Boga; i siacę będę moje pieśni jako ziarna pod grudę wieku, pod czas mozoły, i mam tę nadzieję w sercu, że plon z tej siewby zbierze mój naród.

Każda prawdziwa wielkość objawia się prostotą. Język

nasz, jeden z najbogatszych, dziwnie umiał wyprowadzić z jednego źródła dwa wyrażenia, tak przeciwne swojemu pojęciem, jak ziemia a niebo: prostactwo i prostotę. Kto czuje się wielkim, nie potrzebuje starać się o to, aby go za takiego uznano; mimowolnie wyda on się słowem, spojrzaniem, czynem każdym. Piękność duchowa powinna być nagą jak posąg starożytny. Kto obwiesza się świecidełkami, aby zwrócić uwagę ludzką na siebie — ten niezawodnie sam już siebie ocenił, i wie że jest mały. Janusz miał wielką prostotę. Kiedy usłyszał trąbkę, zwiastującą przybycie dalekiego, spodziewanego gościa, woła do żony: 'Hej, każ nałożyć ognia na kominek! — Wielki wieszcz narodu zdybał się mimowolnie z góralskim gazdą, któremu czas i okoliczności kazały zostać chłopem, mimo senatorskiej w nim duszy. Gazda ten przyjmując Janusza w swej chacie i po krótkiej rozmowie, ukochawszy go, woła do Kachny: 'Nie warz już mleka, lecz skocz po wódkę'.

Janusz objawia w pierwszych latach swego pożycia rodzinnego trzy piękne rysy charakteru: prostotę, smętność i rozum. Trójca ta duchowa jest tylko trzema promieniami jednego wiecznego słońca: miłości. Straciwszy później miłość, stracił pan Wincenty Pol wszystkie te trzy promienie. Wykazałem już, jaką Janusz miał prostotę. Smętność jego objawia się również dobitnie. W wierszu Nowy Rok i w zakończeniu Obrazów z życia — jakież to smutek wieje anielski! Ludzkość wesoło przybyła wita — mówi Janusz — a dla nas jeszcze rok

stary! I głuchy on i posępny, i nie daje nam ani wiosny, ani kwiatów, ani przesilenia.

My na miesiące życia nie liczym;
Rok nasz ma inne wymiary.
Gdy inni życzą, my nic nie życzym,
Bo dla nas jeszcze rok stary!

Innym do twarzy szaty godowe,
My strojni w zwoje całunu;
Innym z wawrzynu, innym mirtowe,
Nam padły wieńce z piotunu....

A w zakończeniu do Obrazów z życia, jak cudownie umie on plątać i zlewać pojęcie łzy i pieśni:

Lecz kędy życie cierpień nie zmieści,
Cierpienie w pieśń się przelewa;
Wieszczę natchnienia rodzą boleści,
I co ma płakać, to śpiewa!

.....
Bo gdyśmy z Bogiem jedynie sami,
To już nie wiedzieć bez mała,
Czy łza jest pieśnią, czy pieśni łzami,
Tak się łza z pieśnią już złała.

Równie potężnie objawia się rozum Janusza. Patrząc dziś trzeźwiejszem okiem na ruchy polityczne, wyłaniane na kraj przez emigrację, chociaż nie mamy odwagi potępić ludzi, którym rozpacz wskazywała nieraz otwarte przepaście jako drogi zbawienia — sumiennie potępić możemy niektóre zasady w tych ruchach. Już samo zaparcie się i poniewieranie całej przeszłości narodowej, było bluźnierstwem i świętokradztwem. Dobry syn czei i miłuje ojca swego, pomimo nawet jego błędów; wycho-

wując swoje dziecko stosownie do lepszych, rozwiniętych pojęć w świecie, nie zabija w niem przeto cześci dla zgrzybiałego dziada; a jeśli stawić go nieraz musi jako przykład, to chętniej podnosi czasy jego młodości i siły, niż upadku późniejszego wieku. Bo kto chce sam na starość być czczonym, niechaj szanuje starszych. Janusz więc wie, że kiedy myślą chcesz w przyszłość potoczyć, musisz z przeszłością o niej się naradzić.

Przeszłość jak prorok o przyszłości wróży.

Kto chce przeszłości? świat się wstecz nie wraca;

Co mu służyło, to mu dziś nie służy!

Lecz dzieje przodków, o, to krwawa praca!!

A kto puściznę dziadów marnotrawi,

I z grobów rusza Bogu ległe kości:

Jak ptak co kala gniazdo, się osławi,

I miasto życia, poczyna — wiek czczości!

Duchem przejść trzeba, co się sercem żyło!

Użycie trawi — lecz pamięć jest siłą,

A gdy jej obraz przesnuje się wstęgą,

Przed duszą ludu, jest pamięć — potęgą!

Z ducha ma urość, to co chce być dzielnym,

W tem tylko życie, co siła przetrawi;

A gdy się w dziejach duch narodu spławi,

Jak anioł świeci blaskiem nieśmiertelnym.

Nam duszę skąpać w Piastowem jeziorze,

Świętym tej ziemi grzechy wypowiadać,

Nam z mogiłami naddziadów pogadać,

I pieśnią ludu poczyć sądy Boże!

Nikt prawie w one czasy nie pojmował tego tak głęboko jak Janusz, bo mało kto tak jak on kochał swój naród. Natchniona ta wiedza czyni go nawet niesprawiedliwym, bo nie pozwala mu odłączyć działających ludzi od ich myśli. Wiersz dziewiąty w Obrazach z życia również jest wielkim, jak proroctwo kapłana polskiego w Pieśniach Janusza. Tylko orzeł z pod słońca patrzy tak na wicherzące się dzieje świata. Jest rzeczą niezawodną, że ruch socjalistyczny, rozbudzony we Francji, a który przez jakiś czas przekradał się i do nas, o tyle jest potępiania godnym, o ile pędzi świat na drogę materializmu. Czuł to już wtenczas Janusz, że przy takim parciu stanie się on widny, lecz chłodny.

Chłodno i trzeźwo — wiek niby dościgły,

Jak obrażony owoc i wół zgniły,

A człowiek mądry i jak wąż wystygły...

Proroco czuł on już wtenczas, że świat pragnie wejść w nową epokę — w trzecią epokę Świętego Ducha, co ogniem chrzcić będzie, bo:

Nie ma zwycięzcy, a świat jest pobity!

I tłum się w błędach coraz więcej podli,

I choć ochrzczony, żyje jak poganin;

I zbrodnia bluźni, obluda się modli,

A jak wśród pogan, cierpi chrześcianin!

A ci co chcą radzić i leczyć ten świat z jego niemocy,

.....jedni pragną, woli swojej znamię

Wypiec na duszy okutego świata;

A drudzy rwą się uzbroidć swe ramię,

I całą ludzkość zmienić w topór kata,

bo chociaż mądrzy, a z ogromnej księgi dziejów nie

wzięli ni jednej nauki — i zbywa im na miłości wszelkiej. Ale próżne łamanie się tych dwóch sił równie złych. Janusz z pod sklepu wysokiego nieba, gdzie wyleciał, widzi już świt nowy. Nam mroczno jeszcze, ale jego oko zachwycą się już pierwszemi promieniami nowej zorzy, wstającej z błotnego morza łez i krwi:

Rodzące bole i trwogi skonania,
Które dziś ludzkość i trapią i palą,
Są to jutrzeńką owego zarania,
I one przyszłość szczęśliwszą ustalą.
Matka ten żywot, pokalany grzechem,
Zamknie swą śmiercią — ale kiedy skona,
Z niewinnem sercem i z rajskim uśmiechem
Wyciągnie dziecię do świata ramiona.

XIII.

Zdaje się, że Janusz wystrzelił tak wysoko i zapanaował swoim okiem nad całym globem, jakoby przez rękę dla strzechy rodzinnego swego domku, pod którą zaczynało już być dla jego ducha za ciasno i za nisko. Dziewiąty wiersz z Obrazów z życia, obszerniej przez nas zacytowany, zawiera słowa nie już poety, ale proroka, które zwykle na puszcę padają, bo do dzisiaj mało je kto zna, a prawie nikt je nie podnosił. Patrząc na tę ziemię z wysokości podślonecznej, uląkł się Janusz braku wszelkiej miłości, jaki ogólnie spostrzegał. Od tej ziemi nie wiała ku niemu woń rodzących się kwiatów, ale rozkładowa zgnilizna bez pogrzebnej cześci porzuconego ciała starego świata. Janusz kochał przedewszystkiem swoją rodzinną ziemię; spadł więc własną wolą na niższe

warstwy obłoków, aby lepiej ją ogarnąć i wydać głos słyszalny dla niej, wyśpiewał: Pieśń o ziemi naszej. Książeczka ta nie wielka jest jak drogocenny brylant o licznych płytkach, a które chociaż migają się różnemi kolorami polskiej powiatowszczyzny — tworzą w całości jedno światło: całą ojczyznę.

Pisząc ten poemat, było celem Janusza, murami więziennych granic rozerwanych i zobojętniałych dla siebie mieszkańców, żywiej zapoznać ze sobą, wyciągnąć ich duchy ponad niskie sufity, postawić ich na górze obok siebie, wskazać im tę cudowną ziemię, płynącą mlekiem i miodem, i powiedzieć: oto wasza Kanaan!...

Kilka lat przebytych w cieśni domowej z proroczem, samotnem, bolejącem sercem w Jonie, wydało się Januszowi, jakby czterdzieści lat tułactwa Mojżeszowego — więc tak zaczyna swoją pieśń:

Długom błakał się bez celu,
I milczałem troską blady,
Jak grobowy głaz Wewelu;
Bo nie było z wami rady.

W waśni bracia się rozdarła,
I jak wróg mi życie zbrzydło,
Jak w więzieniu pieśń zamarła,
I sokole zwiśło skrzydło....

Ale potężny i natchniony krzyczy zaraz kończąc ten wstęp:
„Żyj narodzie!”

Zbytecznem jest szerzej rozbierać piękności Pieśni o ziemi naszej; umie ją prawie cały kraj na pamięć. Podniosę tylko niektóre rzeczy, może niedostatecznie dawniej zro-

zumiane. I tak Janusz zaczyna swój poemat obrazkami Litwy i jej mieszkańców. Długi czas była dla nas ta siostra tajemniczą prawie; przemocą jak więcej innych jej sióstr, wydano ją za mąż; poszła zapłakana i zamieszkała puszcze sosnową. Rozerwały się związki rodzinne między siostrami; bolejące nie odzywały się prawie do siebie; o czem mówić, kiedy u każdej dzieci mra, a nędra w chacie — a nawet i listy-by nie dochodziły! Otóż Janusz pierwszy nas bliżej zapoznaje z Litwą, i stawia ją na czele swego poematu, jakby w przeczuciu tego uczczenia, które dzisiaj odbiera od nas, za swe tak cudne objawienie się w włościańskiej sprawie.

W swoim tytanicznem uniesieniu mówi raz Janusz: „Trzeba będzie niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować.” Prześciga on tym wyrazem nawet nas, co chcielibyśmy burzyć tylko to, co złe, więc niemiłe.

Każda miłość może być karzącą. Słusznie rozgniewana matka zachmurzy nieraz swe czoło, zmieni swój łagodny głos na ostry i obje winne swe dziecko — a potem schowa się do kącika i płacze. Janusz srogo karci wołyńskich panów i podolskich półpanków.

Nakoniec pokazuje się nawet, że Janusz, poznawszy bliżej lud i szlachtę, tamtemu daje pierwszeństwo, i co jest mylnem, każe świetną przyszłość dźwigać plecami ludu kmiecego:

Bo w tem łonie przyszłość żyje!

A czy chcecie wiedzieć jaka?...

Świetna! Świetna, jak myśl ona,

Którą natchnie Bóg i bitwa,

Czysta, święta, jak modlitwa
 Przed skonaniem odmówiona,
 A potężna jak lud kmiecy,
 Co ją dźwignie swemi plecymi—

a zaraz potem mówi:

A tej szlachcie znarowionej
 Gdyby Bóg dał rozum kmiecy! . . .

Więc chociaż godzimy się na ostatnie dwa wiersze, chcieli i pragnęlibyśmy, aby szlacheckie plecy, a szlachta nazywam każde gorące, miłujące kraj, chociaż nie ozdobione herbem serce — dźwignęły przyszość naszą.

Po napisaniu tej cudnej pieśni pisze Janusz najpiękniejsze fragmenta swego Mohorta. Z tego poematu wykaże jedynie później ujemne jego strony: w ogólnem uwielbieniu dla tego dzieła prawie dotąd nie podniesione — gdyż zasłużonym po części pochwałam niczym nowego przydać nie mógł.

Taka jest postać Janusza; zbudowała ją potężna wiara i głęboka miłość ducha jego. Na czterech płytach jego piedestału złożą się cztery napisy; na jednej: Pieśni Janusza; na drugiej: Obrazy z życia i podróży; na trzeciej: Pieśń o ziemi naszej; na czwartej: fragmenta z Mohorta. A na tym piedestału stoją postacie trzech sióstr: Polski, Rusi i Litwy, powiązane ze sobą jednym sercem, jedną myślą, a splecione ramionami we wspólnem objęciu. A na ich ramionach: Janusz!

XIV.

Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł, wyniosłszy ten posąg, zostawić go w całej jego piękności, i nie czuł

srogiego obowiązku wykazywania jego późniejszych plam i szczerbów. Toż pozwól mi, życzliwy dla mnie czytelniku, odwlec przynajmniej tę chwilę; a więc gdy mi się nadarza sposobność do tego smętnego odpoczynku, użyję go, usiadłszy na stopniach pod posągiem Janusza, aby pogawędzić z tobą, miły mój czytelniku.

Doleciały zapewne do twoich uszu te krzyki, które na mnie powstają głównie od ludzi, mających znajomsze imię w literaturze lub na stanowisku swoim na pozór narodowem. Cóż to dowodzi?... Oto, że uzurpując dłuższy czas nadaną im powagę, czują się w własnem sumieniu winnymi w obec narodu. Fałszywi i połowiczni krzyczą, że za dużo szczery; tchórze krzyczą, że za dużo śmiały; grzeszni krzyczą, że za dużo surowy; martwi i obojętni krzyczą, że za dużo gorący; a ci, co uważają styl jako pompatyczne szczydła literackiej powagi, uśmiechając się, mówią: „On nie ma stylu! — Brakujące tym panom cnoty uważają za błędy moje. Przyzwyczajeni w ciepłej izbie na dwóch stołkach siedzieć, razi ich to, że wyskoczyłem na bruk, aby mówić do wszystkich; przyzwyczajeni do stąpania w cichych, miękkich pantoflach i z trwożliwą ostrożnością nawet po gładkiej posadzce — usłyszawszy stuk mojej chłopskiej podkówki, uderzającej o kamień i krzeszącej z niego iskry: zatykają sobie uszy ci... bawelniani!

Na różne nieszczęśliwe koncepta wpadają ci ludzie, aby mój głos przytłumić albo unieważnić. Jeden z nich chodził na pozór zmartwiony, i mówiąc o mnie, znacząco

pukał po własnem czole; muszę go zmartwić do reszty oświadczeniem: żem zdrów zupełnie. I zgadnijcie, co mu dało powód do tego podejrzenia?.. Oto, żem się niedawno spowiadał, aby przyjąć Ciało i Krew Pańską. O wy, co nauczacie naród, pełen jeszcze wiary swych przodków, i chcecie mu przewodniczyć..... sami bez wiary!..

Nie na tem koniec. Zaczynają mnie dochodzić listy anonimowe; niektóre z nich o tyle delikatne, że frankowane. Jeden z nich brzmi nawet ewangelicznie, podaje go w całości.

— Nie sądz, bo będziesz sądzony.

— Szatan jest oskarzycielem ludzi przed Ojcem — biada tobie, że służysz szatanowi!

— Kto chce być pierwszym, ten jest ostatnim. *Brat Rafał.*

List ten otrzymałem zaraz po wydrukowaniu dwóch moich pierwszych artykułów, tyjących się zdrajców i megu żalu za sponiewieranie kości Sieniawskich. Bezimien-ny więc ten ewangelista chciał zapewne wzięść w obro-nę rudego Judasza i sprofanowanie Grobu świętego. Czyż warto takiemu odpowiadać, co podpisuje się bratem tego, który służy szatanowi?... Znam tego anoni- ma-archaniola, wiem kto ten list pisał — ale nie wy- mienię jego nazwiska, bo by się przez to czuł w swo- jej próżności zadowolonym. Są ludzie, których można uderzyć w twarz — byle publicznie!

Żałuję, żem o tych drobiazgach wspomniał; któż zwra- ca uwagę na robactwo, co się mu ciśnie pod podeszwy? Inny miałem zamiar, pisząc ten dodatek. Chciałem odpo-

wiedzieć na list serdeczny, piękny, kochającego kraj Leliwy z nad Świcy.

Boli cię, mój drogi bracie, żem stał się publicznym prokuratorem narodu, że wykrywam grzechy, dotąd tak starannie ukrywane, że nie mam miłosierdzia dla błędnych dzieci jednej naszej matki, żem nie przebaczył tym, co może lepsze mają serce od swych słów na ustach. O, mój cichy i serdeczny! wierzej mi, żem bardziej, dłużej i samotniej cierpiał od ciebie, nim chwyciłem za trąbę i piorun. A dla czego?... Bo ci, co dają i drukują swoje słowo, zesli po większej części na dziennych zarobników, upominających się natarczywie każdego wieczoru o zapłatę; bo istnieją grzechy i zbrodnie, co są nie jak błędne, ale jako parszywe owce, zarażające całą trzodę; bo są winowajcy, co milczenie narodu nie wezmą za milczenie pogardy, ale za niemoc lub uznanie; bo i dla naszych grzesznych dusz czeka poza grobem czyściec a i każde społeczeństwo, wymierzając karę na winnych, te dwa powinno mieć cele, ubezsilnić szerzące się zło i przyczynić się do rychlejszego oczyszczenia się z złego; bo byliśmy grzeczni i łaskawi dla innych i dla swoich, i dla tego doszliśmy do takiego upadku; bo ja potępiam i nie wierzę w żaden walenrodym, a każdy fałsz, choćby okryty anielską szatą, jest grzechem; bo wolno i pozwolonem jest każdemu milczeć w cierpieniu, ale nie wolno chrześcijańskim męczennikom wołać: „Niech żyje Neron i Jowisz!“ — Bo nareszcie, mój drogi bracie, ja nie mogę już śpiewać i pozwolę sobie zacytować ci dwa moje wiersze:

Dziecko, gdy w grób matkę chowa,

To ryczy płaczem — nie śpiewa!

Bo nakoniec, ja wierzę w dobre skutki mojego głosu — bo wierzę w mój naród. Żegnaj cię, mój drogi a nieznanym; czytając twój list pomyślałem sobie: „Mój Boże, czemuż ci, a jest ich tak wiele, co mają serce gorące i umysł wykształcony, tulą się gdzieś po kątach, cisi i pokorni i nieufni w własną potęgę, lękają się wydać głos jawniejszy i donośniejszy, i pozwalają w literaturze i w dziennikarstwie szerzyć się bezdusznym pasożytom?!... Żegnaj cię, a zachowaj mię w swoim sercu!

Po raz pierwszy i zapewne ostatni podnoszę własną sprawę; a uczyniłem to w nadziei, że uwolnię się na przyszłość od listów bezimiennych, do których odczytania nie mam po prostu czasu, a które chybiają swego celu, padając jak krople, czy to łzy przyjaźnej, czy oszczerczego atramentu, czy nareszcie jako krople jadu, na moją pierś, co stała się obecnie jak pochyła powierzchnia szlifowanej stali.

Krzyż a miecz!... Dalej!

XV.

Przechodzę do oskarżenia. Sądząc Wincentego Pola, nie można zapomnieć o tem, że był Januszem. Według miary ducha powstają i grzechy jego. Zwierzęta prawie nie grzeszą; to co jest drobnym błędem u nieoświeconego chłopca, staje się zbrodnią u kapłana — a jeden i drugi sam się osądza. Za każdym większym oczyszczeniem się sumienia rozwija się drażliwsza jego skrupuła-

tność. Brak harmonji między sumieniem spowiednika a sumieniem korzącego się, odpędza i zniechęca nieraz wiele czystszych dusz od spowiedzi. Nie jeden ze spowiedników, usłyszawszy z ust takich wyznanie grzechu, o którym nie ma wzmianki ani w dekalogu ani w katechizmie — zadziwi się i weźmie to wyznanie, za obłąd umysłowy. Chrystus, uspakajając skruszonego po zaparciu się Piotra, powiedział mu: Nie siedm, ale siedmdziesiąt siedm razy grzeszy człowiek na dzień. A powiedział to nie w myśli, że każdy człowiek ma i wewnętrzne przeświadczenie o tem, ale stosował to do pojęcia własnego, najczystsiego na ziemi ducha. Otóż i Wincenty Pol, gdyby był nie był Januszem, nie podpadałby pod tak surową krytykę.

Z czasem prawa duchowe dadzą się tak ściśle i niezbitnie ująć i określić, jak niektóre dziś prawa fizyczne. Między innymi pojmujemy już i teraz, że o ile skrupulatność podnoszącego się ducha staje się lękliwszą i drażliwszą, o tyle duch upadający coraz więcej traci na tej drażliwości swego sumienia. Pierwszy krok, postawiony na ślizkiej i pochyłej drodze błędu, jeżeli go z przerażeniem nie cofnie, pociągnie nieszczęsnego w bezdenną przepaść — a ocknie się dopiero, ujrawszy się na dole. Surowym więc trzeba być w życiu, a przedewszystkiem dla siebie samego. Dla ludzi więc, którzy swoją potęgą magnetyzują, przyciągając do siebie mnóstwo innych duchów, surowość taka powinna być jeszcze mocniejszą. Niejeden człowiek, stojący na wysokości Alp narodowych, upadając na pochyłość grzechu, pyłem pierwszego błędu

staje się potem lawiną, co zasypuje całe miasta. Tak pojmuję stanowisko Wincentego Pola, i mój obowiązek jako jego oskarżyciela.

Pyłami są po największej części pierwsze błędy tego znakomitego człowieka; rosną one z każdym rokiem coraz bardziej; lawiną się jeszcze nie stały, ale już wielki czas, aby ostrzedz spiących mieszkańców w dolinie. Wierzę, iż Wincenty Pol ma jeszcze wszelką siłę po temu, zatrzymać się w swoim gwałtownym rozpędzie, bo ducha nikt stracić nie może, może go tylko ubezwładnić, a od woli każdego zależy zbudzić go do pierwotnej jego siły. Obowiązkiem jest moim krzyknąć na zaspalych: Obudźcie się i wychodźcie z domów, bo niebezpieczeństwo wam grozi! — chociaż ufam, że w razie potrzeby pokazałaby się przeciw spadającemu spiewakowi wyciągnięta ręka boża na znak: Nie pójdziesz dalej!

XVI.

Zaczynam więc od pyłów. Pieśń o ziemi naszej, chociaż wcześniej napisana, drukowaną była już po Przygodzie Winnickiego w Nieświeżu. Długi czas chodziła ona w rękopismach po całym kraju, a tymczasem wydał pan Wincenty Pol swoje „Przygody Winnickiego”. Otarł on się już o złą część naszej szlachty, która mu schlebując, pełnęła go do apoteozowania swoich przywar, okraszonych jakimś pokostem wrodzonej nam oryginalności. Zniżając się do tych wymagań, duch Janusza łamie się jeszcze z początku oporem na tej nowej drodze, ale pchają go silne ręce — więc idzie. W Przy-

godach Winnickiego apoteozuje pan Wincenty Pol Radziwiłła Panie Kochanku, który miał swoje dobre i złe strony, i boćkowskie nahaje zapijającego się szlachcica. Pomimo silnego i pięknego jeszcze wiersza, idzie ten poemat panu Wincentemu Polowi jakoś niezręcznie. Jest jakiś widoczny dualizm w tym utworze, a ten dualizm objawia się u tego autora i w późniejszych jego drukach, z tą różnicą, że zły głos coraz bardziej przeważa nad dobrym. O tyle jednak widać już w tej pracy, że pan Wincenty Pol zatarł w sobie indywidualność Janusza, występując w niej jako chłodny, epiczny poeta, kryjący się za plecami działających osób i pozwalający im działać źle, bez dodawania by najmniejszej moralnej uwagi ze swojej strony. Ale na teraz wrócić się muszę do dualizmu, aby go zaraz na wstępie wykazać. Opisując dwór Cetnera, jawnie sarka pan Wincenty Pol na jego zczudoziemczalność, ale zaraz na trzeciej kartce, mówiąc o paniętach, wychowujących się razem w konwikcie jezuickim, wyraża się o nich, iż nie źle się wykierowali, bo jeden z nich wziął buławę, a tym był Seweryn Rzewuski, buntownik targowicki! — a inny, sam pan Cetner, został wojewodą, a jeszcze inny: sławny Stanisław światłem i urodą, siadł nawet na tronie — on, co zgubił ojczyznę, i o którym mówił niegdyś Janusz:

„Stanisław był królem, — kiep, odpuść mu Panie!

I takie-to było jego panowanie;

Bo ani do tańca, ani do różańca.

Pokażny-to niby na oko, a tchórzył;

Łaskawy-to niby, a naród oburzył.

. bo chociaż zaprzysiągł nam pakta,
Nuż dalej z moskiewską carycą w konszaktą“.

A ten, jak mówi w Przygodach pan Wincenty Pol:

. kiedy królował,
Więc dawnych przyjaciół w pamięci zachował,
I świadczył im łaski, nawzajem kochany.“

Po kilku latach niebytności wraca młody Winnicki w dom rodzicielski; a dojeżdżając doń, gdy ujrzał znajome sobie sady i błonie i dworek, w którym się rodził, i ojca idącego przez rolę, zawrzało mu w sercu, pocisnął konia i leci przez otawę naprzeciw swego rodzica. Stary Winnicki, jak widać ze wszystkiego, tyran i lubiący się napijać, krzyczy z daleka na syna: „Mosanie otawa! kto jeździ przez błonie? A że każdy zły lubi pokrywać swoją złość jakimś pozornym, świętszym powodem, więc i stary Winnicki wspomina także o figurze, którą wyminał rozczulony syn, nie uchyliwszy czapki. „Zdjąć czapkę i z konia! woła dalej zagrodowy despota. Syn wypełnił rozkaz i czeka z pokorą pod krzyżem na nadchodzącego ojca. Zaczyna się litanja popełnionych przez syna grzechów, aby można dojść w końcu do wytkniętego sobie przez złe serce celu: do monitora boćkowskiego. Więc najprzód strącał otawę, więc niepotrzebne brały go się ćwiczenia z koniem, więc najechał na ojca zuchwale, więc przed krzyżem nie uchylił głowy, więc ubrał się w drogę za strojno, a czyniąc ostatni ten zarzut, objawia się najbrzydsza strona charakteru ojca, zawistnem patrzącego okiem na kosztowniejszy strój u syna, niż go sam kiedy posiadał. Jakże inaczej objawia się serce poczciwej

matki, witającej swoje dziecko?! Ona go wita i pieści i gości, i tysiąc naraz zadaje zapytań i chwali fantazję, obyczaj i stroje, i z płaczem go tuli: „A dziecię kochane, a miłe, a moje!...”. I kiedy tyran domowy zamknął się ponury w osobnym alkierzu, i chodząc jak tygrys po klatce, cieszył się w duchu na chwilę, w której będzie mógł wyrzucić swoją złość na własnym dziecku — bogobojna matka ukłękła we łzach wraz z synem przed obrazem, świadkiem jego urodzenia, i w modlitwie dziękowali Bogu za szczęśliwy powrót w dom ojców, a potem zdjęła ze ściany relikwiarz i podała synowi do ucałowania, i kazała mu sobie pokazać dukat poświęcany, przed laty mu dany w intencji najszczęśliwej. Po opowiedzeniu matce swoich przygód i po wieczerzy idzie młody Winnicki do przygotowanej dla siebie izdebki. Ale w sieni zatrzymuje go pan ojciec i wita z ironją: „Jest jeszcze dla waści wieczerza”. I wciąga do izby i zamyka na klucz, i każe synowi zdjąć odzież, bo „szat szkoda, grzbietu nie”. I obija go bezmiłosiernie, po tyrańsku, ten pijak stary. Dworek zagrodowego szlachcica był niezawodnie szczupły; matka, o której sam jegomość mówi, że „w wieku i chora”, musiała niewątpliwie słyszeć jęki swego dziecka i zwierzące nad niem pastwienie się. Nie na tem koniec, o chlebie i wodzie trzymał jeszcze zamkniętego ojciec przez cztery tygodnie:

„Nie wolno też było instancji wnosić,

Więc matka płakała i nie śmiała prosić.“

Aż dopiero wypiwszy raz z proboszczem ze „cztery bu-
telki; pozwolił się w końcu przez księdza ugłaskać.

Z oględności, z jaką się proboszcz do tego dzieła zabiera, widać, że znał wileczą naturę tej swojej parafjalnej owieczki. Nie mniej zna go żona, która nieśmiało także swoje „słoweczko” wtrąciła: „Więc pozwól jegomość, by złożył ukłony samego pana Radziwiłła.” I dopiero udo-bruchał się czuły mąż i ojciec.

„Więc jejmość powiadasz, więc, ale!... tak!... tego...

Że księżę się kłania i dary przysyła?”

Ślicznie kończy Winnicki swoje opowiadanie o tej przygodzie. „Patrząc na *volum* złożone w farnym kościele, dziś jeszcze kiedy go zobaczę

Ogarnie me serce jakoweś wesele,

I nieraz w modlitwie i z cicha zapłaczę;

Bo wówczas wspominam szczęśliwy wiek młody...

I ojca i matkę...”

Rozumiem, że dobry syn tak powinien wspominać swego ojca, chociażby tyрана; rozumiem że Winnicki opowiadając o tak srogo i niezasłużenie odebranej karze, nie poskarzył się ani jednym słówkiem na jej niesprawiedliwość — ale niech mi odpowie pan Wincenty Pol, na jaki cel wziął taką brzydką treść, aby napisać poemat? Czy chciał podnieść pokorę synowską? Wątpię — bo naten-czas przynajmniej w przypisku, w miejscu gdzie uczuł potrzebę tłumaczyć nam, czem był monitor boćkowski, powinien był się poczuć do świętszego obowiązku: potępienia użylku tego narzędzia, w uświetnionym przez poemat razie.

Skończywszy rozbiór tego poemaciku, dobra nadarza mi się sposobność do rozwinięcia niektórych myśli, ty-

czących się formy, jaką sobie obrał pan Wincenty Pol do wymienionego i następnych poematów. Uważam, że autorowie, niepewni w swoim sumieniu, nader chętnie kryją się ze swoją indywidualnością, i w dziełach sztuki zaślaniają się opowiadaniem kogoś innego. Rzewuski zaczął od opowiadań Soplicy, ale jako człowiek pychy, bo szatan i oparty o plecy moskiewskie, nabrał odwagi do wystąpienia później jako Jarosz Bejła. Także i pan Wincenty Pol, chociaż niech mnie Bóg broni abym go chciał stawiać na równi z onym obrzydliwym pieczenia-rzem — dopokąd był Januszem, śmiało i odważnie występował ze swoją indywidualnością, a dopiero później, kiedy został chwiejnym i niepewnym siebie, zaczął opowiadać ustami to Winnickiego, to Krasickiego, to Wita Stwosza. Zygmunt Kaczkowski, którego wysoko cenię, przybierając tę formę, uniósł się tylko niekorzystnem naśladownictwem, i nie daje w tej mierze żadnego dowodu. Forma taka jest nadzwyczaj — wygodną; nie prowadzi do żadnej odpowiedzialności. Autor na każdy zrobiony mu zarzut, może powiedzieć: To nie jest moje zdanie, to zdanie Winnickiego lub Soplicy — i tym sposobem oczyszcza się. Mniejsza, że obieranie takiej formy jest dowodem tchórzostwa autora, ale właściwe niebezpieczeństwo jest w tem, że autor cudzemi ustami może rozsiewać złe nauki, nie czując się być za to odpowiedzialnym, i staje się nieraz podobnym do tego ukrytego mordercy, co najmuje włoskiego brawa do wykonania swej zbrodni, albo do tego lokaja, co podając tłuczony cukier gospodyni, traktującej swych gości poziomkami — dosypał

weń arszeniku. Mógłby ktoś zrobić zarzut, iż każda dobra sztuka dramatyczna o tyle jest lepszą, o ile więcej zakrywa autora; odpieram więc go tym dodatkiem, że nadając utworowi taką formę, starać się powinien autor owiać ją przynajmniej i zapanować nad nią własnym swoim duchem. Ani w *Soplicy* ani w *Pamiętnikach Winnickiego* nie widać tego rozświetlającego ducha autorów—ale gdzie go można czuć i widzieć, to w *Reducie Ordon* i w *Gawędzie przy kominie*, chociaż to także opowiadania kogoś innego.

XVII.

Tu także pora zastanowić się nad szkodliwymi wpływami, które zaczęły psuć ducha Januszowego. Nieszczęśliwa to była chwila dla śpiewaka i narodu, kiedy po raz pierwszy zasmakowało serce Janusza w oklaskach białych, aksamitnych rączek, w czarownym uśmiechu sentymentalno-patriotycznych Polek, w nieszczerych uniesieniach niezłych ludzi, w miękkiej wygodzie wielbionego i ugaszczanego poety, którego sadzano na elastycznym fotelu, aby palić przed nim kadzidła i obsypywać go kwiatami. I tym sposobem stało się, że wyjechawszy raz z domu Janusz, wrócił już jako pan Wincenty Pol. Nie w salonie miejsce dla wieszca narodowego, ale na ulicy albo na pustyni. Atmosfera salonowa, to atmosfera cieplarni, co wychowuje rośliny, obce nam widokiem i swoim zapachem; miłszy mi fiołek lub konwalia, kryjąca się w wilgotnym cieniu leszczyny, niż *Victoria regia*, a od kaktusu wolę naszą swojską pokrzywę. Skutek więc był

ten, że kiedy Janusz w pełnem swoim narodowem kwieciu przeniósł się w tropikowe gorąco salonu — zwiądl, zmarniał, opuścił głowę i zabrakło mu tchu w piersiach. Wlazłszy między wrony, krakajże jak one. — mówi nasze dawne przysłowie, więc pan Wincenty Pol stał się gładkim, grzecznym, nie lubiącym się sprzeczać, i zaczął pisać powiastki jak Karusia, w której dIALOGUJE po francusku całą nieraz stronicę. I od tej chwili pan Wincenty Pol, jak powiada Janusz: państwem się oparzył i jak powiada pan Wincenty Pol: wierzchem żywota plusnął wesoło.

Od tego czasu zaczął także pan Wincenty Pol głosić sławną swoją zasadę, słyszaną przez tych, co chcą i nie chcą, iż do żadnej negacji naród się nie przyzna. Kiedyś, jako młody chłopiec, poznał po raz pierwszy pana Wincentego Pola, przyszedłszy do niego ze czcią i miłością, odszedłem smutny i zrażony. Ja natenczas szalałem za nieznanym mi jeszcze osobiście Juljuszem; po całych dniach tułałem się po lasach z jedną z płomiennych książek jego; więc przy poznaniu się z panem Wincentym Polem jedno z pierwszych moich słów było o Juljuszu, a na to pan Pol: Naród nie lubi negacji, nie przyzna się nigdy do niej. Ach mój Boże! któż ją lubi?! Ale któż wątpi że jest niezbędną, bo inaczej stałby świat na miejscu. Zgrzebłem trzeba nieraz zmartwiałyeh czesać, a nie smarować ich oliwą. Powiedzą: u nich rany jeszcze nie zasklepione, to zabolą. — Niech zabolą, o to właśnie chodzi!

Ze smutkiem czyta się powiastkę pana Wincentego

Poła: Nieźli są ludzie. Pomówić o niej muszę nieco obszerniej dla tego, że najlepiej ona potwierdza moje wyżej wymionione o jej autorze zdanie. Scena odbywa się w jednym z miejsc kąpielowych pod naszymi górami. Działający, a właściwie rozmawiający ludzie, to sami prawie wielbiciel i wielbicielki spiewaka; jest on także między nimi i odzywa się sam kiedyniekiedy. Na pogadankę i na fajkę poobiednią schodzą się mężczyźni do jednego z towarzyszy. *•Niejednemu lulka zagasła, niejeden za-drzemał,•* jeden pan Wincenty Pol z panem Brunonem *•trzymali się jeszcze dość rzeźwo, rozprawiając żwawo o wypadkach polityki dziennej, jednak że to po dobrym obiedzie, po czarnej kawie, niknie z wolna nawet największa energja opozycji, więc i my zgodziliśmy się w końcu na jedno.•* Szczególne to towarzystwo! *•Wątpliwość czy wypada wyjść zaraz po deszczu i jaką obrać toaletę stosownie do pory i chwili, wstrzymywała wszystkich w pokoju.•* Tak opowiada sam pan Wincenty Pol, a opowiada najpoważniej. *•Lekarz łązienkowy z księdzem kanonikiem zjawili się pierwsi na przechadzce.•* *•I jakże komisja zdrowia twierdzi?•* zapytuje jeden z mężczyzn przez okno *•czy już można wychylić się na świat?•* Wyszli narreszcie; *•pora nęciła jeszcze do przechadzki, ale godzina herbaty ma także swoją ponętę.•* opowiada dalej pan Wincenty Pol. Przychodzi wieść o wielkim pożarze w Rzeszowie. *•Niejeden ze starszych westchnął, wspomniawszy własne kłeski dawniejsze lub świeże. —* mówi pan Wincenty Pol o tych litośnych samolubach, a mówi znowu poważnie. Ale na koniec rozgorzały serca

chrześcijańskie, i uradzono: „Zrobimy fantową loteryję i damy bal.“

Następuje rozdział pod tytułem Salon. Na wstępie jest nawet wiersz:

Greka świat wszystkim nie przestaje słauić,
Dlatego tylko, bo się umiał bawić.

Mówi to pan Wincenty Pol, bo Janusz inaczej spiewał:
Jeżeli

. . . Sądziś może, że mam dla cię śmiechy,
To mnie nie szukaj — ja nie będę bawił.

Teraz zastanówmy się, jak się to zebrane w salonie towarzystwo — bawi, a bawi się na kilka lat przed strasznym rokiem 1846! Jest tam niejaka Klara, lafirynda egzaltowana na zimno, jak pącz z lodami — a nawet patriotka od okazji; ta, kiedy mowa o bezbożnym Rusie, zapytuje: „Czy zawsze jeszcze ruluje Russo z tym przydomkiem po świecie?“. I spiewa oklepnaną Gwiazdeczkę, nad którą całe towarzystwo unosi się, a potem spiewa także pieśń pana Wincentego Pola, która dała tytuł do całej powieści: Nieżli są ludzie, i którą uważać można jako zapłacone wstępne autora, aby się dostać do salonów.

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nie źli są ludzie!

Ten temu swat, ten temu brat,

A już do dobremu, to każdy rad!

zaczyna pan Wincenty Pol. I my gotowiśmy mu nawet wtórować, z tą jedną zmianą, że zamiast wyrazu: do-
bremu, powinno być: nijakiemu. Ale pojęcie nasze o tych dobrych ludziach równa się pojęciu jedne-

go z tych Węgrów, o których głębokim sarkazmie rulują, jak Klara powiada, tyle doskonałych anegdot między wiedeńczykami, biorących ten sarkazm za dobroduszość. A więc dla różnaitości anegdotka: Chwalono przed Węgrem kogoś, a Węgier na to: Znam go, zapija się po całych dniach i nocach — ale dobry człowiek! Chwałę innego, a Węgier: Znam go, nieużyty z niego głupiec, ale dobry człowiek! Chwałę jeszcze innego, a Węgier: Znam go, chociaż z widzenia tylko, bo jakoś mu nikt ręki nie podaje — ale dobry człowiek!

W drugiej strofie piosneczki o nie złych ludziach jest wiersz:

A każdy kącik, to cały świat!

Zapewne! byle ciepły i wygodny. A po odspiewaniu tej piosenki: zdrowie niezłych ludzi! zawołał wójt, i kazał podać wino.

Jest w owem towarzystwie pan Jan podróżnik; ten sypie frazesami jak młyn otrębami. Staje on w oknie, podnosi głowę i patrzy w gwiazdy, a piękne musiał mieć oczy, i tem kokietuje kobiety. Plecie ni w pięć, ni w dziewięć, ale plecie z okrasą poetyczną. Mówi on raz: •bo pojmując życie, należy się obliczyć z swojemi siłami i pogodzić z rzeczywistością; luźni tylko ludzie mają chęci bez granic lub biorą się nie na swoje, a mówi to wróciwszy świeżo z Francji, i nikt mu nie zaprzecza. •W odetkanej butelce wietrzeje wino, kwaśniej albo wysycha, mówi dalej pan Jan. •Wszakże znasz, panie Brunonie, aparata chemiczne, których szklane rurki przepro-

wadzone bywają przez retort kilka? pędzą w nich eter, żadna jednak z tych retort nie jest pełną, i żadna nie daje eteru sama przez siebie, a jeżeli je nieopatrzyć szczelnie, to go i nie będzie. Czy to przytyk do Francji, która pozwoliła polskiej emigracji głośno cierpieć i mówić? czy to nakłanianie Mikołaja do dania jej amnestji, którą ona ze wzgardą razy już kilka odrzucała — aby wyrabiał się ten doskonały eter w retortach opatrzonych szczelnie? Nie zrozumiał tych frazesów dzielny, młody Brunon, on, którego chciałbym uścisnąć jeżeli dotąd żyje, on co patrząc na buchające płomieniem źródło naftowe powiedział: dobre! można przy niem lont zapalić! — i my ich nie rozumiemy. Gdzieżby była prawda? pyta jeszcze raz Brunon pana Jana: «w rzeczywistości» odpowiada mądry pan Jan. A był ten pan Jan, co zapewne podpasywał się workiem, także w Algerji, i mówi: «O, biednie wyglądają tam ci drobni Francuzi! Klara widocznie kokietuje pana Jana; śpiewają sobie nawzajem; prosząc go, aby co zaśpiewał o pustyni, powiada: «bo już cię poezją wolno i w Europie grzeszyć. Nie wolno! może na pustyni, mniej w Europie, a nigdy u nas w Polsce!

Przychodzi kolej na pana Wincentego Pola: po herbacie proszą go o wiersze. «Ha, niech tak będzie,» rzekł on; «ja po staremu za drugimi. I nie wiem dla czego deklamuje prześliczny wiersz: Hej hej panowie co wy za młodzi, on co przez cały czas tych pogadanek był taki bierny i grzeczny, on co potępia każdą negację, on, co w onej poobiednej rozmowie z Bruno-

nem pierwszy niezawodnie umilkł i zgodził się na jedno, bo jak powiada „po dobrym obiedzie i czarnej kawie nieknie zwolna nawet największa energia opozycji”: pan Wincenty Pol urywa nagle ten wiersz, nie wygłosiwszy go w całości; w ójt upomina się: Było tego więcej, prosimy o resztę. Było albo nie było, odpowiada skompromitowany swoją odwagą pan Wincenty Pol; może i było, ale się zapomniało. A kiedy po skończonych spiewach i deklamacjach kazano za nie słuchającym płacić na pogorzalców, mówi pan Wincenty Pol: „a ja zdziwiłem się bardzo, widząc po raz pierwszy w życiu, że za wiersze można mieć nawet złoto.” Pojmie on to później lepiej i dokładniej.

Dosyć o tej powieści, która o tyle ma wartości, że wykazała nam nowe stanowisko pana Wincentego Pola.

Podczas kiedy ci ludzie tak dobrze się bawią, nadeiiga straszna chmura na kraj cały. Wielu z nich nie doliczy się wkrótce wszystkich głów w swojej rodzinie, wielu z nich obinuje się krwią i łzami ze swej lekkomyślności, a co równie boleśne: póság Janusza ugodzony piorunem, runie ze swego piedestału. I któż mi da nadzieję, że podniesie się na nowo!... Drżącą ręką odwracam tę krwawą kartę z dziejów naszego narodu — skłoniłem i oparłem głowę o tę księgę — wilgotną się ona staje pod memi oczyma...

Pozwólcie mi się uspokoić...

XVIII.

Jak widzimy, Janusz już przed rokiem 1846, przestał być Januszem. Stał on już na tej ślizkiej drodze, która stopniowo wciąga nierozważnego do otchłani. Piorun więc 1846 roku, nie obalił od razu Janusza, ale popchnął go tylko niżej na jego spadzistą drogę. Byłoby rodzajem uniewinnienia dla Janusza, gdyby dało się wykazać, iż po sam on rok piorunowy stał on niezachwiany na swojej wysokości. Bo są chwile straszne w życiu człowieka, które z anioła mogą zrobić od razu szatana; są ugodzenia, co walą od razu Goliata na ziemię — i przeciwnie, są takie chwile, co zbudzić mogą w każdym silniejszym a spiącym duchu geniusz lub anielstwo. Ale z Januszem tak się nie działo: psuł on się długo i powoli. W ostatnich latach przed r. 1846, należał pan Wincenty Pol jeszcze do ludzi, wierzących w kraj na drodze długiej, niepewnej i cichej, i kochających go aż do czasu, w którym tenże upomniałby się u nich o jakąkolwiek ofiarę, psującą im wygodę ciepłego kącika. Po r. 1846 należy już pan Wincenty Pol do ludzi, niewierzących w przyszłość narodu, a kocha go jeszcze rzekłbym z nawyczki, przez budzący się wstyd dla pamięci Janusza, bo trudno zapomnieć, że się nim kiedyś było. Jedną z najgorszych książek, jaka wyszła kiedykolwiek z pod polskiego pióra, wydrukowana po wypadkach 1846 r. jak się grzeczni ludzie wyrażają, była niezawodnie książka nosząca tytuł: *Lettre d'un gentilhomme polonais adressée à Mr. le prince de Meternich*. Wierzę, że wyszła ona ze serca polskiego, a prze-

pełnionego w onej chwili żółcią i ślepa nienawiścią. Przez nienawiść ku Austrii pchała ona cały nasz naród w objęcia moskiewskie i w zlanie się z tą podnoszącą się pierwszą na pozór potęgą w Europie, widziała nasze szczęście. Słowa te padały balsamem na serca najpatryotyczniejsze, w których z gorzkich łez i zapiekłej krwi równie się żółć wyrobiła. Sam byłem oburzającym się świadkiem, z jakim zapałem i przejęciem się odczytywały tę książkę najpiękniejsze usta. Książka ta wiele, wiele złego narobiła, i niezawodnie przyczyniła się niemało do zamącenia polskiego dotąd sumienia pana Wincentego Pola.

XIX.

W więzieniu i okryty ranami, tłumaczył pan Wincenty Pol psalmy Dawidowe. Tłumaczenie jest bardzo słabe; korzymy się jednak przed każdym objawem cierpiącej duszy. Nie do nas należy mieszać się do rozmowy, którą prowadził nieszczęśliwy więzień z własnym duchem i ze Stwórcą swoim. Są tajemnice sumienia, z których i nie przed każdym spowiednikiem można się zwierzyć. W długiej samotności więziennej jakże wiele musiał nasz śpiewak przemyśleć, przecierpieć, przepasować się z sobą! Objąć on musiał w swoim skupieniu się czasy swojej wielkości, swoich późniejszych błędów i obecnej Dawidowej rozpacz. Czuł nieszczęśliwy Pol, że obmytemu karą Bożą należy się umocnić i podnieść przez pokutną skruchę. Tłumaczył więc psalmy Dawida; a tłumaczył je dla tego tak nieudolnie, bo mu ta skrucha nie wyszła z głębi duchowej, ale rzekłbym z kombinacji umysłu, znające-

go wiele prawd i praw moralnych. Co jest pewnem, to to, że Pol nie przebaczył ludowi, i to mu poczytuję za grzech wielki. Niech nikt nie mówi, że gdy o tajemnicach sumienia nie wolno nam sądzić — to spiewak może przebaczył... Cóż z tego, kiedy naród o tem nie wiedział! A wieszcz taki, jakim był Janusz, należy każdą swoją myślą, każdym swoim drgnięciem serca — do narodu; i głos jego w sprawie tak wielkiej wagi, powinien być być publicznym. W żadnym z późniejszych pism Wincentego Pola nie widać ani śladu tego przebaczonego ludowi głosu. Ach, a z jaką łatwością, każde serce trzeźwiejsze, bo kochające lud po polsku i po chrześcijańsku, mogło i powinno przejść od razu z wielkiego bólu do przebaczenia! Bo dowiedzionem już jest, że nigdzie prawie lud jako sielska gromada nie poruszał się w pełnej swojej całości do zbrodniczych czynów — ale zbójckie zastępy, roznoszące mord i pożogę, składały się z demoralizowanych ex-żołnierzy, ze znanych złodziei i opojów i t. d., jednym słowem z szumowiny, jaką każde społeczeństwo posiada, a która przy danej sposobności rzuci się w każdym, choćby najoświecieńszym narodzie po tygrysiemu na porządek socjalny. Na dowód przypatrzmy się niektórym strasznym scenom z pierwszej rewolucji francuskiej, gdzie lud, otrzymawszy od władzy krajowej upoważnienie, zachętę, albo przekonawszy się o nieudolnej słabości sił rządowych, tyle popełnił zbrodni. Nie lud więc, jako społeczne ciało, ale niektóre zgangrenowane członki jego, załwały w roku 1846 znaczną część kraju ogniem i krwią. Pod naciskiem tego rozbestwionego tłu-

mu zdarzało się, że w niejednej wyprawie brała udział sielska, spokojna gromada, miękka bo sławiańska, chwiejna w zasadach moralnych, bo nieoświecona, płynąca z prądem powodzi, bo lekliwa — a i w takich razach nie przykładła ona swej ręki, ale świadczyła ona jedynie zbrodni swoją obecnością. Dobrze to mówić teraz, albo i w ony czas, jeżeli się stało na uboczu a o krwi wylanej słyszało się tylko z dalekiej wieści, mógłby ktoś powiedzieć, a powiedziałby rozsądnie i sprawiedliwie — ale trzeba było być świadkiem tej burzy, ale trzeba było być samemu ranami okrytym i w więzieniu i z tem uczuciem, że nie ma już gdzie wracać, ani do domu, ani do rodziny, bo dom zrównany z ziemią, a rodzina w rozsypane i niekompletna; więc łatwo było temu przebaczyć, kto nie doświadczył tego. Na to odpowiadam jeżeli nie słowami, to ich treścią, z naszego wielkiego psalmisty: *Są uderzenia miecza gdzieś padające, które magnetycznie przyciągają nieraz pierś oddaloną.*

XX.

Piorun więc ten straszny, spadający na głowę Wincentego Pola, mógł równie go na nowo odrodzić; jak do reszty zdemoralizować. Pan Wincenty Pol, wyszedłszy z więzienia, najsmutniejszą odgrywa rolę. Oddawna już, pan Wincenty Pol, straciwszy wiarę w żywy naród, zaczął miłować i interesować się martwą jego ziemią. W płomieniach roku 1846 zgorzało obszerne jego dzieło: *Geografia*; nie wielka to szkoda. Równie i po roku 1846., idąc za przykładem Getego, który podczas wojennych na-

poleońskich burz, spadających na jego ojczyznę — cieszył i chwalił się, że wynalazł zbawienne *antidotum* na odpędzanie niepokojących go myśli, którym antidotem są wyłącznie zagłębiania się w ścisłych umiejętnościach — pan Wincenty Pol zaczął zajmować się florą i minerałami krajowemi, i pędził wszystkich w lasy i na skały. W krzątaniu się około tej myśli okazuje pan Wincenty Pol w r. 1847. rzeźwość niezwyčajną. Uorganizowawszy czasopismo Bibliotekę Ossolińskich, dostarcza doń samych tylko prawie artykułów, tyczących się nauk przyrodniczych, jeografji, etnografii i innych graficznych nauk. Obszerny jest jego artykuł o potrzebie założenia Muzeum Natury we Lwowie. W nim na wstępie, chcąc wznieść się na niezawisłe stanowisko umiejętności, wskazuje potrzebę założenia podobnego zakładu, jako konieczny warunek wzrostu tej umiejętności, a pośrednio jako konieczny warunek oświaty i pomyślności krajowej, gdyż umiejętności wówczas się najczęściej pojawiać zwykły, kiedy najwięcej są na czasie. Nie mamy nic przeciwko przyrodniczym naukom i ich praktycznym rozwojom, potrzebnym w każdym oświeconym i samodzielnie urządzonym narodzie, ale, u nas, gdzie przedewszystkiem należy rozbudzać nie życie roślinne, ale życie duchowe kraju — dziwnie wydaje się takie materialne posłannictwo przywiązane do osoby narodowego poety, a jeszcze dziwniej brzmią na ustach dawnego Janusza takie wyrazy, jak: niezawisłe, pomyślności krajowej, na czasie, na które już wyżej chcieliśmy zwrócić uwagę czytelnika. Bez względu na to z kim ma do czynienia,

byle ta nowa znajomość posiadała choćby zbiór owadów u siebie, kompromitował wtenczas pan Wincenty Pol swoją osobę, wodząc się pod ręce z ludźmi, którzy sami jak najbrzydsze owady przez cały kraj byli znienawidzonymi — a to właśnie było głównym powodem, iż w roku 1848. uznał pan Wincenty Pol potrzebę spowiadać się publicznie z całego swego życia, aby odeprzeć straszny swoją lekkomyślną niesprawiedliwością, ciążący na nim zarzut — a jenctwa. W jesieni 1847. pisuje pan Wincenty Pol do czasopisma Biblioteki Ossolińskich, listy z wycieczki. W listach tych, opisujących małą podróż po Szlązku, trzeźwym i realistycznym jest pan Wincenty Pol, jakby jaki niemiecki profesor. Unosi się nad postępami świata w sztukach i wynalazkach; rozpisuje się szeroko o kolejach żelaznych, na które później sarka w swoich drobnych poematach. Słowem mówiąc — tak pisze pan Wincenty Pol z swojej wycieczki — wszystko znamionuje tu wcielenie ducha i prawdziwą twórczość nowej ery, bo świat ten wydał już wielkich techników, tworzy nowych artystów, kształci nowych polityków i nową literaturę. Pan Wincenty Pol widzi już tylko w rozszerzającym się materjalizmie zbawienie i szczęście świata, na co później znowu niejednym raz sarknie, tracąc jedną wiarę po drugiej. Bo duch Janusza, mieszczący w sobie dawniej całą wielką ojczyznę i wiarę w wielki jej naród, wypróżniwszy się z tej wiary, nie może czuć się zadowolonym z drobnych, późniejszych swoich mieszkańców. On, niegdyś tak bogaty i pełny, nie może się nagle przerobić na mineralogiczny gabinet — i

wszystkie te obce sobie napływy z niechęcią w krótkim czasie odrzuca i woli być próżnym, niż napechany takimi rupieciami. Toż pan Wincenty Pol ciągle pracuje i stara się, aby zapełnić czemkolwiek próżnię swego ducha; co moment w coś innego wierzy: i po chwili przestaje wierzyć. I jakżeż jest straszne to prawo duchowe, co podnosi każde zamieszkałe w człowieku zło do coraz wyższej potęgi! Bo pan Wincenty Pol zaczął od wiary w jeografię a skończy, co nam pomimo wstępu zakryć niepodobna — skończy na wierze w tę...

. jeografia

Po której ludzie do Kamezatki trafiają,
jak powiada wielki nasz Juljusz.

XXI.

Nadszedł rok 1848. W maju zawezwał pan Wincenty Pol swoich przyjaciół, sprosił nawet gawieź uliczną i w jednej wielkiej sali spowiadał się ze swego życia. Czynu tego potępić nie możemy; przeciwnie podnieść go musimy, jako czyn republikański korzącego się przed narodem obywatela i biorącego ten naród za swego spowiednika i sędziego. Oto, co pisze o tym akcie w swoim Tygodniku polskim z r. 1848., Karol Szajnocha, jeden z tych nielicznych, którzy trzeźwym, chociaż gorąco-patriotycznym okiem patrzali i ogarniali polityczne sprawy onego roku. Niemogąc dzisiaj podać dosłownie jego sprawozdania z tej spowiedzi pana Wincentego Pola, muszę w bledszej ukazać je sukienice:

Opowiedział nam pan Wincenty Pol — mówi Szaj-

nocha — swoją biografię, jako poeta, to jest: mimowolnie idealizując rzeczywistość, naśladować w tem autobiograficzną prawdę i poezję innego poety Getego. Wszakże w ciągu tej opowieści przeraził nas śmiało przez pana Pola uderzony dźwięk uczynionego mu zarzutu a jentwa, zarzutu oznaczonego przezeń najściślej eo do jego autora, powodu, jakoteż czasu rozsiania — zarzutu ciężącego na panu Polu od lat 15, a niestety przeszłoročną jego podróżą świeżo odnowionego. Najsmutniejszą przytem okolicznością nie jest sam zarzut, bo ten jest — fałszem, i mógł się tylko w nieszczęsnym mroku i jątrzu naszych cierpień wyłudz, lecz okoliczność tak długiego ciężenia na kimś podobnego zarzutu. Nosić przez lat piętnaście taki, aczkolwiek niegodziwie narzucony sobie zarzut, żyć z nim tak długo w towarzystwie publicznie nie zmazawszy go z szczętem, a owszem przy całej swojej literackiej zasłudze, nowe do jego odświeżenia dawać powody, jest to dowieść przynajmniej zupełnej niezdolności do życia publicznego, na jakie okoliczności nas skazywały. To życie wymagało żelaznej stanowczości, a miękka dusza poety, osobliwie takiego jak Pol poety znać jej nie mogła; to życie żądało samobójczej decyzji między prawą a lewą stroną, a umysł poety szukał od wieków harmonijnej spójni, nie rozdwojenia w życiu; to życie wkładało obowiązek mściwego nienawidzenia wszelkich naszych przeciwników, a serce poety zawsze rade było kochać nie nienawidzić; to życie nakazywało wieczny opór, wieczną negację, opozycję, destrukcję, a dla poety opór, negacja, zamęt burzenia jest śmiercią a tylko organizacja

żywołem. Dla czegoż więc nie pojał poeta swojej natury i chciał zaszczenia zgodę, gdzie obowiązkiem była nienawiść i burzliwość? organizować, gdzie zasługą było tamować wszelką organizację, bo wszelka organizacja deorganizowała nas tylko? To więc nie co innego, to niepojęcie swojej natury i przeciwnego jej, nienaturalnego stanu rzeczy, ta może z próżności pochodząca chęć przewodniczenia w życiu przy wewnętrznem nieusposobieniu do tego wrogiego życia — czyniły nas przeciwnikami pana Pola, jako charakteru publicznego, aczkolwiek prywatnej znajomości jego, jako poety, wiele najdroższych chwil zawdzięczamy. Toż samo nie wzbudza nawet i teraz pewnej w nas nadziei, aby pan Pol, przy obecnem niewyklarowaniu się jeszcze naszego życia publicznego, okazał się zbawiennym charakterem publicznym i nie skłania nas do grzecznego zaprzeczania twierdzeniu, którem pan Pol powieść życia swojego zamknął, że aktem jakim było to zeznanie całego życia, nie rozpoczyna się, ale kończy się zawód.

Tak mówi Szajnocha, a podpisać moglibyśmy święcie całe to sprawozdanie. Jedną tylko rzecz odeprzeć muszę to to, że Szajnocha, niechcąc upokarzać pana Wincentego Pola nowym zarzutem braku charakteru, zwała objawiające się zład błędy na wrodzoną miękkość i nieudolność do publicznego życia każdego poety. Gdy tymczasem w tym samym roczniku, krytykując innego poetę, słusznie zarzuca mu miękkość i tylko na drodze jedności i ognia oczekuje przebicia się poety przez ławę, bezkresną powódź uczuciowości do hartownego ła-

du charakteru, potężnej indywidualności, którą z czasem oby zamiast minstrelowego służkowania narodowi, zaplanował mu dzielnie, chrobrze, a choćby i surowo — jak to prawdziwie wielkim wieszczom niebiosa dały.

Jest rzeczą niezawodną, iż pan Wincenty Pol, chcąc umniejszyć wagę onego strasznego, ciężącego na nim zarzutu, rozszerzył go aż do lat piętnastu, gdy bezsprzecznie urodził się ten zarzut daleko później, w czasach objawiającej się apostazji pana Wincentego Pola. Któżby śmiał posądzać autora pieśni Janusza i pieśni o ziemi naszej o ajenctwo? Jakąż wagę mogłoby mieć takie podejrzenie, rzucone na wieszca narodowego, który każdym wyspiwanym dźwiękiem zaprzeczał mu najdobitniej? Nie mógł więc ten zarzut dotyczyć Janusza, ale przyklepnąć mógł do pana Wincentego Pola, co straciwszy wiarę, stał się temsamem nieudolnym do życia publicznego i kompromitował co chwila swoją godność; zaprzyjaźniając się z ludźmi, ogólnie nienawidzonymi, a pchała go do tych nierozważnych kroków, jak Szajnocha powiada: próżność, pochodząca z chęci przewodniczenia. Tu więc miejsce odwołać się do tego com powiedział o dawniejszej prostocie Janusza: „Kto czuje się wielkim, nie potrzebuje starać się o to, aby go za takiego uznano; kto obwiesza się świecidełkami, aby zwrócić uwagę ludzką na siebie — ten niezawodnie sam już siebie ocenił i wie, że jest małym. Pan Wincenty Pol zaczął starać się o to, aby go za wielkiego uznawano; pan Wincenty Pol zaczął obwieszać się świecidełkami... a dla czego? Bo straciwszy wia-

re w naród, uczuł się małym; bo wypróżniwszy z niej swego ducha, uczuł się próżnym, a język nasz filozoficzny określa jednym wyrazem matkę i jej dziecko, przyczynę i skutek; «Z próżności jako przestrzeni ducha rodzi się próżność, jako objawiający się jego błąd na zewnątrz.» I teraz lepiej rozumiemy, co chciał Szajnocha powiedzieć przez: próżność, pochodzącą z chęci przewodniczenia.

Kończąc swoją publiczną spowiedź, powiedział pan Wincenty Pol: aktem, jakim było to zeznanie całego życia, nie rozpoczyna się, ale kończy się zawód. A pomimo tego, iż Szajnocha w swoim sprawozdaniu nie skłania się do grzecznego zaprzeczenia temu twierdzeniu, pan Wincenty Pol nie kończy swego zawodu: Autor Wachmistrza Dorosza, sarkający z taką straszną a w części sprawiedliwą ironją na sztaby z r. 1831, zostaje podszefem sztabu gwardji narodowej z r. 1848!

Zważając na tę niekonsekwencję, jakże łatwo mogliśmy powiedzieć: «Nie wierzymy w szczerą spowiedź; nie dyktowało ją republikańskie pojęcie o obowiązkach obywatela, ale chęć przewodniczenia, pochodząca z próżności.» I każdy inny krytyk, mówiąc tak, byłby szczerem, i powiedziano by: «Słusznie mówi.» Ale ja wiem, że takie ocenienie jest niesłusznem, i byłbym złym i nieszczerem korzystając z tego pozoru dla potępienia Wincentego Pola, dla którego, pomimo jego błędów, zachowałem miłość niewygasłą.

Tylko poeta poetę wytłómaczy. Do Getowskiego:

„Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen!“

odwołują się chętnie wszyscy poeci. Mickiewicz kładzie te wiersze na czele swoich Sonetów krymskich, Janusz położył je przed swojemi Obrazami z podróży. Jeden i drugi stosował pojęcie wyrazu kraj do ziemi, którą opisywał. A daleko właściwiej mógłby każdy poeta prawdziwy, a takich jest między piszącymi bardzo mało, odezwać się tym Getowskim wierszem do niepowołanych swoich krytyków. Kto poetę chce wytłumaczyć, lub jego dzieła osądzić, powinien znać kraj jego ducha, a tylko równy jemu poeta może znać ten kraj dostatecznie. Obszerniej o tem będzie później przy innej sposobności.

Otóż ja wiem, że poeta tej potęgi, jakim jest Wincenty Pol, cokolwiek kiedy napisze, jakimkolwiek czynem objawi się w swoim życiu, jest przede wszystkim szczerym. Szczerość, to niezbędny warunek duchowego bytu każdego prawdziwego poety. To rzecz tak konieczna, jak to, że woda jest wilgotną; to nie jego zasługa, to rzecz wrodzona, dana mu bez jego wiedzy i woli i tak zrosnięta z jego bytem, rzekłbym nawet, z jego organizmem fizycznym, że z trudnością mu przyjdzie pozbyć się jej. Szczerość taka nie objawia się zawsze jako cnota poety, częściej jako błąd, osobliwie w jego życiu publicznem dzisiejszego niemoralnego świata. Poeta może mieć złe i fałszywe pobudki, ale zawsze będzie szczerym. Obowiązkiem więc jest każdego upadającego w swej wierze po-

ety — milczeć. Milczenie takie należy mu poczytać za większą zasługę, niż to, że w czasach swej wiary i potęgi, dawał ludziom prawdę i piękność wieczną. Czuje każdy poeta chwile, w których jego duch w upadku niepokoi się; łamiąc się z idącym nań zwątpieniem. I nie jeden sądzi, że wypisując się strąci ze siebie tę mękę niepokoju, a on dorzuca tym sposobem tylko oliwę na ogień i podnosi ten pożar, który wyłaniając pieśnią, ogarnia jako niszczyciel nieraz kraj cały. W zwątpieniu więc nie należy uwalniać swego ducha pieśnią lub innym czynem, ale skupić go należy milczeniem i modlitwą. Chore dziecko kładą do łóżka i nie pozwalają wstać, aż wyzdrowieje. Tak sądząc, czujemy, że niema na świecie ludzi złych, ale są tylko ludzie głupi i albo chorzy, i że z tego względu jako chrześcijanom należy nam nawet każdej zbrodni przebaczyć i każdy błąd uniewinnić; ale jako należącym do ciała społecznego powinniśmy i musimy być surowszemi, a to tem bardziej, jeżeli to ciało społeczne jest w dezorganizacji, i trzeba je dopiero na nowo tworzyć. Kiedyś, a to kiedyś już niedalekie, gdy spłynie królestwo Boże na ziemię, gdy nadejdzie dla tego globu trzecia jego epoka: świat ducha, nie będzie prawie zbrodniarzy, a na wybryki błędnych swych dzieci patrzeć będzie ludzkość jak uśmiechająca się matka na błędy małego dziecka, i całym staraniem tej ludzkości będzie już tylko hamować wyskoki swych niewiniątek.

Poczytuję więc za wielki grzech panu Wincentemu Polowi, że czując się w zwątpieniu i upadku nie milczał, ale śpiewał. A to tembardziej, że jako u prawdziwego

poety, szczerłość jego złych i trujących naród przekonał przez swoją pozorną głębokość, przez mistrzostwo ręki, która nią władała, przez sympatyczne dla narodu imię, które ją niosło, łatwiej zdobywała sobie wstęp do serc ludzkich, i szkodliwie wpływała na ich zepsucie.

Otóż wracając do mego założenia szczerym był pan Wincenty Pol, odbywając swoją spowiedź publiczną, szczerym był, mówiąc, iż takim aktem nie rozpoczynam, ale kończę się zawód, szczerym był, pisząc Dorosza, sarkającego na szlaby, i szczerym był, zostając podszefem sztabu w kilkanaście lat później.

XXII.

Rok 1848. w całej Europie swoim działaniem przypomina mi jedną z nocy maskowych balów Wielkiej opery w Paryżu. Były w nim gorączkowe sały saturnalami na krótki czas wyzwolonych niewolników, i poważna zaduma ludzi myślących, opartych o filary łóż; cyniczne śpiewy i śmiechy rozhukanego tłumu, i miłośne szepty po anielsku rozkochanych par, kryjących się po kątach; namiętne odezwy pianych arlekinów o chwiejnych nogach wygłaszanych z balustrad i gzymsów, i natchnione słowo nieznanych poetów, kupiących około siebie gromadkę nie wielką; mnóstwo ludzi, wyrwanych na chwilę z swoich codziennych zajęć, przebierających się w najdziwniejsze kostiumy, które nazajutrz w kął rzucą; mnóstwo innych, kryjących swoje lękliwe twarze pod czarne dominów maski z franką i mniejszą część ludzi bez kostiumów i masek, których sprowadziła poważna albo szy-

dercza ciekawość; a nad tem wszystkim *galop infernal* Musarda, mieszczący w sobie strzały karabinowe i z moździerzów, łączący się z krzykiem przestraszonych, z jękiem lub przekleństwami tłoczonych i deptanych; zapachy kwiatów i pięknych kobiet, plątające się między nieznośne odory kurzu, potu i siarczanego dymu wystrzałów. A na ławeczkach siedzi przyciśniona, zatrwożona władza, piinująca porządku: municypaliści, którzy stali się bardziej niechętni widzami, niż władzą. Po kilku godzinach, gdy przejdzie namiętna gorączka tego babilońskiego balu, ciekawi znudzą się i odejdą, mowcy ochrypną, piani runą na ziemię, zmęczeni siędą na odpoczynek, kostiumy podrą się, kwiaty zwiędną, blask gazowy ściemnieje, orkiestrze zabraknie prochu — wtedy wstają municypaliści i pokręcając wasy, zabierają pozostałych winnych *au violon*, co znaczy do kozy. Krwi tylko nie widać w tem porównaniu; bo sala balowa z r. 1848., miała posadzkę druzslakowatą: krew spłynęła do kanału i zapomniano o niej, a w końcu zbombardowano salę balową.

W tym więc roku 1848., co galwanizował nawet gnijące już trupy, a u każdego żyjącego podnosił pulsa do żywszych i szybszych uderzeń — w tym roku, co oczyszczał z pleśni, obudzał dawne wspomnienia, odgrzebywał skarby zapomniane, przypominał ludziom czem dawniej byli, i pan Wincenty Pol przypominał sobie, że był Januszem. W jednej, zapewne bezsennej nocy spłakał się i skruszył, i umyślił ukorzyć się przed narodem, i odbył swą spowiedź publiczną, i pomimo wypowiedzenia słów, że takim aktem kończy się zawód —

słów pięknych, pełnych cichej pokory — obudzony w nim Janusz krzyknął: „Wstań i idź z natchnionem słowem między lud bo jam teraz w tobie!” — I napisaniem zostało Widzenie Janusza i cudowniejsza a głębiej jeszcze prorocza pieśń Słowo a Sława.

Ślicznie rozpoczyna Janusz swoje Widzenie:

Trzykroć pochwalon w każdej potrzebie
 Bądź, Boże ojców, na niebie!
 I ty przed Bogiem czeladzi karna,
 I ty święta ziemio czarna!

Narodzie polski, ku twojej cześci,
 Dziś ja głos wielki podnoszę;
 I ducha mego z morza boleści,
 Puszczam na wieszce rozkosze.

Bóg mię w boleści skapał aż na dnie,
 Aby miał ze mnie narzędzie,
 I oczyszczony, wiem dziś, co padnie!
 I widzę jasno, co będzie!

Czuje to Wincenty Pol, że przez boleść został oczyszczonym, toż i ten artykuł między innymi celami ma i ten równie ważny: aby powtórzyła się na nim błogosławiona chwila i odrodziła nam naszego wielkiego i ukochanego wieszca.

I mówi dalej Janusz:

Narodzie polski, jak źródło żywy,
 Krwią spotniały, zapoznany,
 Jak miłosierdzie Boże cierpliwy,

 Bóg cię wybawi! —

.
 Hańba dzisiejsza ku twojej cześci,
 I ból ku zdrowiu ci szkodzi,
 O więc błogosław twojej boleści,
 Bo nowy świat się z niej rodzi....

Dzień ten już blizki! na niebie krwawem,
 Bóg go swym gniewem obłoży;
 Gdy leż nie stanie w żywocie łzawym,
 A śmierć głodowa świat zmorzy:

W ówczas zapłoną ducha kagańce,

Według nas dzień ten jest bliższy bo Bóg w miłosierdziu swoim uwolnił świat od śmierci głodowej, po której dopiero miał ten dzień jubileuszowy nadejść.

A po tym dniu nie będzie już:

Ani zwycięzców, ni zwyciężonych,
 Lecz będą wolni i dzielni!

W Polsce wygarnie się lud:

Z dziadowską kosą ściągną Polanie,
 Z strzelbą lud celny, lasowy.
 Z toporkiem w ręku górski lud stanie,
 A konno, z dzidą stepowy.

I poważnie obradować będzie i wypłynie z tej rady:
 prawda:

Czysta jak w Tatrach woda źródłowa,
 Spokojna, jak dzieje wioski,
 Jako nowina polska surowa,
 A krótka, jako sąd boski.

A potem każdy, pocześć dzień święty,

Bogu przyniesie snop w darze;

A snop ten będzie świeżo użyty,

W domu na wolnym obszarze.

A na wierzchu tego stosu złoży lud znamiona swoich
dawnych cierpień.

I stanie wszystek czołem w niebiosy,

I ogień spadnie mu z nieba;

A pospolite ozwą się głosy:

„Boże swobody i chleba!“

A kiedy ten stos spłonie, naród położy na wychłod-
dłych popiołach bogatą, polską zbroję i krzywą szablę o
wielu szczerbach, krzywą, ale nie noszącą żadnej krzy-
wdy na sobie

Bo tylko pamięć krzywej szablicy,

W tysiącu bitwach wslawiona,

Złotym obrazkiem Bogarodzicy

Będzie z przeszłości poczczona.

Lud tę szablę pocześć mogiłą

I wielką pieśnią na stypie;

I taki kopiec nad nią usypie,

Jakiego w Polsce nie było!

A potem, aby stało się zadość

Pismom i słowom proroczem,

Lud do kościołów sercem ochoczem,

Poniesie Bogu swą radość.

I wszystek w ciszy popielgrzymuje

Pod Jasną Górę; i rano,

Najświętszą Pannę ukoronuje....

A o zapasach z swymi nieprzyjaciołmi, tylko:

Wieść pozostanie, jak o szatanach,
Co na bój śmieli iść z Bogiem.

Na uroczystość czerwcową w Pradze napisał Janusz drugie swoje widzenie: Słowo a Sława. Pieśń ta nie była dotąd w całości drukowana; udzielił ją autor w manuskrypcie Szajnosze, a ten rozebrał ją w swoim Tygodniku polskim z roku 1848, i podał celniejsze ustępy. Sam już tytuł pieśni mówi bardzo wiele. Połączył on w nim podwójne i nie dające się dzielić znaczenie ogólnego nazwiska pobratymczych plemion, którym tę nazwę sam Bóg nadał i kazał ją nosić długi czas jak tajemnicę, oblewana krwią i łzami, co dopiero później ma się wonnym kwiatem wypełnić. Bo dotąd można się istotnie zapytać: Dlaczego nazywamy się Słowianami, czy Sławianami? I możnaby sądzić, że nasza nazwa pochodzi od łacińskiego *sclavus*. Ale tak nie jest; nam przeznaczono dać światu słowo i mieć za to później nieśmiertelną sławę. Czem był naród żydowski przed przyjściem Chrystusa, tem my jesteśmy przed nadejściem trzeciej epoki ducha — a Galileją jest Polska.

Janusz, kapłan-prorok, witając zebrane plemiona, zaczęła od chwały Boga i od błogosławieństw.

I naprzód chwała na wysokości
Niech będzie Panu nad wszemi,
A pokój ludziom bratniej miłości
I dobrej woli na ziemi!

I mir narodom, ziemi i morzu!
Mir pokoleniu sławnemu!
Błogosławieństwo pracy i zbożu!
A rośną nieba każdemu!

Ale pocóż mi dzierżgać własnymi słowy przy podawaniu treści tej pieśni, kiedy to już uczynił lepiej Szajnocha w swoim Tygodniku. Powtarzać więc będę jego słowa:

„Poczem”, t. j. po błogosławieństwie, „opowiada pieśń z biblijną prostotą historję stworzenia nowoczesnej społeczności europejskiej, i wznosząc się spokojnym lotem orła w ponaddziejową wysokość, okazuje rozrośnienie się ludzkości na trzy wielkie konary, następnie ukształcenie się w zachodnim świetle owego ładu społecznego, gdzie

... ojciec święty w kościele głową

A cesarz świata był panem;

z czego dalej wszczął się bój pomiędzy władzą duchowną a świecką, pomiędzy słowem a mieczem, aż „Słowo padło, a miecz zwyciężył! — aż słowo niezrozumiałem przelo ludom się stało, a ludy podzieliły się na głuche i na nieme.”

Głuche na słowo Boże odwieczne,

Nieme, bo rzecz go nie mogą!

„Jest to wstęp pełen głębokiej treści, prowadzący nas wreszcie do trzeciej ludów gromady, do naszego własnego domu, do rodzimej ziemi słowiańskiej.”

Myśmy tu wzrosli jak lasy rosna,

Razem z tym dębem i sosną,

„Słowo“ od Boga dane w ojczyźnie,

.....

„Słowa“ a „Sławy“ prawi dziedzice,

Bez krzywdy dobro to dzierzym,

Od Boga ojcom dane ziemice,

I w co wierzyli, w to wierzym!

W drugiej części pieśń po swoim historycznym polocie spuszcza się ponad zgromadzenie wiecowe i muska skrzydłem tę świętą ziemię, która je gościnnie przyjęła, i rozpatruje się w różnodziejowym licu tej spółplemiennej drużyny, która na niej do pierwszej wszechsłowiańskiej biesiady zasiadła.

Moldawo czeska, ty krasawico!
 Ty zaszum światu z kolei,
 Prago! ziem naszych wielka strażnico!
 Ty przemów głosem nadziei.

Na świętych grobach pan Bóg natchnienie
 Zseła i wielkie przecucie,
 A gry wód świętych, niby sumienie
 Ludu, wtórują tej nócie...

Na świętych grobach śluby są święte,
 I jako słowo, stateczne,
 Czyste, jak wody w źródłach poczęte,
 A jak morze, tak wieczne.

Od owej bitwy pod Białą—Górą,
 Jako grób milczysz, ty, Prago!
 I ty Moldawo płyniesz ponuro,
 I tylko z śmierci powagą...

Zwiń się w twych nurtach nim zbiegniesz w morze,
 Wynieś, co chowa twe łoże,
 I niech tej głębi nurt twój dosięże,
 Gdzie leżą Żyszki oręże.

Nam nie do boju oręży potrzeba;
 Lecz oręż Żyszki był krzyżem!

My pod tym krzyżem zakniemy nieba,
I serca Bogu uniżem.

Ze sławą ojców i z słowem Bożem
My dziś staniemy przed światem.
Jak pługiem, prawdą serca wyorzem,
I każdy będzie nam bratem.

.....
Lecz komuż bracia na tej biesiadzie
Pierwszy się uścisk należy?
Ktoż się najpierwszy w dłonie uderzy,
Na znak sojuszu w tej radzie?

Wam pierwszy uścisk, bracia Czechowie!
Bo my tu u was w gościnie,
Wam pozdrowienie, szczęście i zdrowie,
I wszystkiej waszej krainie!

Wyście wasz „kielich“ spili aż do dna!
A my — my niesiem „krzyż“ wiernie,
I ludów „słowa“ ofiara godna
Chrystusa kielich i ciernie!

My wam, o bracia! z ziemi otwartej
Ślemy po słowie pieśń daną,
Jak Tyrteusza z Aten do Sparty,
Przed wieki niegdyś posłano.

A teraz uścisk idzie z kolei,
Wszystkim po Sławie i Słowie!
Braciom miłości, wiary, nadzieji,
Daj Boże szczęście i zdrowie!

Serce mi w piersiach rośnie jak morze
Kiedy na pełni przybywa,

I jako orzeł obłoki porze,
Myśl się ku słońcu podrywa.

Kiedy pomyślę, że różne kraje,
Że różne są was narody,
Że wam Bóg Słowo w usta podaje,
I wie dzie sam do swobody.

Ale! o bracia! na tej biesiadzie,
Bolem się także krew' ścina;
Bo brak „jednego“ w narodów radzie,
Bo niema brata — Kaina!

A i on przecież prosty i dzielny,
Choć jak kat dziki i krwawy —
A i w nim przecie duch nieśmiertelny,
Choć dziś bez Słowa i Sławy.

Ja sam ostrzyłem broń mego ludu,
Na karki carskich siepaczy,
Pókim nie doznał miłości cudu,
Nie wyrwał Słowa z rozpaczy.

I nigdy więcej nie tknąłbym strony;
Lecz milcząc Boga bym chwalił,
Gdyby ten naród — brat zatracony,
Bogu ofiarę zapalił.

Ja dziś przebaczam krzywdę ojczyzny,
Jak każe Słowo i Sława,
Chociaż otwarte jeszcze jej blizny,
Choć jeszcze dusza jej łzawa.

Ja mu przebaczam! i wy przebaccie!
Bo więcej od nas jest bieden —

I nie złorzecząc ale zapłacząc,
Bo taki — został on jeden.

Niech się w łzach naszych ze krwi obmyje,
Niechaj się z Bogiem pogodzi,
Niechaj dla Słowa, Sławy odżyje —
Niech się dla świata odrodzi...

•Następna część przybiera barwę dydaktyczną. Wszakże zawarta w niej nauka, nie płową teorią, ale głębokim zapatrzeniem się w życie i w naturę plemienia natchniona, płynie tak żywym słowem, zwykle między różno i promiennie falującym potokiem liryki i epiczności a jednostajną suszą dydaktyzmu.

•Kiedy „synowie gwałtu i ich zmierzłe dzieje, w twrogach skonania już kończą” — wy.

...obwołajcie na wszystkie kraje
Głosem natchnienia Bożego,
„Słowo“, co pokój, nie wojnę daje,
„Sławę“ bez krzywdy bliźniego.

•Nie jestto Sława i Słowo ludów Zachodu, więc po pięknem przestrzeżeniu przed zbytnią skwapliwością władania ludem naszym według „trudów zachodnich“, następuje napomnienie do „żywej dziatwy“ słowiańskiej:

Nie obcą myślą tobie dziś ożyć,
Po długim, długim odłogu —
Umiałś cierpieć, potrafisz tworzyć,
Lecz ufaj sobie i Bogu.

A ciepłem twojem tylko swoboda,
Bo ona wszystko odrodzi;
Resztę da praca, ziemia i woda,
A pieśń ci żywot osłodzi.

Ty wiece twoje sprawuj swobodnie,
 A co uchwalisz, czyń pilnie,
 Dziećmi surowo, prawem łagodnie,
 A już gromadą rządź silnie.

U nas gromadą stały narody;
 Lecz z niej niech rośnie powaga —
 Kto wolnych skupia, wrogiem swobody,
 Bo nienie wolność wspomaga.

Wolność to własność i innej nie ma,
 I innej u nas nie będzie.
 Więc niechaj tylko ziemię lud trzyma,
 I niech szeroko zasiędzie.

Tylko na wiecach i miejscach świętych,
 Wy się zlewajcie jak morze,
 Ale gromada niech sobie orze...
 I dzieł niech patrzy poczętych.

Taką stój siłą i taką wolą, —
 A nie krwi żądzą i złota;
 Dzieci się twoje już nie rozboją,
 Bo będzie wielka prostota...

•Dalszy śpiew wraca do liryki, i owszem coraz spalnialszym bujając lotem, odpowiednio pierwszemu śpiewowi, śpiewającemu „przeszłe koleje”, rozwija skrzydła w przyszłość.

Bóg z tobą, wiaro! gdy natchnął ciebie
 Twoich naddziadów zwyczajem,
 Kiedy na wiecach chcesz się u siebie,
 Naradzać z sobą nawzajem.

Wiece cię zbawią — bo w okół świata,
 Jak tylkoś zasiadł daleko,
 Schadzać się będziesz już co trzy lata,
 Kędy dunaje twe cieką.

I co trzy lata zawdy na Jana
 Nad innym staniesz dunajem,
 I wzniesiesz naprzód głosy do Pana,
 A potem „Słowo“ za krajem.

I na trójlecia odtąd już liczyć,
 Będiesz twój żywot i sprawy,
 A póki Słowo, póty blask Sławy,
 I szczęście będziesz dziedziczyć...

•Poczem wreszcie, zawijająca już do przystani pieśń,
 kończy zwrotem do Polski.

•Oto fragmentaryczny szkic naszego poematu. — tak
 kończy Szajnocha — jednego z rzadkich dźwięków har-
 monii w dzisiejszym rozstroju świata. Obyż on rychło po
 nad wrzawy dzisiejszej burzy się przebił! Dosłyszenie po-
 brzęku lutni w tej burzy, byłoby nam pomyślną wróżbą
 rychłego jej przesilenia. Bo zawsze jeszcze jest poezja tą
 ptaszyną przybrzeżną, której zaświegotanie nad wędro-
 wnym okrętem zwiastuje mu po długiej podróży przystań
 pobliską, jest zawsze jeszcze gołębicą potopu.

Przepisałem dosłownie prawie cały artykuł Szajnochy i
 większą część za cytowanych przez niego ustępów Słowa
 a Sławy. Pieśń ta jest całkiem nieznaną, a ogromnej na
 dzisiaj wagi. W dwóch tych obszerniej wyłożonych pie-
 śniach duch Janusza wznosił się do takiej wysokości, do
 jakiej może nigdy przedtem w najpiękniejszych swoich

chwilach nie sięgnął. Oczyszczony w morzu boleści puścił on się na wieszce rozkosze: lotem tak olbrzymim, do którego każde porównanie wydaje się małym — jedno może tylko być stosownem: puścił się jak duch, co nie zna granic w przestrzeni.

Puścił się i wkrótce potem opadł, jakby z wysilenia: Janusz został podszefem nijakiego sztabu. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, bo piękną jest rzeczą, jeźli, choćby największy wieszcz narodowy, chwyta w razie potrzeby za karabin i staje w szeregu jako prosty żołnierz — ale do tego podszefowstwa skłonionym był Janusz przez miłość własną, przez chęć przewodniczenia, wynikającą z próżności: pana Wincentego Pola, który nigdy nie okazał potrzebnego hartu charakteru, jako przewodnik spraw publicznych a zawsze jak najniefortunniej mieszał się do nich. Nie pierwszy to przykład, że czepiają się znakomitych ludzi takie próżnostki, do których większą wagę oni przykładają, niż do swoich realnych zasług i do swoich powołań: Kaunitz chciał uchodzić za wielkiego jeźdźcę; Fryderyk, takzwany Wielki, za wielkiego mistrza na flecie; szlachetny a nieszczęśliwy Ludwik XVI. oddawał się ślusarstwu, podczas gdy przygotowywano dla niego gilotyne.

Zabierając tyle miejsca w Dzienniku Literackim, potrzebuję wytłumaczyć się, dlaczego artykuł o Januszu i panu Wincentym Polu urasta mi w całą książkę.

Listy moje mniej są krytyką, a więcej syntezą myśli i uczuć narodowych; dotykam w nich mnóstwa rzeczy bardzo potrzebnych, chociaż na pozór nie mających

związku z ich główniejszą treścią. Ważną jest zapewne osobą pan Wincenty Pol, ale ważniejszą chwila, w której te listy piszę. Mnie nie tyle chodzi o zwycięztwo nad panem Wincentym Polem, ile o zwycięztwo ducha narodowego. I nie uważam nawet pana Wincentego Pola za wroga, ale za jenerała, należącego do naszej armii, który w boju przezemnie wydanym — paść może. Nie w jednej stanowczej bitwie pada nieraz kilkadziesiąt tysięcy ludzi i nie ma długiego żalu po nich tam, gdzie ważą się losy narodów.

Mówi mi duch, który mię obecnie porywa i unosi, że znakomity ten człowiek nie padnie w tym boju. Okryty ranami wyleczy on się z nich wkrótce i stanie czem był: Januszem!

XXIII.

Po odbytym maskowym balu r. 1848., po którym mnóstwo kosztownych i świecących kostiumów poszło na tandetę, i pan Wincenty Pol zdeptał zwycięzkiego na chwilę w sobie Janusza — zrzucił kapłańską jego odzież, i przywdział biret doktorski: otrzymał dyplom na nie wiem już jakiego doktora, i został — profesorem ulubionej swej geografii w Krakowie. Prelekcje jego ściągały z początku liczną bardzo publiczność, której zdawało się, iż pomimo suchego na pozór przedmiotu, obranego przez pana Wincentego Pola, usłyszcy z ust kochanego poety nie słowo martwej nauki, ale słowo natchnione. Protegowanemu wówczas przez ministra oświecenia, z łatwością by przyszło dawać niejedno słowo, poruszające łaknącą publicz-

ność. Kto ma katedrę, ten ma potęgę w swym ręku, bez względu na obrany przedmiot. Michelet i Quinet w ostatnich latach panowania Ludwika Filipa, równie ścisnieni nieprzyjaznym dla natchnionego słowa czasem, potrafili jednak wyrzucić ogromny i korzystny wpływ na swoich słuchaczy. Pan Wincenty Pol ciągle przypominał sobie, iż ma biret doktorski na głowie, i ciągle dbając o to, aby odpowiedzieć powadze i uczoności zaimprovizowanego profesora — nie zadowolił ani tych, co szukali nauki, ani tych, co łaknęli natchnionego słowa. Po krótkim czasie sala wypróżniła się, i pan Wincenty Pol mówił już tylko do kilku drzemających słuchaczy, których kiedy niekiedy ścierał brak decyzji w rozrządzeniu czasu.

Dekret, zwijający wszystkie katedry o polskim wykładzie, usunął pana Wincentego Pola z nadanej mu profesury. Pan Wincenty Pol osiadł w Krakowie.

Wyobraźcie sobie kochani czytelnicy Juljusza albo Adama, albo którego innego z naszych rozręsknionych wieszczów, osiedlonego przyjazną okolicznością na dłuższy czas w Krakowie. Jakiemiż potężnymi dźwiękami huczałaby ich harfa, tak długo przedtem wieszana na wierzbach babilońskich! Pan Wincenty Pol chodzi codzień po Wawelu, dotyka się codzień grobów wielkich mężów, patrzy ze swego okna na mogiłę Kościuszki, oddechając pierś powietrzem, wszystko krzyczy, woła nań: Obudź się Januszu! — ale profesor, przebrany teraz za archeologa, odgaduje zagmatwane koronki rzeźb nagrobkowych, i napisał nam tylko: Wita Stwosza.

XXIV.

Gdybyż przynajmniej zaczął od tego, skończyłby może na innej, większej postaci! Ale pan Wincenty Pol w pierwszych latach swego pobytu w Krakowie przeżuwa ciągle opowiadania Winnickiego, tak nieszczęśliwie już raz wysławiane w *Przygodach młodości* — i wydrukował wkrótce *Zgodę senatorską*.

Okazały tytuł i równie okazały wstęp, mieszczący w sobie śliczne i poważne myśli, zapowiadały całkiem inną treść, chociaż już i w tym wstępie bruździ znowu ten dualizm, negujący nieraz na drugiej karcie głos swój poprzedni. Winnicki, bo *„Zgodę senatorską”* opowiada znowu Winnicki, który tyranizowany przez swego ojca, nie mógł na żaden sposób apoteozować batoga, tak boleśnie i niesprawiedliwie zamieszkałego prawie na jego nagim grzbiecie: „bo szat szkoda. — Winnicki mówi o edukacji szlacheckiego chłopca:

Aż już dorósł batoga, i ławy, i księgi,
 Ojcowskiej, dyrektorskiej lub klasztornej ciągi.
 Tam uczyli posłuchu i bojaźni Boga,
 Szłać tam wprawdzie nauka często od batoga,
 Lecz on formował rękę i uczył łaciny,
 Miłości i bojaźni, i niesforne syny
 Służyły później sforniej i ludziom i Bogu;
 I każdy błogosławił rękę po batogu!...

a zaraz na drugiej karcie:

Kto zawiadnął rodziną, ten rządził uważnie,
 Z łagodnością, słodyczą, lecz bardzo poważnie!
 Dosyć było tam słowa, czasem rzutu oka.

Wyłączając ten usterek, cały wstęp jest bardzo ładny; zapowiada on, że nam się wkrótce ukaże jakaś postać prawdziwego senatora. Jakby w poczuciu do grzechu, że tak pięknie zaczął, reflektuje się wnet Winnicki, a właściwie pan Wincenty Pol, i kończy tak swój wstęp:

Lecz gdzież to ja odbiegłem, ho, ho, ho, mosanie!

Nie o tem miałem mówić Ci moje kochanie!

Wy dziś rozumu głodni, więc powiem o człeku,

Najsławniejszym z rozumu za mojego wieku.

Czytelnik pyta: któż to będzie ten najślawniejszy z rozumu? I jakby sam chciał ironizować swoje powiedzenie, autor stawia nam: biskupa Krasickiego!... tego małego Woltera, obleczonego w szatę kapłańską, co drwił z kraju, z religji i ze swej godności, i jakby na domiar tego porównania, zaprzyjaźnił się w końcu z Frydrykiem, po prusku nazwanym Wielkim, którego inny, o wiele sławniejszy z rozumu człowiek, Wolter, nazwał geniuszem z powodu przeprowadzonego rozbioru Polski.

Poemat zaczyna się od nowej apoteozy, tą razą: rodziny Krasickich. I istotnie, na wstępie kładzie pan Wincenty Pol prześliczną tradycję tego rodu o Jasku z Nowego Miasta, któremu gdy barbarzyńska horda porwała żonę w jasyr, wyprawia się na jej odszukanie i przez siedm lat służy sułtanowi, aby ją z haremu wykupić. A tymczasem gromada Nowego Miasta, lud kochający swego pana, rządzi jego mieniem i dobrem, i za jego powrotem wita go szlochając, i oddaje swoją opiekuńczą starannością zebrane skarby. Żona jego, okryta nieodchylającą się już nigdy zasłoną, zhańbiony ten anioł, idzie

do klasztoru; mąż przywdziewa habit trynitarSKI, i oddawszy zarząd swych włości ludowi, wraca co kilka lat po uzbierane jego pracą złoto, aby je obrócić na wykupienie jeńców z jasyru.

Cóż to za cudowna treść do wielkiego poematu! Ale pan Wincenty Pol, straciwszy zmysł narodowy, przesiąknięty już wstrętną niechęcią dla ludu, nie wie jaką perłę posiadał w swoim ręku; i znowu jakby uniewinniając się, że poświęcił półtora kartki dla tej tradycji, mówi dalej:

Ale znowu odbiegłem, dawszy sercu wodzę,
 Bom miał mówić o sławnych, a na świętych schodzę.
 Z tego domu Krasickich jak gwiazda wypłynął
 Mąż wielki, co w narodzie i świecie zasłynął.

Odbiegł z błotnej i kamienistej ścieżki na wonną błoń narodową! Czy w takim razie można powiedzieć: odbiedz?

Miał mówić o sławnych, a zeszedł na świętych!
 Czy w takim razie można powiedzieć: schodzę?

Mówiąc o Jaśku przypomina sobie, że czeka na niego biskup: mąż wielki! Czy po Jaśku można nazwać tego biskupa wielkim?

I zaraz potem pan Wincenty Pol, odbiegłszy z tej pięknej tradycji, schodzi do swego biskupa, o którym mówi, że miał równą sławę w Polsce i tak wdzięczne chęci jak Kochanowski!

Osią całego poematu jest to, że podkomorzy Bał, nienawidząc starosty Mniszcha, wymawiając jego imię, połykał *ch*, a kładł natomiast *k*, i tym sposobem z Mnisz-

cha robił Mniszka, imię godne ale tylko szlacheckie, co obrażało magnata, mającego w swoim rodzie carycę.

Nigdzie nam poemat nie tłumaczy: z kąd ta nienawiść podkomorzego brała się dla starosty. Drażliwa byłaby to kwestya dla autora; więc oględny autor, unikający wszelkiej drażliwości i negacji, nie podnosi jej wcale. Tymczasem my wiemy z dopisku, iż przybycie biskupa Krasieckiego do Dubiecka, które poemat całą swoją treścią uświetnia, odbyło się we dwa lata po objęciu stolicy biskupstwa w r. 1766, a więc w r. 1768. Była więc to chwila rozpoczynającej się rzezi humańskiej a gromadząca pierwsze zastępy konfederacji barskiej, a przed którą rok przedtem uwiozła Moskwa biskupów i senatorów świeckich z Warszawy. Biskupa Sołtyka porwano nawet z domu tego samego starosty Mniszcha, związanego urzędem z dworem Poniatowskiego, który zadowolonym okiem patrzył na ten nowy dowód opieki nad krajem potężnej i dobroczynnej swej aliantki. Podkomorzy Bał, gorliwy i gorący patrijota, nie mógł więc znieść widoku pana Mniszcha, a zmuszony przybyciem biskupa do ocierania się o niego, gdy raz wracał z uczty od pana Mniszcha i przypominał sobie zapewne nieszczęśliwą Warszawę i Sołtyka,

... , kazał podać wina, bo był coś ponury

I jakiś taki smutny, jakby po pogrzebie,

I bał się też o drugich: czy się nie struł który? *)

*) Żona tego samego Mniszcha odebrała raz list następujący: *Le P. Ropin vous fait mille tendres compléments Madame. Il est toujours bien amoureux et constant, quoique pas toujours fidel; mais ce n'est, q'en passant qu'il commet des infidélités. L'abeczek rączki całuje...* i t. d. (Z autografu listu bezimiennego do p. Mniszchowej — Archiw Mniszchów, Chirów, w dziele Morawskiego: *Materiały do Konfederacji Barskiej*.)

Biskup lubiący się bawić, cieszy się, iż ma sposobność do nowej uczt, na której umyślił pogodzić zwaśnionych. Rozwesela więc szlachtę dykteryjkami, niemającemi żadnej styczności z tym poematem, i w końcu bierze się na fortel. Każe podać sobie kielich, noszący w domu miano „podkomorzego”, i wnosi zdrowie podkomorzego Bala, opowiadając przytem obszernie zasługi jego rodu, i stara się tem pochlebstwem ująć sobie zawziętego patryotę. Potem kazał podać inny kielich z mianem „starosty”, i wnosi na goło zdrowie starosty Mniszcha, bez żadnego dodatku, czem zdaje mu się, że zniewoli bardziej jeszcze dla swojej myśli podkomorzego Bala. Nakoniec przynoszą mu kielich z tytułem „kochajmy się”, zlewa obydwie nie spełnione jeszcze kielichy w ten jeden i pije „w ręce podkomorzego”. Tak obsaczony poddał się szlachetny Bal, i przyjął kielich. I to nazwało się Senatorską zgodą!

Przy tej okazji podniosę jedną niesumiennosc autora, której dotąd żaden z krytyków nie dostrzegł. W Sejmiku odwołuje się pan Wincenty Pol bardzo często do uczynionej „zgody senatorskiej”, po której zwaśniona przedtem szlachta skupiła się na nowo, aby odbyć opiewany sejmik w Sądowej Wiszni. Według samego autora zgoda senatorska odbyła się w r. 1768, sejmik zaś w Sądowej Wiszni, według daty, umieszczonej na samym tytule i według obszernych dokumentów dołączonych w przypiskach, odbył się w r. 1766, więc o dwa lata pierwszej. Jakże mogła zgoda senatorska wpłynąć na to, co

się przed nią stało? Pan Wincenty Pol chciał podnieść koniecznie fakt drobny wypitego przez biskupa Krasickiego toastu, do wielkiego senatorskiego czynu, wpływającego korzystnie na całą ziemię sanocką. Mylnem więc jest niezawodnie to, co twierdzi pan Wincenty Pol w przypisku, iż nazwa zgody senatorskiej zostaje dotąd tradycyjnie na ustach szlachty sanockiej. Wykomponował ten tytuł pan Szymon Dudkiewicz, jak to sam autor na wstępie w ofiarowaniu ogłasza.

Poemat kończy się zwrotem do biskupa, ni to całem swoim streszczeniem:

Lubiła Polska stawić i wysoko ludzi,
I „darami trzech królów“ obsypać takiego,
Co i „łaskę i dary wziął Ducha świętego!“
Ale kiedy człowieka wyniosła wysoko,
To miał miłość dla drugich i opatrne oko,
I czułość nad bliźniego losem i niedolą,
A czem wyżej kto stanął — tem świętszą miał wolą...

gdyż według autora, dowcipny biskup wypijając na razie dwie buteleki wina, okazał tem „łaskę i dary Ducha świętego, miłość, opatrne oko i czułość nad bliźniego losem i niedolą“, a nakoniec „świętą swoją wolę“.

Rok jeszcze, a kielichem, napełnionym krwią, spełni sanocka szlachta to zdrowie „kochajmy a nie dajmy się; spełni go także podkomorzy Bal, uczestnik konfederacji barskiej, czekający z upragnieniem na tę chwilę; nie spełni go pan starosta Mniszecz! ani biskup Krasicki!

Po zgodzie senatorskiej wydrukował pan Wincenty Pol trzecie opowiadanie Winnickiego: Sejmik odprawiony 1766 r. w Wiszni.

Na wstępie apoteozuje pan Wincenty Pol ogólnikami życie publiczne szlachty w drugiej połowie zeszłego stulecia. Nieszczęśliwą wybrał chwilę do podniesienia tej cnoty, która i tak samą treścią poematu i przez znany nam dualizm autora łamie się za każdym krokiem i neguje sama siebie. I tu więc wstęp zapowiada wcale co innego, niż co znajdziemy we środku; fronton kościelny, przyczepiony do budy jarmarcznej, to nie nowina w poematach pana Wincentego Pola.

A inaczej znów szlachta za barki się wodzi,
Kiedy sprawa w narodzie o publikę chodzi.

Bo publika jak wolność, takie wielkie słowo!
W niej umiano jak w arce, wszelką świętość złożyć.

.....
Szlachcie gdy się w publice skapał—bywał czysty!
I katolik prawdziwy i w sercu ognisty.

.....
Ztąd różne religijne bywały praktyki,
I przez kościół, sakrament, droga do publiki.

.....
A kiedyś go już zaklął: A Bóg?—A Sakrament?
A co powie historja?—toś go miał już w saku!
I żeby jaka ryba, żeby jaki zamęt,
Upokorzył się szlachcie i poszedł na raku!

Zdawałoby się, że to wszystko prawda a tymczasem w kilka lat później nieszczęśliwi Rejtan i Korsak położyli

się na ziemi krzyżem w izbie sejmowej, i napróżno reprezentantów tej samej szlachty zaklinali na Boga, na Sakrament, na całe dzieje narodu o litość i miłosierdzie nad własną matką!

I znowu na drugiej kartce po tak pięknem wyłożeniu pojęcia ówczesnej szlachty w sprawach publicznych, zapytuje się pan Wincenty Pol:

Któż górą na sejmiku?

Ani ten co z rodu,

Ani ten co z zasługi znany u narodu,

Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz mospanie!

Ale ten co najraniej umiał dać śniadanie.

Bo to głosy wychodzą przez gardło i zęby,

I grzeczne za nadobne — więc daj co do gęby!

Kochasz?—Kocham!—To daj jeść!—i buzi, i basta!

Rozmówlanemu w tej obrzydliwej trywialności panu Wincentemu Polowi za mało jeszcze tego; więc pyta dalej:

I co robi przyjaciół?

Mało potraw u stołu — a wielkie półmiski,

I racja bardzo prosta

tłumaczy pan Wincenty Pol, bo

. . . Gdzie półmiski wielkie, tam i przyjaźń wielka.

Ergo!

Ztąd też partji sędziego nikt zdradą nie zmacił,

Bo w kupie trzymał ludzi i rano posilił,

I pokrzepił na duchu, pod miarę wychylił;

A gdy szlachta po mieście przyciągała pasa,

A pas ciągle folgował, nie było z nią rady,

Bo czekaj do wieczora na pańskie obiady,

Kiedy człeku aż pachnie wódka i kiełbasa.

Więc nieraz się tak działo, że partji odstąpił;
I wziął go bez obrotu, kto rano nie skąpił.

Wszystko to wydaje się bardzo naturalnem panu Wincentemu Polowi, i znowu po swojemu tłumaczy:

I racja bardzo prosta! — modlitewka krótka,
Et in quo nati sumus — więc puzdro i wódka,
Z wereszczakiem kiełbasa, a z szafranem flaki,

Więc barszcz, dalej kapusta,

A pieczenia szóstka,

Głowizna i nogi,

Dwunaste pierogi —

A w dzień postny braciszku naprzód idzie rak....

Uwalniam czytelnika od dalszego ciągu tego dityrambu, z obawy aby się nie rozchorował; pokazuje się tylko, że mało potraw u stołu — jak powiedział wyżej pan Wincenty Pol, nie daje wcale jeszcze rękojmi do uzyskania sobie przyjaciół. Biedny Janusz, więziony przez pana Wincentego Pola, co on powiedział, słuchając takich rymów?!

Po czem następuje rzecz o jenerale ziem podolskich i o zasługach jego rodu. Czartoryskim, mówi pan Wincenty Pol:

..... nie szło o to,

By się wbić w zaszczyty, lub gromadzić złoto,

Aby wszystko ować, wojować i sądzić,

Lecz by Rzeczpospolitą inaczej urządzić.

Nie ma co mówić, ślicznie ją urządzili, sprowadzając pierwsi Moskwę do Polski — i tym dopiero czynem ogłosili swoje imię, tak głuche przedtem w dziejach narodowych.

Nieszczęśliwym był pan Wincenty Pol, ile razy udawał profesora; tą razą równie nieszczęśliwie przebiera się za głębokiego statystę. Mówi on o dworze Czartoryskich:

. Więc choć pan cię raczy,
 Pytał człowiek sam siebie: co na dworze znaczy,
 Gdzie tylko cenią rozum, zasługę i miarę,
 I więcej to co dobre niżli to co stare?
 Człowiek do rady skory, lecz pan żąda służby,
 Sekret duszą w czynności — a tu brat nasz plecie;
 Kto obliczył — ten tylko pewien skutku w świecie,
 A bractwo puszcza przyszłość na wróżki i wróżby:
 I choć przyzna, że mądrość człeku nie macocha,
 Choć przyzna i pochwali — rozumu nie kocha!

I następuje równie ciemna konkluzja tej gmatwaniny:

Więc ciężki mieli żywot mężowie tej drogi;
 I chociaż postawili nie jedno na nogi,
 Co ich czasy przetrwało i dzisiaj się krzewi,
 To o ich wiernej służbie bractwo i dziś nie wie;
 Cóż dopiero za życia? Szkoda mówić, szkoda!
 Ale wróćmy do rzeczy.

„Szkoda mówić, szkoda!” a tembardziej przepisywać rzeczy, których i sam autor pewnie nie rozumie. „Ale wróćmy do rzeczy”, powiada autor; zobaczmyż dalej, czy będzie on mówić i do rzeczy. Czartoryskich więc, nad których nie było większych statystów.

. nie miarą dworską

Mierzyć wypadało, i nie senatorską:

Ale chyba już tylko miarą monarchiczną. —

A więc już teraz wiemy, że Czartoryskim chodziło o koronę, ale jakże znowu pogodzić to z powiedzeniem o nich o jedną kartę przedtem:

. bo nie szło im oto
 By się wbijać w zaszczyty lub gromadzić złoto,
 Aby wszystko ovladnąć, wojować; i sądzić.

Z powodu księcia jenerała mówi pan Wincenty Pol:
 Książę jenerał w niewielkim mirze u szlachty zostawał,
 Bo drwić lubił ze szlachty a lichy jeść dawał
 A to szlachcic mosanie kiedy zbroił czasem,
 Przyjął nawet batogi, byle na kobiercu,
 I znowu go pan ujął koniem albo pasem.

.
 Więc się gniewem paliły serca i czupryny!
 Ale widząc nareszcie, że pan pierwszy kłania,
 Ogłupiał jaki taki, i już nie miał zdania.

Nie, nie! tak źle nie było, tak być nie mogło; takiej podłości nie miała nigdy szlachta polska, nawet w najstraszniejszych chwilach swego zepsucia. Nie plam, nie hańb, nie obrzydź nam własnego rodu, panie Wincenty Polu!

Tu miejsce zadziwić się: zkąd ten czar pada na naszą szlachtę, co ślepa i głucha uwielbiała i powtarzała z najwyższym zapalem wszystko, cokolwiek kiedy pan Wincenty Pol napisał? Ci, co nazywają demagogiem każdego, co lud kocha, umieją nie jedni całego „Kilińskiego” na pamięć i deklamują z przyjemnością zawarty w nim następujący ustęp:

Lecz tych zdrajców
 Bierz, hetmana i prymasów —
 Więc biskupy — więc hetmany,
 Więc nieszczerze inne pany,
 Jak Bóg kazał, podyndali,
 I nogami świat żegnali.

Ci, co jako waleczni żołnierze przelewali swą krew' w roku 1831, deklamują równie z pamięci całego „Wachmistrza Dorosza”, ten straszny, po większej części najnieprawdziwszy sarkazm na całą armię polską, a którego Dorosza pozwolił pan Wincenty Pol przedrukować temu lat kilka w Petersburgu! Jaki to balsam musiał być dla cara.

Ci, co uważają pana Wincentego Pola za ulubionego swego poetę, podnoszącego tradycje i cnoty szlacheckie, czytali i czytają obrzydliwe, zacytowane przezemnie ustępy o szlachcie z „Sejmiku” i czytają to z zadowoleniem, z uśmiechem na ustach!

Niech mi to kto wytłumaczy — ja nie potrafię.

Miałby mi za złe oburzony czytelnik, gdybym chciał zejść do potrzebnego spokoju krytyka i dalej prowadził zaczęty rozbiór Sejmiku. Jam nie chłodny cyrulik, krajający spokojnie trupa, ale podobien jestem do dziecka, co topi lak na zaumarłej piersi swojej matki, aby ją do życia przywołać — a czyni tę srogą próbę z płaczem.

Pamiętniki Winnickiego należą do najgorszych książek i pod względem ich artystycznego układu i pod względem treści. Osia, około której się obraca treść „Przygód młodości” jest kańczuk; osia, około której się obraca treść „Zgody senatorskiej” są litery *ch* zamiast *k*; osia, około której się obraca treść „sejmiku”, są ukradzione szarawary! Zaiste piękne ziarna pod łupiny artystyczne.

Ale mniejsza o to; nam nie o artyzm chodzi. My przedewszystkiem przyzwyczajaliśmy się szukać w poezji ducha, co nas tak długo umacniał i podnosił. My wie-

my że pieśń legionów o Dąbrowskim nie ma wielkiej wartości pod względem formy, a była i jest naszą świętością; w nieudolnej formie cóż nam dał pan Wincenty Pol w Pamiętnikach Winnickiego? Niech czytelnik osądzi.

Co jest dla mnie najbardziej niezrozumiałego, to prawdziwa czy fałszywa nieudolność krytyków, którzy dotąd żadnego utworu pana Wincentego Pola nie rozebrali jak się należy, a nigdy w swoim poglądzie nie chcieli wznieść się na stanowisko moralności narodowej. Chwalono lub ganiono wiersz, oślepiano się brzmiącymi frazesami o żadnej, a częściej o złej treści. Żaden z nich nie odezwał się: Ten pachnący kwiat — zabija; w tym owocu z nad Martwego morza jest w środku siarka i popiół. Chwalili wszyscy, księgarze dopytywali się o nowe poemata, dawali za nie sumy neapolitańskie — a pan Wincenty Pol pisał, przedawał swoje pisma i truł naród.

XXVI.

Celniejsza część Mohorta pisaną była jeszcze za życia pana Ksawerego Krasickiego pod świeżem wrażeniem jego opowiadań. Autor w przypisku mówi: *•Dawno poczęty rapsod nie skończyłem dla tego tylko, aby żyć wśród tych obrazów i wspomnień jak najdłużej. — dziwne samolubstwo u wieszczki narodowego! Sam miałem szczęście słyszeć w pierwszych latach po r. 1840 najpiękniejsze fragmenta Mohorta, odczytywane przez samego autora. Mohorta więc wypracował jeszcze duch Janusza, chociaż wydrukował go pan Wincenty Pol już po Pamiętnikach Winnickiego. Poemat ten przez cały naród z zapa-*

łem przyjęty, podreperował sławę autora, upadającą widocznie po ukazaniu się Zgody senatorskiej i Sejniku. Pragnąc, aby ten artykuł dobieść już mógł rychlej do swego końca, sędzę że mogę być uwolnionym od rozbioru piękności, zawartych w Mohorcie, tembardziej że czytelnik przekonać się mógł w ciągu całego artykułu, z jak dobrą wiarą i z jaką miłością podnosiłem wszystkie utwory Janusza, i to w sposób obszerniejszy, niż późniejsze ujemne pisma pana Wincentego Pola. Gdybym chciał, mógłbym najdobitniej wykazać w samym poemacie o Mohorcie wszystko, cokolwiek dorabiał już pan Wincenty Pol pod wpływem tego złego ducha, który go natchnął do dwóch ostatnich opowiadań Winnickiego. Wpływy te osłabiły się jednak widocznie, złamane poważną i surową postacią Mohorta — ale zawsze rażą wprawniejsze i czulsze ucho swojemi dysonansami. Nie chcę szukać i wykazywać plamy w tem słońcu, mam jednak prawo i obowiązek porozpędzać mgły, które go otaczają; więc pomówię o Poświęceniu i o Przypiskach do Mohorta.

W Poświęceniu mówi pan Wincenty Pol o sobie że z dawna tylko rozmawia z zmarłymi. Dla żywego narodu, nie mniejszego w swoich cierpieniach od zwyciężkich swoich ojców, niema więcej pan Wincenty Pol w swoim sercu ani miłości, ani życzliwego współczucia bo

. wystąpili na świat nowi ludzie,

I świat pracował w bardzo wielkim trudzie,

Aż padł nareszcie, zlany krwawym potem,
Bo co mu święte, to zbrzyzgano błotem.

I wystąpili na świat ludzie nowi
Z owem pogaństwem, co przed krzyżem padło;
I zarażali wściekłą zjadłą,
I nowy ołtarz wzniesli bałwanowi.

Czy można z dobrą wiarą i z ręką na sumieniu tak potępiać wszystkie objawy rozbudzającego się życia, idące obecnie ruchem tak gwałtownym, że spisującemu dzieje ostatnich kilkunastu lat aż ręka omdlewa? Czyż nie czuje pan Wincenty Pol w powietrzu odświeżających zmar-twiałą i duszną naszą atmosferę prądów? A na koniec na kogoż rzuca pan Wincenty Pol takie potępienie — czy na swoich? Nie możemy mieć w tym względzie żadnej wątpliwości, bo wiemy, z jaką zaciętością otwarcie i gło-śno powstaje od lat wielu pan Wincenty Pol na wszy-stko, co technie demokratyzmem — on, natchniony dawny śpiewak ludu! Więc mówi dalej pan Wincenty Pol świat odwrócił się od nich z boleścią, a lepsi i szersi jako karę przyjęli tę chłostę.

I znowu dzierzą, co nazwano stare!
Stare rozumem i stare sumieniem,
A wiecznie młode duchem i natchnieniem.

Powiada to pan Wincenty Pol, bo dawniej Janusz mówił:

Przeszłość jak prorok o przyszłości wróży,
Kto chce przeszłości? — świat się wstecz nie wraca;
Co mu służyło, to mu dziś nie służy!

A w innym miejscu znowu powiedział: trzeba będzie

„I nie jedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować.“

A tymczasem pan Wincenty Pol, zakochany we wszystkim co stare, dawał nam przez jakiś czas nawet i to, co obrzydliwe, byle stare, i apoteozował nabaje, pieczeniarnstwo, i z zadowoleniem wspominał o podłości nielicznych szlacheckich jednostek — co brali od magnata batorgi, byle na kobiercu, a z wdzięcznością przyjmowali potem jako basarunek pas albo konia — i o innej podłości tych:

. co, gdy pan się kłania,
Jaki taki zgłupieje, i już niema zdania.

Pan Wincenty Pol jest jak Cham, co odkrywa nagości swego ojca, i mówiąc: „patrzcie, jaki piękny!“ chce aby mu ludzie wierzyli, że to czyni i mówi z miłości synowskiej.

My czcimy i kochamy wszystko co było świętem i dzielnem u przodków naszych; odwracamy oczy od ich błędów, a jeżeli je wspominać musimy, aby ochronić od nich dzieci nasze, to czynimy to z żalobą w sercu — ale my bardziej jeszcze od przeszłości kochamy terażniejszość cierpień i walk naszych, a o której powiedział Janusz:

Rodzące bole i trwogi skonania,
Które dziś ludzkość i trapią i palą,
Są to jutrzrenką owego zarania,
I one przyszłość szczęśliwszą ustalą,
Matka ten żywot pokalany grzechem,
Zamknie swą śmiercią — ale kiedy skona,
Z niewinnem sercem i z rajskim uśmiechem
Wyciągnie dziecko do świata ramiona.

W objaśnieniach do Mohorta rozwijają się jeszcze pełniej szkodliwe tendencje pana Wincentego Pola, podpierane jego dumą i pogardą dla żyjącego narodu. Zaraz na początku mówi on tak: „Tradycje w tym rapsodzie podane, są tak odległe, tak niemające żadnej analogji z dzisiejszem naszym życiem i stosunkami, w jakie wzięci jesteśmy, iż interes czytelnika może być tu czysto-historycznej tylko lub artystycznej natury. A znowu na trzeciej stronie mówi pan Wincenty Pol ze znaną swoją niekonsekwencją: „Mohort był niejako nicią narodowych tradycji, i tak go pojąłem. Cóż to za wyobrażenie pełne wzgardy dla nas, nie przypuszczające, aby czytelnik polski, czytając Mohorta, mógł mieć inny interes od interesu czysto-historycznej lub artystycznej natury! Pokazuje się, że z głębszem pojęciem i miłością czyta Mohorta naród niż go autor pisał. Nie narodowych tradycji niewątpliwie urwała się już w sercu pana Wincentego Pola, ale nie w naszym; wstrząsa ona tem naszym sercem nieraz boleśnie, częściej błogo. My stojąc przed nagrobkiem Kazimierza Jagiellończyka nie przypatrujemy się rzeźbom Wita Stwosza, ale dumamy o dobrym królu i o wielkości ojczyzny za jego czasów. Wstrętno mi jest przypomnąć com niedawno o bezdusznym artyście powiedział: „Krew’ i łzy narodowe biorą oni za farby do obrazów, za które im księgarze dobrze płacą. Pan Wincenty Pol sam się już osądził.

W objaśnieniach do trzeciego wydania Mohorta mówi pan Wincenty Pol: „ale że to w naszych czasach wzmó-

wiono w nas, że pisma czasowe są wyrazem opinii publicznej, i znowu dalej: „Nasza literatura dzisiejsza w pismach czasowych skupiona, ignoruje w złej czy dobrej wierze rzeczywiste stosunki narodu; i znowu dalej, ale już nawet wierszem:

Dla kogo to wszystko pisze?

Co po niej zostanie?

Znamy błędy dziennikarstwa naszego, jego często objawiającą się nieudolność i brak cywilnej odwagi; sam wkrótce w obszernym artykule starać się będę wykazać ujemne strony naszego dziennikarstwa. Ale zapoznawać jego zasługi, potęgę i wartość, to zaprawdę trzeba należeć do umarłych lub tych, co z dawna tylko rozmawiają z zmarłymi: jak powiada o sobie pan Wincenty Pol. Właśnie dla tego, że dziennikarstwo jest jedyną naszą siłą i dźwignią, należy surowo osądzać go, ale nie można mówić o niem kilkoma słowami, słowami pełnymi dumy i pogardy, bo zaręczyć mogę, iż mniej ono ignoruje rzeczywiste stosunki narodu od pana Wincentego Pola, a pisze ono dla ludzi w kawiarni, o których będzie niżej, i więcej po niem dobrego zostanie niż po pamiętnikach Winnickiego, które oby zginęły jak najrychlej!

„Przywykły wszakże”, mówi dalej pan Wincenty Pol, „od lat dwudziestu pięciu widzieć słuchaczy moich poza kołem pism czasowych — nie w kawiarni, ale we dworze szlacheckim, bo nasze izolowane stanowisko, jeżeli potraciło pewne żywotne kwestje dla historii i literatury, stało się to bez żadnego zarozu-

mienia — i czy to łaskawie, czy niełaskawie będzie przyjęte, na tem mi mało zależy. Nawykły, mówi dalej pan Wincenty Pol, dawać to, na co mnie stać, a do starych przyjaciół przemawiać otwarcie i jasno. I jeszcze raz na samym koniuszku wszystkich objaśnień: uważając każdą nową pracę zawsze za list do starych przyjaciół... W odpowiedzi na te wszystkie frazesa, zacznę dla porządku od początku: Pan Wincenty Pol ogląda na tłum uliczny, nie mający własnego powozu, ani własnego szlacheckiego dworu, okiem jakim patrzy magnat-arystokrata: *c'est de la canaille* u niego. Nie każdy panie Wincenty Polu może dostać darmo po każdym obiedzie czarnej kawy; są tacy nieszczęśliwi albo niepraktyczni w swoim życiu, że muszą ją sobie po prostu kupić — i na to są kawiarnie; a chodzą do nich ludzie, co chociaż chodzą pieszo i nie zawsze z całemi butami, silniej za to, wyćwiczwszy swoje muszkuły, stąpają na ziemi i nie chwieją się ani na nogach ani w życiu za lada nowym powiewem wiatru. Czuje dalej pan Wincenty Pol, iż jego stanowisko jest izolowane, bo od dawna nie daje nic dobrego narodowi, ale na co go stać tylko. Czyśmy winni, że mu na mało, a częściej na złe staje? Pan Wincenty Pol jest, jak sam powiada, izolowany, a niedbający o nowych, odzywa się zawsze do starych przyjaciół, a więc nie jest izolowany, chociaż mu tych przyjaciół wcale nie zazdrościmy.

Nie na tem koniec. „O ojcach naszych” mówi w innym miejscu pan Wincenty Pol, nie czas jeszcze mówić z całą otwartością w obec większego koła słuchaczy. —

i znowu mówiąc o ś. p. Ksawerym Krasickim i Kazimierzu Ostaszewskim, powiada: „zrozumiałem że o obudwu zawczasie jeszcze mówić.” Wszakże pan Wincenty Pol z umarłemi już tylko od dawna mówi i spisuje nam tradycje po nich pozostałe, chętniej wyszukując gorsze od lepszych... niech nam to kto inny wytłumaczy, bo mnie już znudziły te mgły, okrywające słońce Mohortowe.

XXVII.

Pamiętniki Winnickiego wykazują nam sposób zapatrywania się pana Wincentego Pola na naszą przeszłość społeczną; wyjmuje on z niej z lubością tylko jej przywary, ale nie na to aby je karcić, ale aby ubarwić rymem, otoczyć nie szlachetnym, nie szlacheckim, ale szlacheckim humorem i podać jako rzecz dobrą. Spisuje on te swoje tradycje nie dla kawiarni, ale jak sam powiada, dla dworów szlacheckich. Jakże niskie wyobrażenie ma pan Wincenty Pol o wykształceniu szlachty naszej!

W drobnych poezjach, które wkrótce wyszły po Mohorcie, widzimy w jednej części znowu sposób zapatrywania się pana Wincentego Pola na naszą społeczność terażniejszą, a prócz tego maluje on w nich jak najdobitniej stan własnej swojej duszy, jakby dla odbicia pięknej postaci Janusza, wyłaniającej się z Pieśni Janusza, z Obrazów z życia i podróży i z Pieśni o ziemi naszej.

Inna część drohnych poezji nie tylko że należy do bardzo złych książek, ale i pod względem formy artystycznej

cznej stoi tak nieudolnie, że trudno pojąć odwagę drukującego je autora. Inaczej sądził autor — kiedy przedawszy księgarzom pierwsze ich wydanie, nie czekał nawet aby go wyprzedano, co z wielką trudnością przychodziło, ale w kilka lat powtórzył przedruk Drobnych poezji w wiedeńskiej swojej edycji. Tu trudno unikać następujące uwagi: siedzi w panu Wincentym Polu widocznie jakiś zły duch, co nie tylko że dyktuje mu późniejsze jego pisma, ale napędza go oprócz tego do starań aby je jak najliczniej rozpowszechniać.

Któremuż z księgarzy polskich nie przedawał już pan Wincenty Pol Pamiętników Winnickiego? Nim jeden wyprzeda nabytą edycję, już ją kupuje inny, tak było i z Drobnymi poezjami, a zład liczne po dziennikach hałasy i krzyki zawiedzionych, nieujące już nie sławę, ale uczciwość autora. Stękają prasy petersburskie, wiedeńskie, dziwi mię że i nie berlińskie, aby rozpowszechnić pisma pana Wincentego Pola, trujące naród polski. A tymczasem Pieśni Janusza, drukowane w Paryżu stały się rzadkością bibliograficzną, najmłodsze pokolenie nie zna ich prawie, a autor ani myśli o powtórzeniu edycji, jakby cieszył się, że w późniejszych jego śmieciach zagrzebała się ta narodowa perła.

A tymczasem Obrazy z życia i podróży, drukowane w polskim na polu Wrocławiu, chociaż niewinne w obec wszystkich cenzur swoją treścią, jednak drukowane bezimienne mniej jeszcze od Pieśni Janusza są znane; sam autor zagadnięty o nich macha ręką i zbywa je jednym słowem: lichota! i w złej swojej wierze,

bo inaczej nazwać nam tego niepodobna, nie chciałem przedrukować ich, czyniąc własnym nakładem kompletniejsze wydanie swoich prac w Wiedniu. A tymczasem *Pieśń o ziemi naszej*, drukowana w ojcystym Poznaniu, nie mogła się doczekać trzeciej edycji w tem miejscu, i oddaną została przez autora pod nóż cenzury rosyjskiej i pod sroższy i hańbiący nóż własnego, zapierającego się ojca, aby ją dopiero w takim pokaleczeniu szerzej rozpowszechnić po kraju: o tem dzieciobójstwie obszerniej będzie niżej. Tu także miejsce zwrócić uwagę powszechną na tę niedbałość o zysk autorski, jaką świętniał poczciwy, kochany Janusz, rozpowszechniający dawniej swoje prace przed ich wydrukowaniem. Późniejszy pan Wincenty Pol prowadzi dla swoich towarów osobną księgę kupiecką; targuje się z księgarzami o każdy łokieć fabrycznych swoich wyrobów; równie nieraz obszerne jak text przypiski, te krajki około zbutwiałego sukna, mierzy także skrupulatnie na łokcie i każe sobie płacić osobno po tej samej cenie, jak za łokieć sukna. I z tego powodu sam słyszałem opowiadającego go z naiwnym humorem o zadziwieniu pana Orgelbranda, który nie mógł pojąć, jak można kłaść równą cenę na poemat i na jego przypiski: »bo *rymów*, to wielka praca i potrzeba sobie nieraz głowę nałamać, ale *przypisków*, to co innego.« Pan Wincenty Pol nie łamie sobie głowy ani nad rymami, ani nad stylem prozy, jak to nie raz wykazuje.

Uderzyłem tak srogo i niemiłosiernie na ten nowy grzech pana Wincentego Pola głównie dla tego, iż wy-

dał on mi się najgłośniejszym jego reprezentantem, a przez znakomitość swego imienia wpływa jak najszkodliwiej na rozwijającą się obecnie frymarkę słowem. Autor Zapisków literackich mówił już raz o tem, ale raz mówić, to za mało, kiedy ten grzech nie upada ale rozwija się coraz bardziej i rośnie. Mniejsza o tych, co długi czas przed obraniem swego zawodu, ważą w swojej myśli czem lepiej zostać: szewcem czy literatem?... Ale co straszniejsza to, że ludzie z prawdziwym namaszczeniem Bożem zaczynają od natchnionego bezwzględnie na krępujące nas stosunki wymówionego słowa, a kończą na najlichszych fabrykatakach, oglądających się na gust publiczności, na widzimisię księgarskie i na nożyce cenzorów. Temi kilkoma słowami nie zakończyłem wcale tej kwestji; da Bóg zdrowia, pomówię o niej szerzej!

XXVIII.

Jawniej i bogaciej niż gdziekolwiek indziej wyskakuje w Drobnych poezjach znany nam dualizm pana Wincentego Pola; a właściwiej odzywają się w nich głosy nawet prawdziwego Janusza, bo książka ta mieści w sobie wszystkie drobniejsze a luźne poezje od lat najdawniejszych. Do działań złego ducha, siedzącego obecnie w panu Wincentym Polu należy i to, iż uczy autora najfałszywiej sądzić o wartości prac własnych. I tak — o *„Pieśniach Janusza* nigdy prawie nie wspomina pan Wincenty Pol; *„Obrazy z życia i podróży* nazywa lichotą; z *„Pieśni o ziemi naszej*„, czuje się dopiero teraz zado-

wolonym, kiedy to, własną ręką na śmierć pokaleczone swoje dziecko obwinał w całun o moskiewskich kolorach dopisanego wstępu, w którym o Listopadzie wspomina jako o złej radzie i złożył je na mary i przeprowadził kondukt przez cenzurę rosyjską; w *Drobnych* zaś poezjach, najczystszych, najpiękniejszych ich kartom dał tytuł: *Cierpienia bez ceny i Treny nie-Treny*.

Oddziałom w *Drobnych* poezjach nadał pan Wincenty Pol osobne tytuły, a po dziecinnemu porymował je nawet. Oddział pierwszy nosi tytuł: *Wiele mało* — przebolało. Na wstępie jest wiersz: *Miłościwe lato w r. 1851.* Rok to wielkiej wagi u pana Wincentego Pola, bo jubileuszowy. W wierszu tym uderzyły mnie niektóre okresy, ściągane przez pana Wincentego Pola do stanu dzisiejszego świata, a które dałyby się daleko stosowniej ściągać do samego autora, n. p.:

Dech zatruty po nas powiał,

Świat otępiał i osowiał...

I upada, a nie wieszczy?

Niech nam droga się wyprości,

Przez boleści do miłości...

Następuje poemat: *Przebolało*. Są w nim prześlizne wspomnienia z pierwszej młodości autora, które mi posłużyły jako jedyne źródło do zeszkiegowania jej, kreśląc w sposób biograficzny żywot Janusza. Jak powiedziałem, śliczne są rzeczy w tych wspomnieniach; słowa wielkiej prostoty i cichego żalu, gdzieniegdzie słowo głębsze,

prawdziwie natchnione; cóż z tego?... kiedy kończy się ten poemat najzgubniejszym dla nas zwątpieniem, łamiącym niesłusznie nadany jemu tytuł, bo kto tak wątpi, nie przeboleał; cóż z tego?... kiedy słowo natchnione znajduje często negację tego, co powiedziało zaraz na drugiej kartce, jak to się często panu Wincentemu Polowi wydarza; cóż z tego, kiedy zły duch pana Wincentego Pola zamącił to jasne źródło śmieciem i złością goryczy.

Ze łąką, jak przy modlitwie, czytają się te wspomnienia. Autor, pisarz pychy, owiany niemi, stał się dzieckiem pokornem; pod tym narkotycznym nawiewem usypia nawet zły duch pana Wincentego Pola, i kiedy niekiedy przez sen się tylko odzywa, również czytelnik nie może uniknąć tego błogosławionego wrażenia. Zaczyna się poemat od cudnych słów; autor maluje się w nich jako dobre, skruszone dziecko, żalące się przed ojcem; jest w nich uczucie popełnionej winy i tęsknota za chwilą przedgrzeszną:

Gdzieżeś? gdzieżeś, wieku młody,
Gdzie podziały się te czasy?
Gdzie przejrzyste moje wody?
I zielone moje lasy?!

Gdzie są owe ludzkie twarze?
I dusz czystych boskie dary?
Ach! i święte te ołtarze,
Kędy pierwszy niósł ofiary?

Gdyby jeczce taka chwilka
Zawitała z ranną zorzą;

Gdyby takich uczuć kilka
Padło w duszę rosą Bożą?

Gdyby takie głosy wieszczę
Pan do duszy zesłać raczył,
To nietylko żem przebaczył,
Ale mógłbym kochać jeszcze!

Boć bogate niby wiano,
Było życia mego rano,
Czyste, ciche i szczęśliwe,
A jak ziemia miłościwe.

O ty, którego zawsze kocham i uważam za jednego z mistrzów moich, oby ci Bóg dopomógł, abys mógł wkrótce powiedzieć: Przebolało, na prawdę przebolało już we mnie!... i nietylko, że przebaczam, w czemkolwiek zawinił świat przeciwko mnie — ale mogę na nowo kochać, jak kochałem za czasów złotej mojej młodości; kochać całą moją ojczystą ziemię, kochać cały jej naród, dzielący się jeszcze teraz na lud i szlachtę i na obce jego napływy, różniące się od nas religią i rodem, a złane w przyszłości w jedno wielkie, święte słowo: naród; kochać grzesznych i sprawiedliwych, kochać tych, co wierzą i wątpią, kochać wszystko i wszystkich, i dawać im słowo natchnione, słowo wiary, miłości i nadziei, słowo, co jest jak ostróg, kiedy porusza, jak bicz, kiedy karci, jak balsam, kiedy goi rany, jak działo, kiedy budzi alarmem, jak bagnet, kiedy składane w ręce bezbronnych!

Następuje opis znanej nam już pierwszej szkoły poety, pasieki i pierwszego jego nauczyciela, starego pasieczni-

ka. Ale w końcu tego opisu odzywa się z swoją konkluzją śniący w Wincentym Polu zły duch:

Kiedy wstąpię w gniazdo węży,
 Kiedy żywot mi zacięży,
 Kiedy upał pierś wysuszy,
 Tęskno w sercu, — czarno w duszy,
 Ciężko dźwigać i daremno:

I woła na poetę:

„Porzuć, porzuć świat jałowy —
 A powracaj do pasieki!“

Zły to głos i zły czas na taką radę! Dziecko już wyrosło, już było dzielnym i natchnionym Januszem, już stało się w końcu zwątpiałym mężem, już go wziął naród za swoją własność i oddał mu pod dozór duchy swoje jak ulę pszczoł. Inne mu już przypadło odpędzać szerszenie, inne gnieść trutnie, inne miody zbierać! Nie czas jemu odpoczywać w cieniu lip, kiedy w powietrzu grzmi trąba archanielska: do pracy!

Opis drugiej szkoły poety i jej nauczycieli, zakennika i kozaka, jakoś szczęśliwie dobiegł do końca bez odezwania się złego ducha równie jak i opis tych dobroczynnych przejażdżek po stawie, gdzie młodzieńkiemu śpiewakowi „Duch święty łaskę dawał“, a on ją cudami zlewał na ubogiego rybaka.

Czwarty dział poematu zaczyna się streszczeniem trzech poprzednich i przychodzi w nim to słowo głębokiej prawdy:

Na dno życia! na dnie waga,
 Na dnie tylko prawda naga!

I natchnienie rwie się z głębi,
Kiedy w sercu krew zakłębi:

A na drugiej karcie odezwał się zły duch i zanego-
wał to słowo:

A nie było ostrzedz komu;
„Ej paniczu! ej ostrożnie,
W głębię patrzeć — to bezbożnie!“

Poczem opisuje poeta pierwsze spotkanie się z tym aniołem, z którym związały go później węzły małżeńskie. Na sam koniec zaś poematu, kiedy przeminęły już narkotyczne prądy, idące ze wspomnień śpiewaka, zbudził i ocucił się na chwilę spętany zły duch i powiedział: na mnie teraz kolej!... ja dośpiewam, coś tak pięknie zaczął. I tak śpiewa:

To ostatnia chwila złota,
W owej nocy, w owym dworze...
A na resztę dni żywota,
Spuść zasłonę wielki Boże!

Dla czegoż ostatnia?... Wszakże po niej dopiero nastąpiło pierwsze dla narodu objawienie się Janusza przy brzęku jego harfy i przy dział grzmieniu?! A spuszcza-
ca się zasłona niech chyba zapada jedynie na literacki zawód późniejszego pana Wincentego Pola!

Bo w krzyżowe życia drogi,
Szedłem długo i ochotnie,
A dziś idę już samotnie,
Cichy w sercu i ubogi.
Żeby!...

Nie ma przed kim się pochwalić,
Co udało się ofiarą

I potężną serca wiara
Wyrwać z toni i ocalić. —

Nie ma komu się pożalić,
Że co drogie i co święte,
Tak na opak w świecie pchnięte!
Ale śluby wiecznie święte!!

Więc nie ma przed kim się pochwalić?... więc
nie ma komu się pożalić?... A naród z taką miłością
śledzący każdy ruch ust śpiewaka w nadziei, że wypły-
nie z nich słowo wielkie?...

Com zaprzysiągł owej nocy,
Przy twej łasce i w tej mocy,
Jam dotrzymał, Wielki Boże!
I uszczknąłem różeczkę z dębu,
Co stał jeden pośród zrębu,
Ale komuż ją dziś złożę?...

Nie dotrzymał śpiewak złożonej przysięgi, jeśli dziś
nie wie, komu złożyć różeczkę z dębu, bo tylko po
jej złożeniu mógłby powiedzieć: dotrzymałem!
A śpiewakowi nie należy troszczyć się o to, co się z ta-
ką różeczką stanie; dobrem ziarnem Bóg się opiekuje;
ON wie, dla czego nie jedno z takich ziarn zdeptanem
nawet zostanie i marnie ginie. Nie nam rozwikływać ta-
jemnice sądów JEGO, nie nam na nie sarkać.

Kto mnie śledził po tej wstędze?
Gdzież jest świadek mojej drogi?
Sławę cisnął świat pod nogi...
Ja mu rzucam moją nędzę!

Każde słowo w tych czterech wierszach jest złe,
gorzkie, niesprawiedliwe. Jeżeli kto, to pan Wincenty Pol

nie ma prawa uskarżać się na obojętność dla siebie. Śledził go cały naród na jego pięknej drodze i świadczył mu na niej, a nawet, kiedy pan Wincenty Pol zeszedł z błoni narodowej i puścił się na moczary, i wtenczas jeszcze znaczna część narodu poszła za nim, jak owce, nie pomne że w tych wyziewach śmierci znajdują. Sławę cisnął świat pod nogi, mówi pan Wincenty Pol tonem pogardy. Sława pana Wincentego Pola nie była samolubnem zajęciem się ciekawych, ona nazywała się u narodu cześcią i miłością... Czyż można gardzić cześcią i miłością?..

Powiedziałem już raz, że sława nie zadawalnia wielkiego ducha, ale go osmętnia. Bo wielki duch, kochający swój naród, pragnie i żąda przedewszystkiem spełnienia swego słowa w życiu i w czynach narodu — co jednak rzadko się dzieje, bo tylko ludziom misyjnym, oblanym ciągłą łaską i pomocą Bożą, staje się to błogosławieństwo, że za swego życia jeszcze cieszą się skutkiem danego słowa. Większa jednak część słów takich pada na rolę jałową, i chociaż jestem tego przekonania, że żadne słowo prawdy marnie zginąć nie może, to nie każde z nich jednak rozmnoży się kłosem na pożywienie ludzkie, nie jedno z nich pójdzie na chwilowy pożytek przelatującym ptakom — a w takim razie duch nie czuje zadowolenia, ale osmętnia się. Ja mu rzucam moją nędzę. — mówi dalej pan Wincenty Pol. O jakiej nędzy mówi on?... O ile wiemy, miłość narodu dla p. Wincentego Pola była szczodra, i nie znał on nigdy nędzy materialnej. Mowa więc tylko być może o jego

późniejszej nędzy duchowej. Cóż naród temu winien?... Każdy duch jedynie własną pracą i staraniem zdobywa sobie swoje bogactwo. Więc teraz rozumiemy, co pan Wincenty Pol chciał powiedzieć przez te dwa wiersze. On chciał powiedzieć: Nędzny, niski, upadły jestem w własnym moim duchu, a świat krzyczy, że wielki i potężny, to mię razi i boli; sława nie wypełnia mego ducha. Pomimo rzuconych nań kwiatów nie otacza on się wonią, bo jej nie zdobył z siebie samego; pomimo huczących nad nim oklasków — głuchy on jest, bo zaprzestał słuchać głosów Boga i narodu; pomimo sypiących się nań iskier nieszczerego, fajerwerkowego zapału, ślepy on jest, bo przestał patrzeć w słońce prawdy. I mówi jeszcze pan Wincenty Pol to, co mówił inny znakomity człowiek w mojej obecności do jednego z najgłębiej natchnionych kapłanów, a mówił temu lat kilka w Krakowie: „Modłę się z prostotą dziecka na książce, chodzę do kościołów, spowiadam się często — a ciężko i tęskno mojej duszy i żadna modlitwa nie daje mi ni błogości, ni uspokojenia. Po usłyszeniu tych słów ktoś z młodszych krzyknął z zapałem: „Ja nie modłę się z książki: modłę się z ducha; rzadko kiedy wstąpię do kościoła: kościołem mi świat cały; od dawna nie spowiadałem się przed księdzem: bo spowiadam się często przed moim ojcem w niebiesiech; — i chociaż obecnie los, burząc moje gniazdo, rozprószył moje pisklęta, oderwał mnie od ukochannej i tęskniącej — stoję nagi, ale ze skrzydłami; silny jestem, bo wierzę!...” Kapłan zadumał się w smutnem, głębokiem milczeniu, i nic nie odpowiedział.

A teraz gdybyśmy przypuścili, że pierwszym z mówiących był Wincenty Pol a drugim ja sam byłem — niepowiedziano by: Uczynił to dla lepszego rozwinięcia swojej myśli, i przez tę dziecięcą, serdeczną szczerłość, która jest często błędem w obec świata, a naturą każdego lirycznego poety, ale powiedziano by: Pisze pamflet, w którym rzuca się na prywatne życie pana Wincentego Pola, aby mógł siebie wynieść i pochwalić. Ludzi próżni i zakochani w sobie biorą objawy prostoty i serdeczności za próżność i za miłość własną; przebaczą jeszcze jako tako poecie, jeżeli swoje osobiste zwierzenie wyłoży rymem; dziwi ich i razi, jeżeli je spostrzegą w jego prozie. Mój Boże, jacyż oni biedni i mali!... A cóż ja winien, że słowo najgłębszej prawdy, najgoręciejszego natchnienia, jeżeli okryte królewską szatą rytmu i rymu nazwaliście szyderczo poezją, co znaczy w waszem pojęciu: rzeczą piękną, ale niepraktyczną; kwiatem, który się zerwie, powącha i odrzuca za chwilę; cackiem dla dzieci i dla kobiet, a dla was mniej ma znaczenia, niż fajka i czarna kawa. Więc prozą do was mówić trzeba, taką prozą, co jest jak bicz w ręku silnym. To zrozumiecie, bo boli.

Lecz gdzież to ja odbiegłem, ho, ho, ho Mosanie!

Nie o tem miałem mówić ci, moje kochanie!

. więc powiem o czleku.

To jest, wracam do pana Wincentego Pola.

Po tym odwiecie pana Wincentego Pola, który, mając ciśnioną sławę pod swoje nogi, odrzucił światu swoją nędzę, mówi pan Wincenty Pol dalej:

Bo z wszystkiego mię odarto,

Co od Boga było dane;

A więc kwita — bo zmazane
Krwawe życie — krwawą kartą!

Widoczna to aluzja do roku 1846. A zaraz potem następuje dziesięć wierszy tak pięknych, tak po anielsku bogatych swoją poetyczną szatą i kapłańską swoją treścią, że trudno pojąć, jak może duch Wincentego Pola przetrzącać się w jednej chwili z czarnej fali na białą, i znowu z białej na czarną. Biała fala tak dźwięczy:

O jest wielka natchnień wstęga,
Co sojusze ziemskie sprzęga,
I w miłości tu poczęta,
Na tej ziemi się nie kończy;
Lecz tysiące duchów łączy,
Jako perły w jednym sznurze,
I tysiące sere ozłaca;
Aż nareszcie w niebo wzięta,
Płynie tęczą tam ku górze,
I do źródła swego wraca. —

Czarna fala tak skrzypi:

Jam nie zerwał nici świętej
Z natchnień przedzy tam poczętej,
Lecz to pewna wielki Boże!
Kiedy w złości ją zerwano,
To garść pereł rozsypano;
I nikt związać jej nie może. —
I już iskra nie przeleci,
Po tej nici z Bożem drganiem,
I ni szczęściem, ni kochaniem
W sercach więcej nie zaświeci.
Bo już skrzydło archanioła,
Uleciało z tego koła...

Kiedym lat temu kilka był w Krakowie, mówił mi

raz pan Wincenty Pol: «Nastały czasy Antychrysta», a na drugi dzień rozfantazował się jakoś pogodniej, i znowu patrząc na Północ, widział zbawienie nasze i świata, w wstającej jej zorzy. Otóż pod wpływem myśli o tym Antychryście pisał on całe zakończenie swego poematu *Przeboleło*, i sądzę, że dostatecznym jest, bez komentarzowania okropnych tych wierszy, podkreślić z nich tylko niektóre, aby zwrócić głębszą na nie uwagę czytelnika:

Więc nie można już nic było:

Zdobyć sercem ani siłą?

Ni sumieniem ani ręką,

Ani pracą, ani męką?

Ni wybawić, ni ustalić,

Ni miłością, ni natchnieniem?

Ni odkupić, ni ocalić,

Tak pięknego ranku technieniem....?

A więc wszystko już daremne?...,

Ale cóż tu podkreślać, kiedy równie złe jest każde słowo z zacytowanych tych wierszy?

Więc poezją to nazwano?

mówi z ironią pan Wincenty Pol. Poczóż pisze?... Bo płacą.

Próżne żale i zaklęcia...

Bo kto z wiarą szedł na czele,

I do dania kto miał wiele,

Ten nie ma już do wzięcia.

Wiemy my i Bóg wie o tem, że Wincenty Pol wiele miał do dania. Z zagrzebanych tych talentów ewangelicznych zdaję już ja rachunek jego przed narodem. Oby Bóg policzył mu to za karę, i nie pociągał go już po śmierci pod swój sąd!

Ztąd nie pytam, gdzie ta droga,
 A ch i dokąd się przewali,
 Byle tylko na niej dalej,
 Nas trzymała ręka Boga.

Jak tu pogodzić tak jasne obrazowanie nadeszłego już
 Antychrysta, pod którego panowaniem

...nie można już nic było,
 Zdobyć sercem ani siłą?
 Ni sumieniem, ani ręką,
 Ani pracą, ani męką?
 Ni wybawić, ni ustalić
 Ni miłością, ni natchnieniem?
 Ni odkupić, ni ocalić...

z obojętnością dla tej antychrystowej drogi, którą idziemy, mniejsza, gdzie ona wiedzie i dokąd się przewali, z tym jeszcze dodatkiem dla lepszej logiki, aby nas na tej drodze trzymała ręka Boga?... W wierszu tym mówi pan Wincenty Pol: nas. Jest więc rzeczą pewną, że mówi o nas jak o narodzie, bo jest rzeczą niepodobną i nigdy dotąd nie nadybaną, aby jakikolwiek autor, pisząc wierszem, mówiąc o sobie, używał po monarchicznemu mnogiej liczby, co używanem jest jedynie, chociaż często jak najniestosowniej w krytyce, jeśli się mówi w pojęciu i w imieniu sądu ogólnego.

Następują ostatnie sześć wierszy tego poematu:

Bo czem tylko przeszłość świeci,
 I co blask po ziemi nieci,
 To poczęło się w miłości;
 Na dnie duszy i sumienia,
 Stało siłą poświęcenia,
 A nam przeszło w krew' i w kości.

Znowu pan Wincenty Pol mówi: nam; więc sądzimy, że mówi o nas, a w takim razie jeżeli wszystkie te piękne rzeczy przeszły nam w krew' i w kości, pocóż taka poprzednia desperacja?...

Dziwny nosi tytuł drugi oddział, zawarty w Drobnych poezjach. U autora są to: Cierpienia bez ceny i Treny nie-treny. A tymczasem w tych kartach najczystszych i najpiękniejszych z całej książki, w tych kartach Januszowych nie ma ani trenów, ani cierpień, tem mniej bez ceny; cennem jest przeciwnie każde ich słowo. Pan Wincenty Pol pokazuje się, sam nie rozumie ani tego, co dawniej jako Janusz pisał, ani tego, co obecnie jako pan Wincenty Pol pisze. Mgła, otaczająca jego ducha, przeszła mu widocznie do głowy. Nazwał on Przebolało rzecz, kończącą się najstraszniejszym zwątpieniem, i nie piękną już, ale brzydką rozpaczą; a samem otytułowaniem drugiego oddziału Drobnych poezyj lekceważy prawdziwe, dawniejsze swoje natchnienie. Nie podpada żadnej wątpliwości, że oddział drugi pisany był za czasów przedapostazyjnych pana Wincentego Pola. Wiersz początkowy: *Jako bywało, sam słyszałem z ust autora lat temu kilkanaście. W wierszu tym, pełnym prostoty i miłości Januszowej, prześliczne znajdują się myśli, n. p.:*

A jeżeli wszystko, wszystko zawiedzie,
Nie my ostatni, nie my na przedzie...

.....

Boć skarby życia ten odniósł w zysku,
Kto i po Bogu i w dobrej wierze,

Największe prawdy najprościej bierze,

I na króciutkiem ma toporzysku.

I któżby się spodziewał, że kilkanaście lat później to, co nazywa prawdą, nie będzie trzymać już pan Wincenty Pol na krótkim, polskim toporzysku, ale na długiej dzidzie kozackiej!

Następują różne cudne przegrywki do wszystkich prawie celniejszych rzek Polski, do jej dwóch mórz, do jej kołyski jeziornego Gopła, do jej Beskidu i Tatrów, do jej Łanów, Mogił i ich Żalów, czyli popielnic, do jej Puszczy i Stepów, do jej Domywych Bogów, do jej Świętych ogniów (Sobótki), do jej starych, wiejskich kościołów (Cicho a cicho); nakoniec do jej Skowronków, co unoszą się z modlitwą nad łąkami, do jej Żórawi, co stoją na straży puszczoł, do jej Bocianów, co plotą swe gniazda na dębach przy starych kościołach. Sądzić można z wielką pewnością, iż pierwsza myśl o Geografii Polski urodziła się w płomiennem sercu Janusza. Janusz pojął ją jako poemat o większym rozmiarze, niż późniejsza jego Pieśń o ziemi naszej, i zostawił z niej tylko szkice i fragmenta, które pan Wincenty Pol umieścił później w Drobnym swoich poezjach i dał im tytuł: Cierpienia bez ceny i Treny nie-treny, a pierwotną myśl o takiej jeografii przerobił na późniejszą swoją geografję suchą i profesorską.

Kończy ten oddział wiersz: Makowe ziarno. Wiersz to ogromnej dla mnie wagi. W wierszu tym, nie dawno pisanym, duch Wincentego Pola, ozłocony jakąś

anielską chwilą, którą on wywołać w sobie dotąd zawsze ma władzę, spowiada się pod czarem tego chwilowego ukojenia z całej drogi swojego żywota. Szczerym i pokornym jest on w tej spowiedzi, bo nie myślał o tem, że tę spowiedź odda kiedyś światu. Jest to rozmowa pięknego, skruszonego sumienia wielkiego człowieka z Bogiem. Uszczęśliwiony byłem, znalazłszy ten wiersz w dziełach Wincentego Pola, a w mojem wysokiem pojęciu o piękności i potędze ducha jego, miałem prawie przecucie, że go znajdę; że znajdę w samym autorze dźwięk, odpowiadający temu o nim pojęciu, iż po przebytej boleści powie kochany mój mistrz: »Sądził mnie ostro, bezlitośnie, ale on jeden mnie zrozumiał!«. Wiersz ten więc: »Makowe ziarnko« — zostawiam do rozbioru na zakończenie mego całego artykułu. Służyć on mi będzie za kamień kluczowy, zamykający i wiążący sklepienie tego mego budynku. Kościelnym można nazwać ten budynek, którym otoczyłem wielkiego ducha Wincentego Pola. Ołtarze w nim rozbite, światła pogaszone, organy połamane; w ruinach tych zamknę tego ducha i zostawię na jakiś czas samotnego i bolejącego. Wy, ciekawi i złośliwi, dla których tego artykułu nie pisałem, nie tłóczycie mi się na ten kościół, zostawcie mego mistrza w spokoju, sam będę mu stać na straży z moją dzidą w ręku, o której wiecie, że trafia i rani. Po jakimś czasie otworzy się z wewnątrz brama kościoła, stanie na jej progu Janusz błądy zmęczeniem, natchnieniem promienny, odbyłą pokutą dumny, odrodzoną potęgą śmiały, i zawoła: »Uczyńmę porządek w kościele sumienia me-

go, naprawiłem sam moje ołtarze, porozpalałem nad nimi światła, postawiłem nowe organy, kapłanem jestem jako dawniej — wejdźcie i módlcie się, ja wam nową mszę odprawię. A mówiąc to, ujrzy mnie, mnie płaczącego ze szczęścia strażnika, i może uściska mnie i powie: „Przebaczam ci i dziękuję nawet — boś kochał! pójdź za mną i służ mi do mszy!... Pójdę!..

Czyż myślicie, że mogę po skreśleniu takiego obrazu wrócić nazad ze spokojem do obszerniejszego rozbioru dalszych części *Drobnych poezyj*? Dorywczo jedynie dotknę teraz wielu w nich głosów, którym jednak całkiem przepuścić nie mogę i nie powinienem. W dalszych częściach *Drobnych poezyj* między rzeczami dziwnej piękności i czystości płaczą się głosy szatańskie, pełne niewiary i goryczy, głosy złe, obleczone nieudolną formą, rażące często swoją trywialnością, głosy takie, jak: *Zimą w puszczy*, gdzie autor na wszystko sarka i narzeka, a cynizmem materialisty przeplata swoje skargi żadaniami: „Każ dać wódki! — „Każ dać kawy! — „Każ dać lulkę! — i zapytaniami: „A czy sucho tam się wstało? — „A kawuńcia, czy gotowa? — a kończy cały ten poemacik wierszami przekłętymi, w których mówiąc o tym, co „kręci kołem świata“, widocznie nie mówi o Bogu, ale o tym, co włada zimą na puszczy:

Nie przebije muru czołem,
 Nie dopędzi szczęścia koniem,
 Nie człek kręci świata kołem,
 Koło świata idzie po nim!

A jest taki, co niem kręci,
 I tych dziejów nie namotał,
 Więc to duszko miej w pamięci,
 A nie będziesz się kłopotał.

Głosy takie, jak *Odzew*, gdzie mówiąc do Syrokoli przyznaje się autor, że ojcowie narodu, zbudzeni w swych grobach, kiedy spojrzą mu w oczy:

To aż drzy serce, aż się w duszy mroczy,
 I człek sam siebie oskarża o zdradę,
 I gdzieś pod ziemią skryłby się przed wzrokiem,
 I przed surowym takich dusz wyrokiem.

A jednak nie mu to wspomnienie nie pomaga, bo w dalszym wierszu obrzuca znowu wszystko jadem, bez najmniejszego tonu miłości, i pomimo poważnego obrazu o ojcach, przeplata ten *Odzew* wierszami!

Więc plackiem do nóg, pierogiem do gęby!

.....
 A mój ty mędrze! zjadłbyś djabłów trzysta!

Głosy takie, jak: *Cóż tam w starym dworze?* i *Do pana Szymona*, gdzie z nienawiścią mówi o ludzie, z goryczą o darowanej pańszczyźnie;

Głosy takie, jak: *Przednowek skończony*, gdzie po ślicznym wstępie bije na gramatykarzy i ekonomistów, a głównie na drugich, bo dla ludu:

I uprawnienie równe nie pomoże,
 I jak to mówią, „ni z tyłu ni z przodu!“
 A więc mrą ludzie lub puchną od głodu;

Głosy takie, jak: *Kometa*, gdzie prosi Boga o wielkiego człowieka, i mówi:

Więc daj go nawet w nieprzyjaciół domu!
 Wielkie nie straszne, straszno ginąć marnie,

I śmierć głodowa, straszniejsza od gromu,
 Wielkie nie straszne — bo wszechmocą garnie;
 A ten wielki człowiek zjawił się już, i nazywa się Ale-
 xander II;

Nakoniec głosy takie, jak Czarna krówka, do
 której treść wydobyl autor chyba z gmatwaniny średnio-
 wiecznej scholastyki, potępiając miłosiernego kwestarza,
 co najprzód z zakwestowanej krówki udzielił mleka pod
 głodem i nędzą upadającej wdowie, bo:

... taka nędza niebogę obsiadła,
 Że i dla dziecka w piersiach mleka nie ma!

A w końcu każe kwestarzowi z tego i późniejszego więk-
 szego grzechu spowiadać się przed prowincjałem, a to w
 sposób następujący:

Cudowna jakaś dźwignęła ją siła,
 Jakby sam Pan Bóg pokarmił ją z nieba.

I choć niczego nie tknęła ustyma,
 Już nową siłą dziecię w ręku trzyma;
 I tu wspomniałem na dzieciństwo moje:
 Jako tu troje, i nas było troje!

A biedna macierz i wdowa żałobna,
 Była jak na to mej matce podobna.
 Kiedy z popasu przyszło ruszyć wreszcie,
 Do nóg się krowy uczepiła dziatwa,
 I zapłakało się biednej niewieście,
 I ruszyć z miejsca nie była rzecz łatwa.

Ha! trudno człeku przestać być człowiekiem!
 Może ksiądz gwardjan to przebaczyć raczy,

Wszak i mnie matka wykarmiła mlekiem?
 Jeżeli nie gwardjan, to Pan Bóg przebaczy!

I poszła krowa na podwórko wdowy,
 I do klasztoru wróciłem bez krowy!“

Po takiej spowiedzi, przy której, słuchający w niebiesiech Chrystus z radości musiał zapłakać, autor gorszy się nią — i kto się gorszy?!... Gorszy się pan Wincenty Pol, on, który obecnie nie wart temu kwestarzowi rzemyka u trzewików rozwiązać; i kładzie natychmiast z milczącym uznaniem w usta słuchającego tej spowiedzi prowincjała, następujące słowa:

Na to prowincjał rzekł jemu po chwili:

— Zgrzeszyłeś bardzo mój bracie Wigili!

Zgrzeszyłeś bracie, zgrzeszyłeś, i bardzo,

Bo ci najgorsi, co na dobre hardzą!

O Chrystusie! O bolesny i krzyżowany dotąd! Nie odkupiłeś nas jeszcze krwią swoją, za mało jej wylałeś, bo dotąd Cię krzyżują i urągają Tobie ci, których powołałeś i wybrałeś: Właśni Twoi kapłani i wieszczę!

Kontent jestem, że mogę chcć na chwilę wyjść z tych duszących wyziewów w czyste i polskie powietrze. Przechodzę do Wita Stwosza.

XXIX.

Ludzie próżni, pełni miłości własnej, nie wiedzą i nie pojmują, ile może być rozkoszy w każdym przyznaniu się do błędu. Przyznanie się takie u tych, którzy nie pozbyli się jeszcze całkiem miłości własnej, zowie się

pokorą, u innych; kochających już jedynie samą prawdę jest ono tylko szczerością. W pojęciu nawet i w uczuciu pokory można obudzić w sobie inne uczucie, na pozór wręcz przeciwne pierwszemu, uczucie dumy — ale jest ona już anielską. Tysiące duchowych a nieznanych, nie rozpowszechnionych dotąd rozkoszy, oczekuje jak rajski ogród na przybycie człowieka. Bramy do niego otwarte i nie stoi już przy nich anioł z płomienistym mieczem — wejść tylko każdemu i rozkoszować... A tymczasem ludzie włóczą się po za jego parkanami, smutni, piani, grzeszni.

Pepełniłem winę i ze szczęściem przyznaję się do niej. Z przekąsem raz i drugi wspominałem o Wicie Stwoszu, ostatniej do druku podanej pracy Wincentego Pola.

Przy pierwszym i drugim jej odczytaniu, co nastąpiło natychmiast po rozbiorze Drobnych poezji, nie dziwna że nie mogłem od razu pojąć głębokości tego utworu. Jako czytelnik nie mogłem przyjść od razu do potrzebnej elastyczności, aby skakać bez poprzedniego przygotowania za elastycznym duchem Wincentego Pola. Duch ten, jak piłka uderzona silnie o ziemię, pada często w zwątpienie i w fałsz, i wnet odlatuje w słoneczny błękit wiary i prawdy. Ztąd dowód, że silną i twardą musi być ta ziemia, ta ziemia jego ojczysta, na której stoi duch Wincentego Pola. To jego odskakiwanie jest jednak wyforsowaniem, gorączkowym, rzekłbym konwulsyjnym — i ztąd w utworach jego, pomimo głębokiej i silnej treści, znać często nieudolność artysty. Osobliwie w Wicie Stwo-

szu razi on każdego, co umiał wglebić się i ocenić należycie wewnętrzną wartość tego dzieła.

W pierwotnym wstępie do rozbioru Wita Stwosza, zawróconym przezemnie już z drukarni, sądziłem fałszywie iż Wit Stwosz jest czysto artystycznej natury i jako Polak gniewałem się za to. Popierało mię w tem zdaniu chłodne przyjęcie tego poematu przez naród, pomimo znakomitej jego wewnętrznej wartości. Dziś poznałem, iż Wit Stwosz jest poematem polskim, a tylko błędy jego formy, brak artyzmu w jego budowie, niejasność jego stylu, były powodem, iż naród przyjął go obojętnie, bo go nie rozumiał.

Polską nazywam każdą, choćby najgłębszą prawdę, wybiegającą nawet ponad dzieje narodowe i stosunki nasze obecne. Duchowi polskiemu danem jest odrodzić zwątpiały świat, postawić go na trzecim stopniu jego rozwoju, zbliżyć mu trzecią epokę, ducha... Paraklet w Polsce się narodzi!...

Słowo to odradzające ludzkość wyjdzie niezawodnie z naszej ziemi. Towiański powiedział raz: „Bóg mówił do świata najprzód po sanskrycku, potem po hebrajsku, później po łacinie, najpóźniej po francusku a teraz mówi po polsku.” I tak rozumieli tę missję Polski: Towiański, Wroński, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Cieszkowski. W prawdach przez nich głoszonych, był pokarm nie tylko dla nas, ale dla świata całego. Takie prawdy mieści w sobie i Wit Stwosz, i dla tego nazwałem ten poemat polskim, pomimo iż prawdy jego są nieraz tak tajemnicze, tak sięgające w najdelikatniejsze skrupulatno-

ści sumienia tych pomazańców Bożych, których my zwykle nazywamy wielkimi artystami, że nie dadzą się one od razu pojąć, a tem bardziej ściągnąć do naszego ducha narodowego. A jak powiedziałem, niejasność stylu autora przyczynia się do tego wielce; Towiański i Wroński grzeszyli również taką niejasnością.

W onym zawróconym przezemnie wstępie powiedziałem rzecz, której już obecnie żadnem jej słowem nie mogę stosować do Wita Stwosza, a jednak ją w tem miejscu powtórzyć czuję potrzebę:

Jeżeli niedawno sarknąłem na sprofanowanie szyderczem mianem poezja, przez tych, co stracili pojęcie o wartości pieśni, dającej nie raz żywot — to nie chciałem przez to wyłącznie potępić zobojętnienia narodu dla takiej pieśni. Większa wina ciąży na tych, co frymarcząc słowem dali narodowi pochop do tego zobojętnienia. Sami oni, czując nizkość i słabość swoich niedoperzonych skrzydeł, nazywali swoje prace, oblekając się ni to skromnością: gawędami, powieściami rymowanemi, tradycjami szlacheckimi; toż i naród, on, co nazywał kapłanów swego słowa wieszczami i prorokami, nazwał później ludzi, piszących wierszem, już tylko poetami, a w końcu nazwie ich rymarzami, czem po większej części są już teraz istotnie. Duch jednak narodu żąda i zawsze łaknie za takim słowem, coby go mogło poruszyć, podnieść, umocnić i porwać w błękity nadziemskie. A w braku takiego słowa woli on już takie niezdarności jak: Zgoda senatorska i Sejmik, mówiące mu choćby w spo-

sób najfałszywszy o dziejach jego, niż utwory wyłącznie artystycznej natury, obchodzące jedynie artystów, a wcale go nie zajmujące.

Tu nie będzie od rzeczy, zrobić jeszcze następującą uwagę: Naród nasz rozbity, poćwiertowany, w swem życiu nie mający żadnej spójni, skupiał już tylko promienie swoich spojrzeń w tych gwiazdach, co mu nad ziemią ojczyzną z wysoka świeciły; temi gwiazdami byli wieszcz jego. W miłośnych tych spojrzaniach łączył się on, bratał, przez nie porozumiewał się często, a do takich skupień nie potrzebował on ani urzędowych paszportów ani przeszkadzały mu granice i roгатki. I uważał on jeszcze swoich wieszczów za swoich królów i hetmanów, więc miał prawo żądać, aby husarskie pióra szumiały im u ramię i na ich rękę świeciła tarcza o narodowym herbie, i brzęczał w dłoni harfianym dźwiękiem miecz nagi, nie-schowany w pochwie mymagań cenzuralnych, a skory jak płomień, podniesiony jak sztandar, wymierzony w pierś nieprzyjaciół jak piorun; wiecznie wojujący ze złem świata jak duch Polski. Otóż, jeżeli nie wolno nigdzie *poezją grzeszyć*, tem mniej poetom u nas. Głupi frazes, urodzony na zepsutym dworze Augusta, wymawiany często ustami jego pasożytów, Owidiusza i Horacego frazes: *licentia poetica*, Bóg wie, dla czego przeszedł nie-szczęśliwie aż do nas, i zawsze wpływający szkodliwie, najszkodliwiej działał w ostatnich naszych czasach na poetów i na ich słuchaczy. Mniejsza, jeżeli *poezją grzeszą* śpiewacy u narodów mających swój byt polityczny, u nas co innego. Poeta wpada w zwątpienie, łamie się z swo-

im duchem, więc w swoich pieśniach cierpi, wąpi, try-
ska nieraz jadem i tłumaczy się, „To stan mojej duszy,
jak czuję, tak śpiewam, a szczerzy jestem, bom poeta...
Nie wolno, u nas nie wolno!... Inny upodobał sobie ja-
kąś postać, jakąś myśl, nie mającą żadnego związku z
narodową myślą naszą, i tłumaczy się: „Świat sztuki nie
zna granic, tam lecę, gdzie mnie skrzydła uniosą —
wszystko moje, czego dosięgnę!... Nie wolno, u nas
nie wolno!...

Powtarzam raz jeszcze, iż te słowa nie mogą mieć za-
dnego zastosowania do Wita Stwosza.

XXX.

A że wielką daje mi przyjemność i jest dla mnie jak-
by swobodniejszym odetchnieniem każda chwila, w któ-
rej mogę uznać geniusz i duchową piękność Wincente-
go Poja; więc nie weźmie mi za złe czytelnik, jeżeli mów-
iąc o Wicie Stwoszu, zatrzymam się przy nim czas
dłuższy, aby lżej mi się w piersiach zrobiło.

Oto mniej więcej treść tego poematu:

Poświęcenie kończy się ogromną prawdą, przez
mało ludzi dotąd pojętą, a w uszczęśliwieniu serca to
piszę, przez drogiego mi mistrza może po raz pierwszy
tak jasno wymówioną:

Geniuszby wzleciał Archaniola skrzydłem
Prosto ku niebu, z kądem jasność błyska,
Gdyby mu pycha nie była wędzidłem,
Co go ciężarem do ziemi przyeiska.

Geniusz, co bywa w pokorze natchnięty,
 To już nie geniusz — to na ziemi święty!
 Bo czemże świętość jak nie czystem trwaniem,
 Wiecznem natchnieniem — i wiecznem Kochaniem?

Równie śliczna następuje inwokacja do jednej z mądrych panien ewangelicznych: „Gdzie mię to panno wiesz? Stałem na obcej ziemi i co mi na niej robić?... Wszak ja się cudzym nie pokłonię Bogom, kiedy w mej Polsce należę do wybranych i tak długi czas chodziłem w jej zakonie.” A ona rzekła: „Tam w obcej ziemi leżą czyste kości, należą one do twego narodu; obcy za ich życia poniewierał nimi, a teraz przyznaje się do nich i obleka się ich chwałą. Ciebieniem wybrała, abyś ich odszukał i pieśnią sprawił im pogrzeb na ojczystej ziemi; wykup te zwłoki koronnego syna, i postaw je między królami na Wawelu, aby je naród uczył, a czyn ten będzie ci policzon....” I poszedł śpiewak na ziemię przekleństw naszych.

W dalekiem mieście za średniowiecznych czasów usiadł na dachowym terasie swego domu, co jak klaszorek cichy i zamknięty, starzec w polskim żupanie, o białych jak mleko włosach, cechujących wiek bardzo późny, o brwiach krzaczystych, jakby burzą powikłanych, co są znamię energii ducha, i o twarzy na poły rycerskiej, na poły kapłańskiej, bo piętnowana siłą, powagą, a przytem dziwną jakąś słodyczą i żałością... Ach, piętnowana jeszcze inaczej!... Przy nim usiadło młodziutkie dziewczątko z krzyżykiem i szkaplerzykiem u szyi, i w rękę

robótkę trzyma, ale jej oczy toną w twarzy starca; to jego wnuka.

Przed nimi czerwienieje cegłą miasto bujne w ozdoby gotyckie, a nad tem strojnem gniazdeczkiem mkną gołębi stada; ale nad blizką górą, na której wznosi się ryccerski zamek, ważą się jastrzębie, bo w nim mieszka ród podobny do nich, a na dole, to gniazdo gołębiego ludu.

Było-to w maju, lekki wiatr zawiął od krzewin ogrodów, i mówi starzec: „Podaj mi dziecię, listek z winogradu, po szmerze wiatru słyszę że zielono.” O jakież to słowa boleśne! Nieszczęśliwy, on już tylko w uchu nosi oko swoje... on ślepy! I pyta dalej: „A z kąd wiatr wieje?” I dziewczę mówi: „Wieje od wschodu.” „Ah!” szepnął starzec: „od mej ojczyzny, od mego narodu...” i głowę w tył rzucił i zgasłemi oczyma patrzył w stronę ukochaną. I w długiej spoczął zadumie.

Lecz wkrótce ożywił się myślą nawiązaną u grodu polskiej kołyski jego, i po tej nici nabiegły doń wspomnienia, a te wspomnienia poruszyły usta jego, i usta zaczęły spowiadać się z całego żywota bardziej przed Bogiem i przed duchem własnym, niżli przed słuchającą wnuką:

„Podobien do orła Janowego, co od stóp apostoła piszącego święte księgi, zapatrzył się ciekawie w tę twarz natehnioną, jakby z niej coś wyczytać pragnął — takim orłem ja byłem, gdym ocknął się wśród wielkiego narodu, i z pod jego świętej stopy przy łasce bożej wleciałem w niebo. Boć urodziłem się w Polsce i w tym Krakowie, co swoim kształtem także do orła podobien. Pię-

kna i szczęśliwa była moja młodość, kochano mię, bom był miłości pełen. I miałem raz sen cudny. Zjawiała mi się niewiasta dziwnie anielska, niosąca w ręku lampę gorejącą:

„Ktoś ty jest Pani?“ — pytałem nieśmiele.

A ona na to: „Czy mię kochasz Wicie?“

I rzekłem płacząc: „Kocham bardzo wiele!“

— „I będziesz zawsze?“

— „Będę całe życie!“

— „To patrz w to światło!“

I kolorami tęczy zagrało światło w jej ręku i ułożyły się z nich obręcze o siedmiu barwach, a po nich przeleciały chóry aniołów, a w środku stanęła najczystsza Panna — i osłupiałem. A owa dziewica z Bożem natchnieniem spojrzała mi w oczy i rzekła: „Od tej lampy zapalę duszę twoją, aby jak ona świeciła na chwałę i służyła chwale Boga.“ A potem z owej lampy zlała olej wonny na moją głowę i język ognisty stanął mi nad głową. A potem wcisnęła mi do ręki krzyż, a on urósł tak ogromnie, że całą duszę przyległ swym ciężarem. I rzekłem zaniepokojony:

„Płomień twój pali, a krzyż mię twój gniecie!“

A ona na to rzekła w smutku do mnie:

„Krzyż ci puścizną będzie na tym świecie,

I tylko wówczas zdołasz go podźwignąć,

Jeśli w miłości nie będziesz tu stygnąć,

I za tym jasnym i czystym płomieniem

Przejdiesz po ziemi duchem i sumieniem!“

To rzekłszy znikła — a jam mówił sobie:

„Co ten sen znaczy? — czy krzyż wróży zgubę?“

Czy to Pan może stawia mię na próbę?
Gdy mi krzyż dała — to i krzyż odrobuję!“

I wzięłam dłuto, i rzekłem — co żyje
We mnie po Bogu w miłości i cześci,
Niechaj to chwali te pańskie boleści!
A niech o Bożą mękę się rozbije,
Co nie jest człeku do nieba przewodem,
Co nie jest z ducha, ale ze krwi rodem!

I był to prawie post czterdziestodniowy,
Kiedym się przybrał do pracy surowej;
I już nie powiem, jakom bardzo bolał,
I ilem razy pracę łzami polał,
Gdy przyszło dłutem wznowić Pańską mękę;
I przebić stopy, i przebić mu rękę,
I wcisnąć z ciernia koronę na głowę;
Tom utrapienia cierpiał Judaszowe!
Ale gdy przyszło Panu bok otworzyć,
Na to już w końcu nie stało odwagi,
I grzeszne dłuto musiałem odłożyć:
Bo Pan przedemną stanął w prawdzie nagiej,
A bez obrony jako na Golgocie.

Więc jakaś dziwna trwoga serce zjęła,
Jakby mnie szatan opętał w robocie,
I uciekałem od mojego dzieła,
A spasowany w tym ciężkim frasunku,
U sakramentów szukałem ratunku.

W kaplicy naszej zakonnik zasiadał,
Co jeszcze ojca mojego spowiadał;
I gdym się w żalu do stóp jego rzucił,
Bardzo się z razu nademną zasmucił,

Bo patrząc na mnie i moje zmieszanie,
 Kiedym wymówić słowa nie był w stanie,
 O moją duszę począł się już trwożyć,
 Więc kołł serce słowami pociechy:
 „Co ci to, Wicie? jakie twoje grzechy?“
 A ja mu na to: „Wielką cierpię mękę!
 Bom do boleści krzyża ściągnął rękę,
 I mam bok Panu na nowo otworzyć,
 A tu do pracy nie staje odwagi,
 Bo Pan przedemną stanął w prawdzie nagiej!
 I duszę szarpiał zgrzyzoty Judasza,
 I pada na mnie ta krew Messyasza!“

Na to rzekł kapłan: „A zaprzyj się siebie,
 Krew przenaświętsza odkupiła czleka,
 Syn w Trójcy świętej króluję na niebie,
 A krzyż podany od wieka do wieka...
 Dobryś jest chłopcze, że miłujesz Pana!
 Otóż, i za cię była krew przelana!
 Bóg wielki ciężar z twojej duszy zbiera,
 Bo chwały Pańskiej twą pracą przymnożysz;
 Kto Pana bluźni, ten mu bok otwiera,
 Ty za pokutę Pann bok otworzysz!“

I było prawie w najświętszą rocznicę,
 Kiedym do domu powrócił z kaplice,
 Bo w Wielki Piątek — więc z wielką pokutą!
 Lecz czystem sercem ująłem znów dłuto,
 I otworzyłem ranę jak kazano...

Krzyża tego nie oddałem nikomu; był on moim pukle-
 rzem za życia; o, niech spocznie i w grobie na mej
 martwej piersi!

Wkrótce też przyjęto mnie do cechu. Sława moja roz-

niosła się po mieście i potoczyła się aż przed progi królewskie. Stała ona w nich jako postać nowa i niezwykła, co nie miała wprawdzie szlacheckiej szabli u boku, ale natchnienie, pełne potęgi i łaskę Ducha świętego na twarzy. Więc ten naród mój wielki, co sam żył i czynił natchnieniem i łaską Ducha, poczył mnie mieszczanina — i biskupy, i senatorowie zaczęli nawidzać progi mego domu. Więc chciałem aby ten dom, uświetniony cześcią narodu, przypominał mi ciągle, że wyłącznie już tylko do niego należę, a mając obszerną świetlicę u szczytu murów mego domu, patrzącą na całe miasto, umyśliłem zrobić z niej przybytek chwały Polski. Więc uczyniłem rzeczy, przedstawiające wszystkie jej wielkości: I uczyniłem tron dla króla, i stolec dla biskupa, i krzesło dla hetmana, i stałę kanoniczną, i miejską ławę dla burmistrza. A wszystko to przyozdobiłem całe pięknie, bo umiałem pisać tęczą i złotem, i w każdą rzecz włożyłem myśli moje, tak, że najmniejsze cięcie dłuta miało swe znaczenie — i stała się ta świetlica jakby księgą myśli, mojej i narodu.

Ale miłość moja sięgała jeszcze głębiej. Nie było wprawdzie w onej świetlicy ławy dla ludu, dla tej białej czeładzi Bożej, bo i w radzie sejmowej jej nie było — a jednak czułem, że w nim tkwi wielkość, równa biskupiej i senatorskiej, bo:

Czasem się ozwał także między tłumem
 Głos bożej prawdy tak wielkim rozumem,
 Jakbyś go wydarł z bardzo starej karty,
 Więc i na niego miałem słuch otwarty....

I nie koniec na tem; miłość moja płomienna ożywiła wszystko, czego się dotknęła, więc nawet i drzewa, te drzewa, w które żłobiłem myśli moje. Bo ile razy spojrzę na lipę albo na dąb stary, to mi się zdaje, że one szmerem swych liści modlą się Bogu i głoszą chwałę JEGO.

. . . — drzewa bardzo są pobożne,
I chwałą Pańską tak arcy-wielmożne,
Że nieraz — kiedyś suchy kłoc obrabiał,
Tom i osmutniał i nad nim oślabiał:
Czemu to ścięte? czemu to nie żywe,
Co tam pod liściem takie miłościwe!
I ledwie mogłem sam siebie rozgrzeszyć,
I ledwo mogłem w tę myśl się pocieszyć,
Że to ma świadczyć, więc i nam i komu,
Z Bożego domu do Bożego domu!
Że z jednej karty pisane na drugą,
Że i to służy — a i ja też sługą....

W onym to czasie miałem przyjaciela. Był on lutnistą na dworze u króla; niebieski płaszcz wił się około jego postaci a on sam czystym głosem, czyste pieśni śpiewał.

Berdysz mu dziano! — żył też po zakonie:
Harfę Dawida wygrzewał na łonie,
A był tak prosty i taki uroczy,
Że jak mąż Boży miewał wzrok proroczy.
Nie wiele mawiał — lubiał siadać nisko —
To też mu dłutem obciążem siedzisko,
Aby wypocząć miał kędy poczeiwie,
Gdy raczył dom mój nawiedzić życzliwie;
I odrobiłem na nizkiem siedzeniu
Króla Dawida z harfą a w natchnieniu.

A gdy siadł sobie i łaskawie bawił,
Tom złoty puhar u stóp jego stawił.

A miałem puhar z królewskiego daru,
Tak duży prawie, jak gniazdo gołębie;
Berdysz myśl dobrą brał z tego puharu,
I lubiał patrzeć w tę złocistą głębię.
A kiedy oko w puhar jego wpadło,
To się weń wlepił, jak w czarów zwierciadło,
I naprzód z cicha na lutni przegrywał,
A potem nucił — aż w końcu zaśpiewał!
A pieśni jego były jak zdroj czyste,
A jak żar ziemi świętej tak ogniste:
Bo w ziemi świętej badał mądrość do dna,
I tam z puharu czytał tajemnice;
A chociaż była myśl jego swobodna,
Nigdy już uśmiech nie wybił mu lice, —
Ztąd też źrenicą był w królewskim oku,
I kiedy Pan się myślami obciążył,
Z pieśnią przysiadł i do jego boku
I ponad głowę, niby orzeł krążył,
Podniosłym strojem w takiej wysokości,
Że się rozbily o nią te żalości!

•Lecz kiedy królewski zamek huczy ucztami, to Berdysz w nim ostać się nie może, i razi go wesołość taka, bo chociaż o tem nie mówił, zdaje się, że w onym proroczym puharze widział rzeczy straszne dla dalekiej przyszłości swej ojczyzny. I natenczas wbiegało do mnie pacholę z jego lutnią, młode, rumiane jak zorza, a za niem wchodził Berdysz, moje słońce.

Czasami zagrał, czasami zaśpiewał, a czasem kazał robić mi przy sobie; i rosło mi serce w piersi i potrojało

się ono; i pieśń Berdysza przechodziła w moje dłuto; i dziękowałem Bogu, ile razy mnie odwiedził ten gość, dający natchnienie.

Natchnienie Boże łańcuchem ciągnie się przez ziemię, a ile narodów, tyle łańcuchów. Pierwsze ogniwo trzyma sam Bóg w niebie, a białem jest ono jak w ognisku. A o to pierwsze ogniwo zaczepiają się inne: więc najprzód Cheruby, a potem duchy opiekujące się każdym narodem, a ogniwa te czerwienieją, bo płoną jeszcze. A już na samej ziemi wiążą się swemi ogniwami, co ciemniejsze już, chociaż gorące: — wieszczę; a jeden od drugiego bierze moc i ciepło. Biada narodowi, jeśli się ten łańcuch przerwie, jeśli nie upnie się on w jakimś żyjącem sercu — natenczas naród wąpi i rozpacza. I mijają lata smutku i inne lata pokuty, a według wagi pokuty łańcuch spuszcza się, albo ucieka w niebo — aż zjawi się znowu jeden z silniejszych a pokornych, lotnych a samotnych, i chwyci się ostatniego ogniwa i zaczepi do niego swoje własne — i napręży się łańcuch, trzymany w dzielnem ręku i łaska Boga spadnie po nim na naród.

Wianem natchnienia obdarzył Berdysza Grzegorz z Sannoka. Mąż to był wielki i czysty, a sława jego głośna i w postronnych krajach.

Z jego ramienia był też dany Panu,
 Berdysz lutnista na pociechy duszne,
 Nikt nie znał rodu, nie znał jego stanu,
 Lecz każde serce było mu posłuszne.

Raz gdym z poddasza patrzył na zaranie, we drzwi

komnaty wchodzi z lutnistą... kto?... Długosz!... On święty kapłan i spisywacz dziejów narodu, on, któremu pobożny król oddał synów pod nauczycielstwo — toż wyuczył ich tak, że czterech w świecie na tronach posadził, a już jednemu dał koronę niebieską. Więc kiedy Długosz na moim progu się zjawił, tom zdjął i rzucił mu mój płaszcz pod nogi i ukląknęłam, a on znak krzyża położył na mem czole. I prosiłem go, aby raczył usiąść w mojej stali biskupiej.

Usiadł też sobie, lecz stolec hetmański

Kazał mi w świetle przed sobą postawić;

Bo rycerz z rodu choć w szacie kapłańskiej,

Toć chorągwiami umiał się zabawić;...

I rzekł łaskawie:

Dobryś jest Wicie i cały bez szecerbu,

Więc rycerskiego prawie godzien stanu.

Powiem to naszym — a ty skłoń się Panu,

A ja cię przyjmę do mojego herbu!...“

Aż dotąd ciągnie się poemat bardzo pięknie. Opowiadanie to dzierżgałem gdzieniegdzie myślami, na pozór własnymi, a w istocie według mojej zarozumiałości, o co mię niektórzy galicyjsko-lodomeryjańscy bracia literaci posadzają — lepiej tylko rozświecającemi myśli autora. W opowiadaniu tem opuściłem z postanowieniem niektóre rzeczy, wydające się mojej zarozumiałości usterkami, wprawdzie drobnemi i obrażającemi jedynie zmysł artystyczny, ale zawsze psujące piękność całości. Do tych usterków liczę zapytanie Wita Stwosza, następujące zaraz po głębokiej jego zadumie o kraju, w którą go rzucił wiatr wiejący od wschodu:

I spytał wnuki:

„Co to robisz dziecię?”

„Koronkę niżam“ — rzekła mu życzliwie.

„O gdy się bawisz dziecię tak cierpliwie,

To ci coś powiem! —“

— „„Proszę! gdy raczycie!“ —

Motyw ten bardzo jest niezgrabny, i według mojej zarozumiałości stosowniejszym byłby ów, umieszczony w mojem opowiadaniu. Wyrażenie: to ci coś powiem, aż razi! Coś? wszak to nie będzie anegdotka, ale straszna spowiedź z bolesnego życia! Równie nienaturalnem a zbytecznem, choć pięknem, jest prowadzenie dalszych porównań Krakowa od orła do lutni i do rycerskiego łuku, gdyż początek tak uroczystej spowiedzi powinien streszczać a nie rozbijać się o drobnostki.

Dalsza treść Wita Stwosza podpada już pod ważniejszą krytykę. A jeżeli znajdujące się w niej liczne piękności z umysłu podnosić już sobie nie postanawiam, to uczynię to jedynie z obawy, abym tym i tak już za obszernym artykułem nie znudził w końcu czytelnika, chociaż sędzę, że pisząc o tak znakomitym człowieku, jakim jest Wincenty Pol, nikogo znudzić nie można.

Po onem ofiarowaniu przez Długosza szlachectwa, Wit Stwosz odpowiada:

„Panie! jam pierwszy dziś w tej miejskiej matni,

A wśród rycerstwa — ja byłbym ostatni?“

I od tego miejsca, uważanego przezemnie za oś poematu, zaczynają się znane nam już niekonsekwencje autora.

Pierwszy pomysł do Wita Stwosza bardzo jest głębokim, religijnym, więc polskim. Autor chciał przeprowadzić

wielki talent przez pychę i wykazać, że ona gubi, choćby nawet anioła. A ponieważ cierpienia i męki nasze obecne, są karą za pychę przodków naszych, więc myśl ta, tem bardziej była narodową.

A gdy i samego autora Wita Stwosza uważam za wielki talent upadły przez pychę, staje się naturalnem, iż piękna myśl w ręku pysznego, a tem samem nieudolnego, złamaną została w dziele artysty. I z tego względu widzę w Wicie Stwoszu najważniejszy błąd w tem, że autor, malując nam go jako grzeszącego pychą, pozwala mu tworzyć co chwila nowe arcydzieła. Arcydzieła rodzą się z płomienia, a wykonywują się tylko w pokorze.

Wszystkie prawie motywa i objawy pychy Wita Stwosza są w tym poemacie nienaturalne, naciągane. Jak już powiedziałem, osiągnięciem całego poematu jest to, że Wit Stwosz, mając sobie ofiarowane szlachectwo polskie, odrzuca je z pogardą, a później jako mieszczanin piętnowanym został w Norymbergii. Otóż nie pojmuję jak mógł autor pomieścić dzisiejsze wyobrażenie o szlachectwie z wyobrażeniami o niem za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Dzisiaj, ktokolwiek czuje się szlachetnym, uważa się za szlachcica, nie potrzebując na to dyplomu; a mając go sobie napastliwie ofiarowanym, odrzucić go może z pogardą, patrząc na zubożonych liwerunkami wychrztów, co zostali baronami, na podłących i łaszących się lokai, co zostali szlachciami, na szlachtę o bardzo mglistym i niepewnym rodowodzie, która, dochrapawszy się kilku wiosek, prosi o hrabstwo i gotowa sprzedać jedną z trzech wsi, dla łatwiejszego zdobycia, tego, osobliwie w Galicji

zdyskredytowanego już tytułu. Ale za czasów dawnej Polski szlachectwo nie stało tytułem, lecz poświęceniem; herbowa tarcza kupowała się krwią, nie pieniędzmi; korona nad herbem — cierniową była koroną; szlachectwo miało przywileje, ależ miało i ciężkie obowiązki; szlachectwo było krzyżem, dźwiganym często o krwawym pocie; więc dusze natchnione i szlachetne starały się o to znamię — bo tylko krzyż jest zaszczytem!

Więc Wit Stwosz nie mógł odrzucić szlachectwa, on, który rozumiał, co to krzyż artysty. I nie na czasie powiedział:

„A wśród rycerstwa — ja byłbym ostatni?...“

A przynajmniej powinien się był zreflektować śliczną odpowiedzią Długosza, że:

„...wśród wybranych ostatniego nie ma.“

Wybuch jednak tej nienaturalnej pychy nie przeszkadza Stwoszowi do wykonania wielkiego ołtarza w kościele Panny Marji w Krakowie, tego arcydzieła, nad którem dwanaście lat pracował.

Jakim takim jest jeszcze motyw, dla czego Wit Stwosz wyjeżdża po raz pierwszy do Norymbergji: zachciało mu się szerszej sławy. Złe proroctwa dla tej pierwszej podróży, które się jednak nie spełniły, żal rodziny i całego cechu, przestrogi przyjaciół, zwiechnęły Wita Stwosza w jego zamyśle — a jednak odjeżdża.

„O, wiele było serdecznego jęku!

Lecz jak się cofnąć? — jak się tu obwinić?

Listy królewskie trzymałem już w ręku,

Zapadła klamka, — nie było co czynić?

Nie rozumiemy wcale tej kłamki.

W przypisku wystawia nam autor Norymbergę jako miasto gromadzące dzieła sztuki, które obudzają podziwienie dzisiejszego jeszcze czasu. — i dodaje: „jakiegoż to miru doznawać musiało to miasto w ówczesnym świecie katolickim? Z tych stosunków objaśni się może nie jedno, com o Wicie Stwoszu w poemacie powiedział; a że tego rodzaju objaśnień potrzeba, nauczyło mię doświadczenie.”

Nas doświadczenie nauczyło, że pan Wincenty Pol neguje sam siebie. Te jego więc przypiski nie objaśniają, ale bałamucą. Miasto, szczyjące się dziełami sztuki, wzbudzającymi podziwienie dziś jeszcze, umiało i musiało czcić i wynagradzać artystów i samo pojmować głębiej wartość i godność sztuki — i jak ono miasto doznawało miru w świecie katolickim, równego miru doznawać musieli niezawodnie artyści w świecie Norymberskim. To bardzo naturalne, gdyż inaczej komuby się chciało leżeć w jamę — gdzie piętują. A tymczasem według poematu, Wit Stwosz, zajrzawszy do cechu, patrzy

. a to knechty!

Piwem opile, nicponie i szlechty!

Z których cech jeszcze złych sęków nie obit —

Każdy nie o to pyta, coby zrobił,

Leez o to tyłko, co od sztuki płacą?

A mistrze nie lepsi, pełni zawiści i wzdardy dla Wita Stwosza. A i sam burmistrz i rajcy, którzy przecie wysłali deputację do króla polskiego z prozbą o przysłanie im Wita, więc zdaje się, że go potrzebywali — przyjmują

polskiego mistrza z lekceważeniem, a patrząc na zamówiony wzór do grobu świętego Sebalda:

„Co ci dać za to?“ spytał burmistrz hardo,

Rzuciwszy okiem zaledwo na kartę.

Zniechęcony Wit Stwosz wraca do Krakowa. Podczas jego niebytności umarł Kazimierz Jagiellończyk. Powierzono mu wykonanie grobowca dla tego ukochanego króla. Z miłością i z żalem po królu zabiera się Wit Stwosz do tej roboty. Z całego opowiadania autora widać, że Wit Stwosz nie był jedynie artystą, ale przede wszystkim kochającym swój naród Polakiem. Otóż przy odsłonięciu pomnika, kiedy cały lud, uderzony podobieństwem twarzy królewskiej, głośno zaszlochał, jeden Wit Stwosz suche ma oczy. Przytomny lutnista gromi go za tę nieczułość i przepowiada karę. Otóż ta nieczułość artysty, a zwłaszcza w Polaku Wicie Stwoszu jest nienaturalna. Wit Stwosz jeżeli istotnie miał suche oczy, to musiał płakać wewnątrz piersi. A tymczasem spełnia się niesprawiedliwa na nim kara: w ciągu dwóch lat pochował żonę i syna. Złamany boleścią ozdabia Wit Stwosz nowo budujące się kościoły na Spiżu, a potem:

„Ledwo żem otarł pot z mojego czoła,

A już na nowo Norymberga woła...“

I czy uwierzy czytelnik, pomimo własnego zrobionego już doświadczenia czem jest Norymberga dla artystów, pomimo nowych złych proroctw lutnisty, z których Wit już teraz się śmieje, bo za pierwszą razą nie spełniły się — Stwosz bez miłości zapragnął kadzidła, o którym przecie raz się już przekonał jak pachnie — i czy

uwierzy czytelnik, odjeżdża po raz drugi do Norymbergji!

Powtórna podróż do Norymbergji powstała według autora z pychy Wita Stwosza. Pomimo tego stawia on w Norymbergji po kościołach nowe arcydzieła, między innymi cyborjum w kształcie wieży, której szczyt prowadzi on aż pod same sklepienie kościelne, a potem go skrzywia i nagina ku ziemi.

„By dać świadectwo pod niebem kościoła,

Że duch wielkości Bożej — nie wydała!“

Sliczna, głęboka myśl! Myśl taka może się tylko zrodzić w sercu pobożnem i pokornem. Toż uważam, że ta mająca się ciągle objawiać pycha u Wita Stwosza nie przypada wcale do duszy jego. Do każdej nowej roboty zabiera się on z wielkiem skupieniem ducha, z miłością dla mającego wykonać się dzieła, z uczuciem braku siły do jego wykonania, z modlitwą, proszącą Boga o pomoc i łaskę. Mając uciec pomnikiem przenajświętszy Sakrament, wyprawia do Polski listy, prosząc o radę Matki Rodzicielki... Wszędzie więc objawia się pokora Wita Stwosza, nieufność własnych zdolności, i dla tego danem mu było tworzyć rzeczy cudowne. Ale gdzież ta pycha, na którą spada kara niebios?... Kara ta, gdyby miała być zasłużoną objawiłaby się najpierw w nieudolności dzieł artysty — a tak nie jest. Samoż więc odmówienie szlachectwa, samaż podróż do miasta słynącego z pobożnych dzieł sztuki, miałyżby ściągnąć na Wita Stwosza karę Boga, tak srogo wykonywującą się później — piętnowaniem ?!

Jest pycha i jest duma, a pojęcia tych dwóch uczuć nie są po dziś dzień dostatecznie określone. Niejednego dumę, objawiającą się wobec ludzi biorą za pychę. Pycha zawsze jest grzechem; duma jest często konieczną, potrzebną, obowiązującą nawet enotą. Pychą grzeszyć można tylko wobec Boga, objawiająca się wobec ludzi nazywa się dumą, i nie zawsze jest grzechem. Pyszny był buntujący się szatan, dumnym mógł być archanioł, zwycięzca jego.

Kto jest pysznym?... Ten, co opiera się na własnej sile, bez modlitwy na ustach, bez pokory wobec stwórcy swego; ten, co wobec świata mówi: Jestem!... a nie dodaje w duchu: Ale przed Tobą, mój Boże, jestem prochem tylko.

Kto jest dumnym?... Ten, co w pokorze czerpiąc łaskę Boga, ślepo, niezwichnięto, idzie drogą swoich trudów, i szorstko nieraz odrzuca tych, co mu stają na drodze.

Pokora, pokora!!... zaleca ją każdy kapłan z kazalnicy, zaleca ją każda władza despotyczna. Toż i pokora może być najwyższą enotą, ale jest często najniższą podłością. Pokora zrobiła z całej ludzkości jedną trzodę — owiec. Pokora każe nam tu wylegiwać się bezczynnie na Jobowym gnoju i oczekiwać śmierci, jakby zbawienia. «Królestwo moje nie jest z tego świata» — powiedział Chrystus, a mówił to o sobie; ale nie mówił przeto, abyśmy nie starali się o królestwo Boże na ziemi. Przeciwnie, kochając Boga, wielbiąc i ufając jego potędze, każdodzienną pracą, staraniem, pragnieniem naszym być po-

winno: zbliżyć JEGO tryumf na ziemi. Jesteśmy robotnikami i żołnierzami sprawy JEGO! Wprawdzie dotąd bez widomego wodza, ale przyjdzie ten zwycięzca, co nas ogniem i duchem świętym chrzcić będzie.

Pokora!... Cierpliwość!... Spokój!... Takim słowem przemawia do swej ofiary każdy jastrząb', trzymając ją w swoich szponach — jak powiedział jeden z nowych poetów niemieckich. Bądź pokornym, a mniej cię będzie razić i boleć dziób mój!... Bądź cierpliwym, bom zmęczył się, uganiając za tobą, i lubię wolno smakować!... Spokoju! spokoju!... potrzebnym on mi jest do lepszego trawienia!

Nie widzę więc nigdzie pychy Wita Stwosza w całym poemacie autora.

W drugiej podróży do Norymbergii powtarza się znowu to samo, co autor już raz podniósł. Jest więc w tem podwójny błąd artysty, to, że powtarza rzeczy już raz powiedziane, i to, że wyprawiając Wita Stwosza w nową podróż do miasta, w ktorem doznał tyle umartwień czyni z niego niedołęgę.

Wit Stwosz obudza znowu zawiść i niechęć ku sobie u tych mieszczanów, którym tak pysznie przyozdobił kościoły. I ja i czytelnik mamy prawo zapytać, zkąd ta zawiść?...

Kramni i mistrze zawarli przymierze,
 Żem się považył tak wielmożnie chlubić,
 I uradzili, aby mię zgubić...

Występuje kłamany wierzyciel; Wit zaparł weksłu, zbił skargi nieprawe; kupni świadkowie krzywo zaprzy-

sięgli, i w mgnieniu oka skazano Wita na grzywny i na piętno. Całą tę sprawę przeprowadza autor sześcioma wierszami.

Wit odwołuje się na swego króla.

Ale daremnie! — Burmistrz hardo powie:

„Król na królestwie, ja tu sędzę w mieście!“

I krzyknął katom: „Pod piętno go weźcie!“

I znowu wszystko odbywa się u autora w ośmiu wierszach, a wchodzi w tę liczbę i trzy przezemnie zacytowane.

Po czym następują jeszcze cztery wiersze, a po nich:

. kat się nasrożył.

I do oblicza piętno mi przyłożył.

W ośmiu dalszych wierszach każe autor żałować się Witowi, stojącemu pod pręgierzem, że odrzucił szlachectwo.

„I tu jęknąłem! Jakżem wielce zbladził,

„Żem się nie uciekł pod puklerz Wieniawy.“

A potem pięć wierszy:

„Czy myślisz może, że już koniec na tem?

Nie dość, że z piętnem miałem już pójść światem,

Z pręgierza w powrót stawiają mię przed radę:

I na krucyfiks przysiędz mi kazano,

Że nigdy w życiu z miasta nie wyjadę!“

Następują ośm wierszy, z których ostatnie trzy zawierają sens moralny całego poematu:

„Bóg mię ukarał ciężko za me grzechy,

Że nęcić mogła jeszcze inna sława

Oprócz tej sławy — co Ojczyzna dawa!“

Kończą całe opowiadanie Wita Stwosza następne pięć wierszy:

„Lecz oni ze mnie nie mieli pociechy:

Dom mój zamknąłem jako grób bez mała,

By mię żrenica ludzka nie dojrzała;

A zastarzawszy, w miłości zakrzepłem,

I wpośród wrogów na końcu — ośleplem.“

46 wierszy, mówię: czterdzieści sześć, dają nam opisanie całego toku tej okropnej sprawy. Mógłby ktoś powiedzieć: Opowiada ją sam Wit Stwosz, więc nad tak bolesnem wspomnieniem nie może się dłużej zatrzymać. Sądzę więc, że natenczas było obowiązkiem autora, rozświetlić nam te ciemności, jeśli już koniecznie chciał Stwosza piętnować według wzmianki w jakiejś kronice rymowanej, którą uważa autor za rzeczywistość historyczną, o czem nam w przypisku donosi następującym sposobem: „Fakt ten, że Wita Stwosza przez policzki piętnowano w Norymberdze, jest rzeczywistością historycznym; znajduje się o nim wzmianka w rymowanej i nierymowanej kronice Norymberskiej, że o fałszywe listy oskarżony w Norymberdze, był piętnowany.“ Ale twierdzić można z pewnością, że autor, nie czując w sobie możności logicznego umotywowania tej strasznej sprawy, zbył ją umyślnie kilkudziesięcioma wierszami. Czy może być w tem sens, aby burmistrz niemieckiego miasteczka miał zuchwałość piętnować sławnego mistrza sztuki, otoczonego cześcią i opieką, tak potężnego na ówczas polskiego narodu?... Aby temu, który mówił o sobie:

„Królowie stali mi bogate dary,

Miasta wzywały mistrza na wsze strony“...

nie stała się pomoc nawet od wyższych władz niemieckich, a przynajmniej zemsta na jego krzywdzicielach?... A tej zemsty nie było, bo autor, zakończając później cały swój poemat, sprowadza do oślepego starca posłów od rady miejskiej, wracającej mu cześć dopiero po naturalnie odbytej śmierci jego wrogów.

Na to rzekł starzec: „Czy Fincyng nie żyje?“

A posły na to: „„Już go ziemia kryje!

Sam się oskarżył na łożu śmiertelném,

Że uknuł zdradę pod mistrzem tak dzielnym,

I że przed Bogiem stanąć tak nie może;

Ci, co świadczyli, nie przeżyli roku,

A i sędziowie zeszli już z widoku!““

Piętnują więc Wita Stwosza, i on mistrz sławny, pełen dumy, a nawet, jak to chce mieć autor, pełen pychy, nie umiera z boleści, ale żyje jeszcze bardzo długo. Artysta Fumagalli, o którym wspomniałem w artykule, dotyczącym się sztuki i naszej Zawiszanki, umarł zaraz na drugi dzień, po otrzymanej hańbie, a mniejszej, bo mu tylko drzwi pokazano.

Po odbytem piętnowaniu, Witowi Stwoszowi k a z a n o przysiędz na krucyfiks, że nigdy w życiu z miasta nie wyjedzie. I Wit Stwosz przysięga, bo mu k a z a n o. Cóż to za niedołęztwo!... I w kim?... W człowieku dumy i pychy!... Żeby przynajmniej autor powiedział, że go torturą z m u s z o n o do przysięgi. A i w takim razie, czy taka przysięga kogokolwiek obowiązywać może?...

Moralny sens całego poematu:

Bóg mię ukarał ciężko za me grzechy,

Że nęcić mogła jeszcze inna sława

Oprócz tej sławy — co Ojczyzna dawa!

nie ma także najmniejszego sensu. Nawet w starym te-
stamencie nie byłby Bóg tak srogim i niesprawiedliwym.
Karał go, za co? Że wybrał się w podróż, aby w obcym
mieście ozdobić kościoły Boga. Jakaż kara powinna
spaść na dzisiejszych podróżomanów, którzy hołdując swej
próżności, całymi taborami wloką się za granicę, aby bić
pokłony cielecu złotemu!

Poemat o Wicie Stwoszu nazwałem dziełem znakomi-
tem, ale jedynie przez wzgląd na jego pierwotny pomysł
i niektóre myśli głębokiej treści, bo cała budowa tego
poematu nietylko że jest bardzo nieudolną, ale nawet
fałszywą. Dziwna rzecz, jak słabym okazuje się artystą
pan Wincenty Pol we wszystkich swoich późniejszych
utworach, on, co jako Janusz umiał budować najkrótszy
wiersz z całą pięknnością i pełnią artystyczną. Że pan
Wincenty Pol grzesznym jest, nie trzeba wcale innego
dowodu.

Drobniejsze dekoracje jego budynków wykazują jednak
wysoki talent artystyczny, ale na dłuższą taką pracę bra-
kuje mu już tchu w piersiach. Prześlizgnie i po mistrzo-
wsku przeprowadził autor stopniowe wzbieranie boleści
wnuczki po wysłuchaniu spowiedzi dziadka, równie jak
kojenie ją przez starca:

A wnuczka jego, słuchając powieści,

Brała robotę i w powrót ją kładła,

I ledwo mogła wytrwać od boleści,

I to płonęła, to znów nagle bladła,

I łzy się w oczach skrzyły dziewicy,
 Lecz niechęć płakać podniosła je w górę,
 I patrzy w niebo na śrebrzystą chmurę,
 I znów rozlała się łza po źrenicy,
 Co z długiej rzęsy miała perłą trysnąć...
 Na sercu ciężko — więc jęła je cisnąć.
 Ale się trudno w końcu i obronić:
 Kiedy łza za łzą poczęła już gonić,
 Kiedy nie było już oprzeć się na czem,
 To się zalała w końcu wielkim płaczem.

A starzec słysząc te serdeczne łkania,
 Z boleści swojej nagle się ocucił:
 I nadsluchując ku niej się obrócił,
 I cały sercem ku wnuczce się słania,
 I kładzie rękę na oczach i czole,
 Jakby chciał leczyć serce na te bole,
 Na które w świecie lekarstwa już niema.
 I ręka jego była mu oczyma.
 A gdy nią powiódł z miłością po twarzy,
 Rzekł jej po chwili: „Na grobowcu króla
 W chórze aniołów jest tam taki samy,
 Jak ty aniołek, co w niebieskie bramy
 Lecząc — miłością cherubów się żarzy,
 A nad upadkiem ziemi się rozczuła.
 Kiedym go kreślił, znać przeczulem ciebie,
 Że będzie taki anioł mi w potrzebie
 Świecił na ziemi i w niebie przedemną;
 Lecz nie przeczulem, że tak będzie ciemno...

Spodziewam się, że czytelnik nie rozgniewał się na mnie za zacytowanie tego dłuższego ustępu.

Taką jest treść tego poematu. Następują objaśnienia równie obszerne jak sam tekst. Według mnie, sam tekst

powinien się objaśniać. Przypiski autora są zbyt liczne i nie bronią go wcale przeciw tym zarzutom, które jako krytyk starałem się podnieść.

Duch, owiewający całe to dzieło, zaszedł niezawodnie na autora od okrzykiwanego, a przez nikogo dotąd bezstronnie nie rozświeconego Towianizmu. Nie pojmowano tej nauki wtedy, kiedy ona była czysto polską, ale pojęto ją łatwiej, kiedy w ostatnich czasach stała się moskiewską.

Znając i obcując dłuższy czas z dwoma najgenialniejszymi uczniami Towiańskiego: Mickiewiczem i Słowackim nie usłyszałem od nich nigdy ani jednego wyrazu, mogącego razić moje polskie uczucie. Chociaż mam wielką ochotę pomówić szerzej o Towianizmie, przełamuję się, aby uniknąć nowej dysgresji.

Wiele najpiękniejszych swoich myśli w ostatnim swym poemacie zaczerpnął Wincenty Pol u źródła onej nauki, która ma to do siebie, że uczy zapuszczać się w głębokości ducha i wynosić na słońce nie jeden jego klejnot ukryty. Głębokość ta stała się przepaścią od chwili, kiedy minery, nurtujący w ziemi polskiej, zblakani, przeszli w ziemię moskiewską. Że to zblakanie Towianizmu siedzi obecnie w panu Wincentym Polu, nie podpada żadnej wątpliwości. Wprawdzie w Wicie Stwosza widać jedynie tylko dodatne strony tej nauki, późniejsza jej ujemność wyskakuje jawnie dopiero w *T e c e L w o w s k i e j*, gdzie pan Wincenty Pol, charakteryzując Lenartowicza i Goszczyńskiego, pierwszego, to ukochane, tęskniące, silnie wierzące w swoją matkę dziecko — a nieustannie z

północnym wojując wrogiem, określa jako niedołęga, a zaraz potem stawia Goszczyńskiego, składającego naród u stóp Moskwy, jako dowód potęgi i trzeźwej wiedzy po przebytej już duchowej walce. Z tego stanowiska sążąc ów niefortunny artykuł z Teki Lwowskiej, łatwoby mi przyszło wynaleść logikę, w zawierającym się w nim ocenienu Lenartowicza i miałbym prawo upomnąć się w redakcji Przeglądu powszechnego o 5000 dukatów obiecanej nagrody za jej wykazanie.

XXXI.

Wiemy wszyscy, bo pan Wincenty Pol sam chętnie mówi o tem, że posiada w swej tece mnóstwo nieznaných nam utworów. Jeżeli mają one być tej wartości, jak ostatnie jego prace, wdzięczni jesteśmy autorowi, że ich dotąd nie drukował, wdzięczniejsi będziemy, jeżeli ich nigdy nie wydrukuje. Wszakże prosimy o nowe edycje Pieśni Janusza, Obrazów z życia i podróży i Pieśni o ziemi naszej; prosimy także o wydrukowanie całego poematu Słowo a Sława i o Pieśni więźnia, które, jak słyszeliśmy, nie mają dawać narodowi zwątpienia, ale wiarę. Mamy jednak żal do autora, że nam te pieśni dawniej nie podał, dziś one stają się już mniej nam potrzebne. Wyszliśmy już z za krat więziennych i pozwolonem nam jest modlić się, mówić i skarżyć się głośno. Epoka poezji i jej wieszczów przeszła już dla Polski; trójca największych naszych poetów, wypełniwszy swoją misję, odleciała już w niebo. Po ich odejściu powinno było nastać — milczenie; grzeszyliśmy

więc drobniejsi poeci śpiewając... A teraz staną już wieszsze czynu!

Ulubione i protegowano przez pana Wincentego Pola nowe dwa pisma lwowskie, Kółko rodzinne i Czytelnia dla młodzieży umieściły niektóre fragmenta z tajemniczej teki autora. Więc najprzód, ze Stryjanki, która, o ile się zdaje, rodzoną jest siostrą Zgody senatorskiej i Sejmiku, i gdzie przychodzą następujące wiersze, tak przypominające autora Erotek:

„Biorę, biorę skrzyпки
 „Ta z zielonej lipki!
 „Hej! Panie i panki,
 „Po skrzyppkach „Stryjanki“,
 „Witajcie mi Krzysie
 „Krzysie i Anulki —
 „Prześliczne Marysie
 „I wdzięczne Kordulki!
 „Dalej panienezcki,
 „Zosie i Juleczki!
 „Dalej śliczne buzie,
 „Kasieńki i Rózie,
 „Bo na Stanisława
 „W Bączali zabawa,
 „Ra — ta — tam! Ra — ta — tam!
 „Hej hu ha! kiedy gram!
 „Kiedy gram! Cześnik sam!“

Niewinne Kółko rodzinne wyprosiło także u autora ustępy z Hetmańskiego Pacholęcia. Ustęp ten jest bardzo ładny, daj Boże, aby i całość była taką. Redaktor jednak gołębiego Kółka uczuł potrzebę dać temu

fragmentowi wstęp obszerniejszy, w którym, plecie nader mądrze, np. w sposób taki:

„Jakież i jak odmienne od dzisiejszych spotykamy postacie w Mohorcie, w Winnickim, w Stryjance, w Zgodzie senatorskiej i w Hetmańskim pacholęciu, (a o Sejmiku zapomniał redaktor?... Jeżeli to uczynił z umysłu, serdecznie cieszę się z tej jego pierwszej odwagi); „jakiż to świat inny! mówi dalej odważny redaktor, „jaki koloryt obyczajowy! jaka barwa i postać rodzinna, swojska w charakterach, w obyczaju — nawet w słowie.

A ja dodaję: „Jaka to wymowa słodkiego Kółka rodzinnego! Redaktorowi wymownego Kółka rodzinnego przydałby się młynek, umiejący oddzielać plewę od ziarna: Zgodę senatorską od Mohorta, Sejmik od Hetmańskiego pacholęcia (może).

Przyjaciele tyle wykołotali z teki pana Wincentego Pola; przyjacielałka kontentują się byle czem, nawet pochwalnym wierszem z albumu pana Wincentego Pola. Czytelnia dla młodzieży nadesłaną została z Warszawy karta z album (mówi się z albumu) Wincentego Pola, mieszkającego we Lwowie, w której karcie znajdują się następujące wiersze:

Twój Sejmik, twa Zgoda, twe Pieśni Janusza
To cuda — to dziwy — to czary.

A nieco niżej:

Więc że ci dziś prawię piąte przez dziesiąte,
Guślarzu! w tem własna twa wina.
Moje zaś wymówki są słuszne, a są te:
Upiła się — kobiecina.

To dopiero jedna, wprawdzie ważna wymówka — a więcej gdzie.

Niewstrzeźliwej autorce życzymy także młynka, a przytem rychłego wytrzeźwienia się.

XXXII.

Czyż nie jest to prawdą, co już raz powiedziałem i powtarzać będę przy każdej sposobności, że raz przyjęte, a natychmiast ze wstrętem nie wypędzone złe, podniesie się wkrótce w człowieku do olbrzymiej potęgi? że z coraz głębszym upadkiem ducha zmniejsza się skrupulatność jego sumienia, i już ono samo nie wie, jakie straszne przechowuje grzechy! — Grzechowe pyły pana Wincentego Pola urosły już w bryłę wielką; porwała ona w swym pędzie jedno z najpiękniejszych jego własnych dzieci, zgruchotała je i przywaliła sobą. To dziecko pokaleczone, z oderwanymi członkami, drgające jeszcze resztkami życia, nazywa się w wydaniu warszawskim: *Pieśń o ziemi*. Grzech ten najstraszniejszy pana Wincentego Pola, popełniony przez niego dopiero przed rokiem, gaszący swoim ogromem wszystkie jego dawniejsze grzechy, potwierdza najdowodniej położoną na wstępie prawdę. Pojmuję, że duch w upadku, a pełen pychy i sztańskich podszeptów, stara się o to, aby każde jego słowo znalazło przystęp do serc ludzkich, ale niepojętem jest dla mnie, jak można naigrawać się ze swoich cnót dawniejszych, psuć i kaleczyć je umyślnie, zapierać się najpiękniejszych swoich natchnień. Powiedziałem jest: że grzechy przeciw Duchowi świętemu nie znajdą przebaczenia

przed sądem Boga. Pan Wincenty Pol popełnił grzech taki, drukując w Warszawie *Pieśń o ziemi*. Nie znamy, nie chcemy znać, wypieramy się tej książki. My znamy, Kochamy i wielbimy *Pieśń o ziemi naszej*; ona jest naszą świętością; nikt, ani nawet sam autor nie może nam jej odebrać, nie ma już do niej prawa; złożyliśmy ją w naszej arce narodowej — duch narodu z toporem w rękę stoi przy tej arce na straży: ktokolwiek świętokradzką rękę sięgnie ku niej, nie ocali tej ręki — spadnie ona pod toporem!

Już sam nowy, nadany tytuł tej książki nie tylko jest śmiesznością, ale grzechem. *Pieśń o ziemi!*... O jakiej tu ziemi mowa?... Czy o całym globie?... Czy o ziemi zdanej pod uprawę?... Czy to ma być geografia, czy geologia? — Nie!... Tu mowa o polskiej ziemi, o ziemi mogił i grobów ojców naszych, o ziemi, przesiąkniętej krwią naszą i łzami, o ziemi naszej chwały i potęgi, o ziemi naszych walk i cierpień, o ziemi naszej wielkiej przyszłości, o ziemi naszej! naszej!! naszej!!!

Naszej! może wbrew twojej woli panie autorze! wbrew twojej woli, panie Д. Мацкевичъ cenzorze petersburski, który położyłeś swoją pieczęć na tej książce! i zapewne chciałbyś położyć taką pieczęć na całej tej naszej ziemi?!...

Autor nie ufając, aby i w takim pokaleczeniu przekontrabandować było można to polskie dziecko, obwinał je, jak już powiedziałem, w szmaty o moskiewskich kolorach i napisał wstęp: Na jesieni. We wstępie tym pod pozorem, że mówiąc o jesieni, można wspomi-

nać o jej miesiącach, zgrabnie zaczyna od września, aby przejść do listopada. Do tego listopada kilka razy nawraca autor w sposób jakiś niezrozumiały i tajemniczy, n. p.

Lecz listopad!—głucha jesień.
Hej listopad!—w listopadzie
Już nie rada,—bo po radzie.

I znowu o jedną kartkę niżej:

Jak bywało po staremu,
Świadczy nawet w listopadzie,
Choć nie rada—bo po radzie..

I jeszcze raz na następującej kartce:

Listopadzie! listopadzie!
Bardzo duszy nie do składu,
Co tu radzić? gdy po radzie,
W dniach przepaści listopada!

Niechże mi kto wytlómaczy, co mogą znaczyć te ciągle powtarzające się wyrazy: już nie rada, bo po radzie, co tu radzić, gdy po radzie?... i inne: nie do składu, w dniach przepaści?... czyż można je ściągnąć do meteorologicznych objawów listopada!?... Jaki mógł mieć autor cel, przylepiając do nazwy tego miesiąca te wyrazy tak niejasne, tak tajemnicze?...

Zapewne, że stojąc przed martwymi paragrafami kodeksu karnego, mógłby autor otrzymać wyrok: z braku dowodów; ale gdybym ja zasiadł w sądzie przysięgłych, powiedziałbym głośno i otwarcie:

•Autor powinien być karany — i w mojem sumieniu głosuję za karą!..; bo z pod tych wyrazów przeziiera myśl

antinarodowa, potępienia godna; bo autor temi wyrazami szepce do moskiewskiego ucha: «Czy uważasz?... czy pojąłeś?... Ale nie ma odwagi powiedzieć to jawnie w obec własnego narodu, który mu się na coś jeszcze przydać może — bo zresztą autor, chociaż nie ma odwagi bezwzględnie w swoich pismach objawić sympatje swoje rosyjskie, nie w tem jednym miejscu kładzie do nich aluzje, n. p. w wierszu *Kometa*, gdzie prosząc Boga o wielkiego człowieka, mówi:

Więc daj go nawet w nieprzyjaciół domu!

Wielkie nie straszne — straszno ginąć marnie,

I śmierć głodowa, straszniejsza od gromu,

Wielkie nie straszne — bo wszechmocą garnie.

•A nawet w prozie przed miesiącem wydrukowanej *Tece lwowskiej*, mówiąc o Sewerynie Goszczyńskim, który, tęsknotą chory, jak wielu z naszych męczenników-tułaczy, upadłszy w pewnej chwili na duchu, nazwał również listopad złą radą, grzechem i głośnym manifestem złożył swój naród u nóg cara *) — pan Wincenty Pol wyszukuje w jego twarzy, co niezawodnie musi być cier-

*) Inna rzecz grzeszyć w kraju, owianym będąc rzeźwiącem powietrzem polskim, a inna tym naszym świętym i wybranym, co naprężając w sobie przez trzecią część całego wieku dumę i godność narodową, nie poddali się gloszonym amnestjom, ale woleli w tęsknocie, w nędzy często stać na miejscu, jako stracona wideta narodowa! O! chwilowe ich grzechy i upadki więcej nieraz mają znaczenia u Boga: niżli wszystkie cnoty nasze, nas chodzących po ziemi ojczystej. Cześć i miłość każdej ich myśli, chociaż nieraz błędnej, jeżeli tylko ona urodziła się w sercu niesamolubnem, ale ślepo a często rozpacznie kochającym naród! Do pielgrzymich ich stóp, stających kiedyś z powrotem na granicach ziemi naszej, chylcie nam tylko nasze czoła i ustami ścierać ich kurz trzydziestokilkolcietni!

piącą, znamiona silnej woli i potęgi, i mówi: „Jego wzrok pełen wielkiej energii jest wyteżony w jakiś punkt odległy. Tylko po sile tego wejrzenia potrzeba się domyśleć o co chodzi? — I pan Wincenty Pol sam podkreśla ten wyraz: o c o c h o d z i? — a dalej: „To wejrzenie stoi za wszystko i tak patrzeć można tylko z poważnego stanowiska kresów duchowych.“

Nie na tem koniec; w ciągu drukowania się niniejszego artykułu rozeszła się wieść, o której musi wiedzieć i pan Wincenty Pol, bo wiedzą o niej jego przyjaciele, że jedno z pism rosyjskich wydrukowało list autora Pieśni Janusza, list do cara! O treści jego nie wiemy, ale w razie potrzeby dowiemy się; musi ona jednak być słodką i pokorną. Boże broń! może nawet w imieniu całego narodu przemawiającą, jeżeli wydrukował ten list dziennik rosyjski. Mówią, że ten list jest podrobionym, dałbym kilka uncji krwi mojej, gdyby tak było... Czemuż pan Wincenty Pol nie protestuje przeciw temu hańbiącemu go apokryfowi?!

Gdybyśmy nawet chcieli przypuścić, iż wszystkie cytowane własne słowa autora i podniesione fakta najfałszywiej były przezemnie pojętymi, nie jest już od wielu lat tajemnicą, że pan Wincenty Pol, chociaż nie ma odwagi drukiem onych swoich sympatji jawnie wygłosić, nie tai się wcale z nimi i głosi je ustnie w prywatnych swoich rozmowach, a mianowicie rozwijał te zasady przed kilkoma z najmłodszych naszych literatów którzy z oburzeniem sami o tem mi opowiadali.

Tym czytającym moje artykuły z dobrą wiarą i z powagą patriotów, którym się wydało, że mówiąc o właścicielu Brzeżan, albo o panu Wincentym Polu, dotykam prywatnego ich życia, tłumaczę się poważnie w sposób następujący:

A najprzód, co się tyczy właściciela Brzeżan, grzech jego od dawna jest publicznym. Walające się w śmieciach kości Sieniawskich, krzyczą i płaczą w niebogłosość; słyszy to Bóg i każde czujne ucho tu w naszym kraju. Co się zaś tyczy pana Wincentego Pola, tego nie tylko pisma, ale każdy czyn i wymówione słowo, jeżeli trąca o sprawę narodową, przez swoją wagę staje się publicznym, bo żywo zajmuje publiczność, a tem samem podpada krytyce. Są ludzie prywatni i publiczni; do ostatnich należą wszyscy o znakomitych w kraju imionach. I jeżeli nie tykamy spraw i mów prywatnego człowieka, to nie dla tego, aby nam to nie wolnem było, bo wszystkie rządy i sądy, jako streszczenie ciał społecznych, nie tylko mają prawo, lecz nawet obowiązek czuwania nad postępami i głosami swych obywateli; ale przez wzgląd, że czyny i głosy takie, jako idące od ludzi, nie mających potrzebnej powagi, nie mogą wpływać szkodliwie na cały naród, w ciasne więc takie granice nie sięga dozorujące oko krytyka. Inna rzecz, gdy czyny i głosy, choćby tylko prywatnie wymówione, lecz dotyczące się praw narodowych, idą od człowieka uznanej już w kraju powagi; natenczas obowiązkiem jest każdego obywatela śledzić je, wykrywać, ważyć na szali wartości narodowej, i w razie uznanej ich szkodliwości, dawać pu-

blicznie potrzebne dla innych ostrzeżenie. Życie nasze tak długo martwe pod względem politycznym, oddaliło nas od tych pojęć wolniejszych od nas narodów. W Anglii niema ludzi prywatnych; tysięcoczne, tysięcogębne jej dziennikarstwo szpera za wszystkim, wie o wszystkim, głosi wszystko. I tak być powinno.

W dalszym wstępie do Pieśni o ziemi wprowadza autor głos jakiegoś dobrego, nieznanego ducha, który hamuje i reflektuje autora w jego wybrykach. Głos jego odzywa się kilka razy, a to po każdej onej niejasności listopadowej, i zwykle następującemi słowy:

Nie wymyślaj tylko stary,
Wszak chleb z pracy,—wiara z wiary.

.
Baj że baję po zwyczaję,
O tym naszym polskim kraju!

ale filut! chcąc z większą pewnością korzystnie wpłynąć na autora, nie wyjawia mu się, że to duch ten sam, co dyktował mu niegdyś Pieśń o ziemi naszej; więc aby autora nie zrazić, kończy zawsze swoje refleksje słowami, przypadającemi milej do usposobienia autora.

Tyle szczęścia, co człek prześni!
Tyle życia, co jest w pieśni!

Słowa te powiedział Janusz w pierwszych latach po powstaniu z 1831 roku, dając je jako nagłówek do jednej z pieśni „Obrazów z podróży”, i w onczas miały one piękno znaczenie. Oderwać się od bieżących chwil pełnych boleści, utonąć we śnie krótkiego odpoczynku, aby powstać z nową siłą i dać narodowi pieśń, budzącą go

do życia i do pracy. Ale w r. 1859, w roku, w którym autor pisał ten wstęp do pieśni o ziemi, nie wolno już śnić nikomu, a pieśń straciła już także na swej wartości, bo ją martwi i praktyczni poezją nazwali, a nazwali szydrczo. Więc duch-opiekun narodu odwołał z naszej ziemi największych mistrzów pieśni i krzyknął: *•Zgińcie me pieśni — wstańcie czyny moje!•*

Sumiennie porównywałem Pieśń o ziemi naszej z oczyszczaniem jej warszawskiem wydaniem pod tytułem: *Pieśń o ziemi*. Nad onem oczyszczeniem pracowały dwie ręce: brzydka, zabłocona, niedźwiedzia o pazurach łapa, pana Д. Мацкевичъ, cenzora petersburskiego i, o mój Boże! piękna ręka autora *Pieśni Janusza*, ta ręka dawniej chropawa, szorstka, bo pracowita, po polsku trzymająca w razie potrzeby, to rękojeść miecza, to rękojeść sochy - a dzisiaj gładka, pachniąca, urekawkiczkowana, bo jak powiada sam autor, już tylko *•orzająca gęsią•*.

Prace tych dwóch rąk dadzą się bardzo łatwo odróżnić. Jawnem jest, z czego oczyszczał *Pieśń o ziemi* cenzor petersburski, a z czego znowu sam jej autor. Pierwszy wymazywał wszystko, co tylko przypominało, że *Pieśń o ziemi* nie jest jedynie opisem ziemi i mieszkańców zachodnich gubernji wielkiego imperjum, albo tych resztek poćwiertowanego ciała Polski, do których od dawna otwiera się moskiewska, niczem nie syta paszcza — oblizując się. Drugi, to jest sam autor, wymazywał skrupulatnie wszystko, co przypominało jego dawniejszą, goręcejszą miłość dla ludu, i najsłuszniej ob-

jawiającą się gorycz dla zgangrenowanej części naszej szlachty, i wszystko, co dawało jakąkolwiek negację.

Więc najprzód pan cenzor petersburski wymazał w samym wstępie strofę, kończącą się wykrzykiem: *Żyj narodzie!* Bo w wyobrażeniu Moskali; równie jak u Chińczyków, jest tylko jeden naród na całej ziemi, to jest: ich własny; reszta zamieszkałego świata to *terra incognita*, rojąca się motłochem barbarzyństwa, który wprawdzie często niegrzecznym się staje, burząc Kanton i Sebastopol, i podobnym jest do onych barbarzyńców, co lali się na dawną Romeę, równie zdrową jak dzisiejsza *święta*, prawosławna Roma północy, reprezentantka przyszłego *Królestwa Bożego* i inna na południu Roma mandaryńska tego królestwa niebieskiego, którem rządzi brat słońca.

Dwa te niewinne słowa: *Żyj narodzie!* zawierały aż dwa grzechy. Drugim grzechem jest wyraz *żyj!* W wielkim imperjum powinien żyć jeden tylko człowiek... człowiek?... Za to słowo dostałbym niezawodnie za rządów *niezabuwiennego* Mikołaja — knuty, gdybym miał szczęście rodzić się pod berłem *dziedzica tronu Jagiellonów*, *dziedzica ich myśli i miłości*, jak powiada wielki wieszcz, Antoni Edward Odyniec. Otóż w wielkim imperjum żyć powinna jedna tylko ta pomyłka pana Boga, co stała się człowiekiem, a nazywa się *samodzierczą*. Inne milionowe mrowie żyć nie ma prawa, ruszać się tylko może, kiedy *samodzierzca* każe; kto żyje, to *buntownik!*

Wymazał cenzor wiersz:

I tve dzieje, co się śćmiły...

Bo Polska została dopiero świetną pod rządami Romanówów. Nie rozumiem zaś, dla czego cenzor wymazał następujące wiersze:

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!

.....
Kto tam zgadnie, gdzie osiedziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz!
I od czyjej broni zginiesz?

Wszakże wszystkie te wyrazy są bardzo patrijotyczne! „Milczeć, cierpieć i wojować...” to hasło i zasługa każdego prawowiernego obywatela rosyjskiego. „Kto tam zgadnie, gdzie osiedziesz?...” Osiedziesz na Kamczatce! jeżeli car każe, wszak i to ziemia „przyszłego królestwa Bożego”. „W której stronie walczyć będziesz?...” Może nad Amurem, mniejsza o to. „I od czyjej broni zginiesz?...” Zapewne od broni tych „czerwonych djabłów”, z których jedni czerwoni są u spodu, a drudzy u góry.

Powiedziałem, że o ile duch się oczyszcza, o tyle wzmaga się skrupulatność jego sumienia. Sumienie cenzora petersburskiego, jako cenzora, należy niezawodnie do najskrupulatniejszych w całym imperjum. Zasługi jego w tym względzie są tak znakomite, iż chociaż nie chętnie wstawiam się za kim do wielkich panów, proszę niniejszem cesarza Wszech-Rosji, aby pana Д. Мацкевичъ (nie wiem jak się nazywa, bom nie umny) raczył podnieść do godności kawalera orderu św. Anny, najmniej

pierwszej klasy. Żadne oko ostrowidza nie było od stworzenia świata tak bystrem, jak oko tego zapoznanego cenzora. Fenomenalny ten człowiek nie tylko cenzuruje myśli i pojedyncze wyrazy, ale nawet — pojedyncze litery.

W Pieśni o ziemi naszej, w miejscu, gdzie mowa o Litwinach, przychodzi następujący ustęp:

A gdy w puszczy pociemnieje,
I miód stary pierś rozgrzeje:
To przybędzie i czułości,
Wówczas żywiej i myśl płonie,
A więc radzą o Koronie...

Za rządów niezabuwiennego Mikołaja, idąc za przypuszczeniem, że Pieśń o ziemi mogłaby być wydrukowaną — cenzor wymazałby niezawodnie obadwa ostatnie wiersze, bo żywiej płonąca myśl i każde radzenie sprzeciwiają się ustawom carskiego kodeksu, ale dziś, za rządów Aleksandra II, wolno już żywiej płonąć myśli, a nawet radzić. Łatwiej jest zgadnąć, w którym wyrazie cenzor dzisiejszy dopatrywał grzechu — naturalnie że w Koronie; ale nie zgadnie czytelnik, jak bez pomocy autora radzi sobie cenzor petersburski, aby Litwini nie radzili o Koronie. Dowcipni ci Moskale! Cenzor zmienił *K* na *k*, i tym sposobem został wilk syty i koza cała. Zmianą wielkości jednej pojedynczej litery przestali Litwini radzić o Polsce, a zaczęli radzić o Rosji. Pomimo jednak wyskoku tego rosyjskiego dowcipu cenzor miał niezawodnie noc bezsenną; niepokoił się tem: Litwini o Rosji radzą;... ale jak?

Z początkiem nowego działu Pieśni o ziemi naszej

przychodzi kilka zwrotek, gdzie autor, charakteryzując niektóre z ważniejszych miast polskich, wyprawia do nich patryjotycznego, z głębszą myślą pielgrzyma, i kończy pierwszą zwrotką wierszem:

„To jedź bracie do Krakowa —

drugą:

„To jedź bracie do Warszawy —

trzecią:

„Jedź bracie do Wilna.

Wszystkie te trzy zwrotki wymazał pan cenzor; nie pozwala on nikomu jechać ani do Krakowa, ani do Warszawy, ani do Wilna — ale do Paryża na karnawał, jak uczyniło po śmierci Mikołaja 80.000 mieszkańców Polski... w siej czas!...

Nie dziwi mię wcale, że z mowy o wołyńskiej Rusi wymazane zostały następujące wiersze:

„Smutna bywa ludu dola,
Bo pan twardy i niewola;
Nie pocieszyć się tem dobrem,
Kiedy praca lezie ziobrem...

.
I śród wioski niegrodzonej
W wiecznej żyje on tęsknicy...“

Bo zresztą nawet sam autor wykreśliłby przynajmniej wyraz: „pan twardy“. Ale nie pojmuję, dla czego cenzor wymazał dalsze cztery wiersze:

„Ruskie kawki i gawrony,
Gwarzą tłumnie na dzwonnicy;
Przy niej stoi dąb odwieczny,
Jak śród ludu kniaź bezpieczny.“

Wszak na Rusi muszą kiedy niekiedy siadać na dzwonnicy ruskie kawki i gawrony, i o ile się zdaje, pozwolonem jest w imperjum, stać staremu dębu przy dzwonnicy, i bezpiecznym się czuć, jak kniaziowi wśród ludu. O nieba! — więc cenzor, obznajomiony z dziejami Rosji, poważał się sądzić, że kniaź nie zawsze może być bezpiecznym?... Ah!... po takim maszynnictwie nie mogę już prosić cara o order dla cenzora, ale przeciwnie radzę, aby go skasował z urzędu.

Cenzor petersburski jest nawet poetą; umie dobierać rymy bez pomocy autora. W jednym miejscu zamiast braterstwa i swobody, położył braterstwa i zagrody.

Pięknie się znalazł, wymazując wiersze:

I dzisiejszych tych boleści,
I bezprawia i przyszłości...”

Ale znowu, co rzecz nie do pojęcia, z opisu Kijowa wykreślił:

„Tam złożone monastery,
A w nich Czerńce staro-wiery...”

jakby życzył sobie wypędzić z Kijowa Czerńców szymatycznych! A więc życzy sobie katolicyzmu, a tem samem katolickiej Polski!? Nie!.. To musi być niezawodnie nasz Walenrod!..

I już teraz doskonale rozumiemy, dla czego w dalszym ciągu pieśni o ziemi naszej nie pozwala cenzor, aby w Karpatach człowiek w swobodę wierzył; a dla czego wymazał wiersze:

„I z nieładu i z wolności!
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta krwi tej poświęceniem!”

I w innym miejscu :

„Złych sąsiadów“

Jak widzimy, cenzor petersburski obszedł się dość oględnie z powierzonym mu przez autora dziełem.

Autor Pieśni o ziemi naszej uczuł potrzebę przyłożyć swoją własną rękę do pokaleczenia swego dziecka. Więc najprzód wykreślił negacyjną swoją myśl :

„I nie jedno miłe zburzyć ,

A inaczej odbudować...“

bo tego nie mógł uczynić cenzor, on, który wie, że obecnie pod rządami nowego cara, nie jedno miłe się burzy i inaczej odbudowywa.

Również sam autor wymazał następujące cztery wiersze :

«Gdy widoku szukasz złota,

Patrz, gdzie nędza obok błota:

Gdzie człek żyje śród spodlenia,

Znajdziesz ducha poświęcenia!

A to dla tego, że pan Wincenty Pol przeniosłszy swoją miłość z ludu do wielkich panów, przy złocie już drugich znalazł poświęcenie, a u pierwszego błoto. Uczucie autora poszło na wywrót.

Wymazał także autor wiele z tego, co niekorzystnie cechowało wołyńskich magnatów, a oznajmiało nas z krwawą dolą biednego ludu, jako ich „dusz“ kupionych; więc zamiast wyrazów :

«Bo o świecie, krwawe życie!...

Nie usłyszy nikt już spiewki...“

położył autor :

«Bo o świecie inne życie!

I przy pracy inne spiewki.

Wykreślił wiersze o panach:

„Kiedy jedzą — to łakotki!

Kiedy biją — to na sotki!

A tak straszna jego wola,

Że nieposłuch chłopu trumną!

Czy według pana Wincentego Pola to, co na Wołyniu było prawdą przed kilkunastu laty, stało się dziś już fałszem?... Oby tak Bóg dał!... Ale nawet w razie poprawy wołyńskich panów nie powinien mieć być autor wolności usuwać kiedyś powiedzianej p r a w d y. Ona stać powinna jako przestroga dla późniejszych, jako wiszący bicz nad poprawionymi, aby tym widokiem upominać ławo mogących wrócić do swoich nałogów.

Autor z opisów magnackich dworów na Wołyniu wykreślił nawet następujące wiersze:

„Służ ba panu szczer ość kł a mie,

A o gł odzie, i po dobie,

Drzy przy koniu Kozak w bramie.“

Przypuściwszy nawet, że kozak nie drzy już obecnie przy bramie i syty jest i okryty dostatnim kożuchem wątpię, znając charakter naszego ludu, który łatwo się zraża, a nie łatwo wraca do raz straconej ufności, wątpię, aby służba dzisiejszego wołyńskiego magnata przestała już panu szczer ość kłamać.

Wyrzucił także autor cały zacytowany ustęp o podolskich półpankach:

„Bo wśród bożej tej krainy,

W tło narodu ćma się wprzegła,

Co z klęsk kraju się wylęgła;

Czeladź podła, wszemu krzywa,

Która wierzchem ludu pływa,
Jak nieczyste szumowiny!

Daj ją katu gospodyniu,
I to zboże czyść z kąkolą!
Gorszy, niż pan na Wołyniu,
Jest pół-panek na Podolu!

Wzrosli oni z ziemi naszej,
I rozbojem i kradzieżą,
Za plecyma naprzód Baszy —
A dźwignąwszy się łupieżą,
Z podstarościach na dziedzica,
By tumanem świat złudzili,
W carskie grafy się poszyli —
Resztę dała Targowica...

Że ich państwo nowej daty,
Więc co swoje, to im wadzi:
I pod lada stare graty,
Podszyćby się chętnie radzi!
A więc świecą blichтром, szumem,
Drżą przed ludem i rozumem,
I przed Bogiem i przed Wiarą,
Przed przyszłością i przed karą,
I na ich to kiedyś głowę,
Spadną grzechy zaborowe!

Chroń się, bracie ich widoku,
Bo nie miło cię poruszy;
Co u ciebie w sercu, w oku,
Nie powstało to w ich duszy!

Więc według autora czyż zniknąć już mieliby półpan-
kowie podolscy całkiem, bez śladu — jak kamfora?.. Gdzież

oni wywędrowali, w co się obrócili?... Bo magnat, noszący imię starożytne, łatwiej i rychlej może się poprawić — nie tak pół-panek, syn po największej części albo ekonoma-złodzieja, albo obrzydliwego sknery, albo ssącego lud tyрана, albo przebiegłego szachraja!... Bo ten potomek, wychowany na kluskach, nie łatwo rezygnuje z możliwości używania spadłego nań majątku. Pół roku temu poznałem przypadkiem takiego podolskiego półpanka. Wracał on, (źle mówię, nie wracał, ale jechał) jechał on z Paryża, gdzie stale od wielu lat zamieszkuje, jechał do kraju w jesieni, aby sprzedać zbiory i wrócić na zimę do Paryża. Nos jego trzymał się jeszcze jako tako, ale już go trądy podwazywały; kwaśny, mówiący po francuzku, znudzony już i Paryżem, lamentujący nad biednym naszym krajem, ale pod względem cywilizacji — ten człowiek nie miał jeszcze spełna lat czterdziestu!

Cały ten ustęp o podolskich półpankach wypuszczony został niezawodnie z woli autora. Cenzura rosyjska wymazałaby jedynie niektóre tylko wyrażenia, a z przyjemnością nawet podkreśliłaby równie przez autora nieco wyżej wyrzucony wyraz:

„Kiedy biją — to na sotki!”

Na samym końcu wyrzucił autor jeszcze te cztery wiersze:

„Gdyby wiarze pogębionej,
Traf szczęśliwy podał plecy
A tej szlachcie znarowionej,
Gdyby Bóg dał rozum kmiecy”.

Z tego wszystkiego widać, że pan Wincenty Pol, jak

powiada Janusz: „państwem się oparzył”. Dawniej niepodległy i śmiały — u „pańskiej bramy” drzy obecnie, jak ów kozak. Stał on się śpiewakiem „zmarowionej szlachty”, co mu schlebia, i śpiewakiem wołyńskich panów i podolskich półpanków, którzy go sadzają kiedy niekiedy przy swoim stole „u szarego końca...”, Janusz przy innym niegdyś zasiadał stole!

Widzicie, oto kraj nasz szeroki.
 Jak zastawiony dla gościa stół!
 Różnowzorowym kryty kobiercem;
 Na nim chleb biały i sól i miód!
 Jak siwy gazda z otwartym sercem,
 Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód,
 Puharem stoi jedno, drugie morze...

Mój Boże! mój Boże!...

Mój Boże, mój Boże!... co się stało z Janusza!...

Wydanie książki pod tytułem: *Pieśń o ziemi* uważam za najstraszniejszy grzech autora. Nic go uniewinnić nie może. Bez jego woli i wiedzy stać się to wydanie nie mogło — bo autor wiele w niem dorabiał i przerabiał. Powiedzą: Ale zostawił także dużo pięknych rzeczy, zostawił nawet kończącą pieśń modlitwę, pełną miłości dla ludu: O z tym ludem, ojców Boże! Odpowiadam: Cała *Pieśń o ziemi* naszej jest tylko wyrazem miłości dla ludu, więc autorowi już tylko należałoby wyprzeć się chyba całej książki! Powiedzą: Ależ autor za wydanie warszawskie nie wziął podobno żadnego wynagrodzenia, ale darował je panu Orgelbrandowi, skarżącemu się na poniesione straty na innych pismach autora; sami widzieliśmy, że w księdze kupieckiej pana Wincen-

tego Pola stoi w rubryce „Pieśń o ziemi” ten wyraz: darmo. Odpowiadam: tem gorzej!.. tem gorzej!... jeżeli pan Wincenty Pol, popełniając ten grzech, nie miał pieńiężnych celów, to widać, że oprócz mniejszego celu wynagrodzenia panu Orgelbrandowi straty, miał jeszcze inny cel wyższy, dla którego swój zysk poświęcił, a tym było: zanegowaniem swego dawniejszego natchnienia pochlebić się panom i półpankom, a co jeszcze ważniejsza, zaprzyjaźnić się z rządem moskiewskim. I nakoniec powiedzianoby może: Wszakże i wydawnictwo dzieł Mickiewicza pozwoliło na niewielkie pokaleczenie pana Tadeusza. Odpowiadam: Nasz wielki, jak świat, a czysty, jak łąza, Adam — obrócił się w tej chwili w swojej trumnie!..

XXXIII.

Dobiegam nareszcie do końca. Biegłem niezmeńczony, bo Bóg mnie umacniał. Nie straciłem oddechu, nie widać ognia na mej twarzy; zakończę ten artykuł z poważnym spokojem.

W jednym miesiącu przeżyłem cały żywot Wincentego Pola. Magnetycznie brałem w pierś moją wszystkie jego natchnienia i boleści. On może sam siebie tak nie zna, jak ja go znam — bom z miłością przystąpił do osądzenia jednego z mistrzów moich. Z głębi mego sumienia powtarzam raz jeszcze: z miłością sądziłem! Często moja gorycz, ironija i sarkazm niemiłosierny nie idą mi z serca, ale z uznania potrzeby; słodycz i grzeczność nasza gubią nas; sypię więc ognisty żar pod zmartwiałe

nogi cudze, ale sam moją bosą, czującą nogą stąpam po tym żarze i boli on mię żywiej, niż tamtych.

W drodze towarzyszyły mi blaski i zapachy ducha Januszowego i radowała się dusza moja; za zbłąkanym szedłem przez ciernie i skały, włóczyłem się za nim po przepaściach i moczarach — smutny.

Jak powiedziałem, nie jestem sędzią, ale prokuratorem narodu. Tego tytułu nikt mi nie dał i nikt mi nie odbierze. Ja oskarżam, naród niech sądzi. Przed jego powagą schyliam moje czoło, więcej przed nikim tu na tej ziemi.

Stojąc na mojej trybunie, streszczam się teraz i kończę tak:

1) Oskarżam Wincentego Pola najprzód o to, że w misji swojej nie wytrwał; że przeszedłszy, co mu pozwolonom było, od biednych i zapomnianych do bogatych i górujących, aby w tych drugich zaszczipać miłość dla pierwszych, prostować ich drogi, umacniać w wierze narodowej, karcieć jeźli potrzeba — Wincenty Pol przejął się przeciwnie ich narowami, schlebiał im nawet, ugrzązł w rzuconych mu kwiatach, przestał w sercu być żalobnym, przestał mówić zdrowiem (Oskarżony); zapomniał o misji swojej, a pamiętał o sobie, przestał kochać naród, a przedewszystkiem pokochał siebie, państwem się oparzył (Oskarżony), zapragnął wygody i dostatku; zaprzestał Bogu dziękować

... za to co z nieba,

«Bóg jedno daje, co świętsze od chleba». (Oskarżony)

i zapomniał o tem, że:

U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.» (Oskarżony.)

2) Oskarżam Wincentego Pola, że po tem odstępstwie, będąc srogo ukaranym przez Boga, bo ręką tego ludu, który on kochał i wyniósł na widownię narodową, nie uznał w tem kary Boga, nie ukorzył się przed nią, nie oczyścił się własną krwią wylaną, nie uznał zbrodniczej ręki ludu jako narzędzie dla spełnienia kary na sobie, nie szukał tam winnych, gdzie należało, ale jednostronnie potępił własnych — i nie przebaczył ludowi! On, co powiedział:

«To i we łzach się rozplynie,
I przebaczy, lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.»

3) Oskarżam Wincentego Pola, że w ogniu 1846, roku straciwszy wiarę, on co powiedział:

«Oj, zła to wiara, co się w ogniu mieni!»...
nie stracił przeto chęci przewodniczenia narodowi, a czując, że potrzebnej mu powagi z siebie samego już wydobyć nie może, nie szukał jej i nie pragnął zdobyć ją u własnego narodu, ale starał się o nią u nieprzyjaciół naszej sprawy; włączając się z nimi, nadskakując im nieraz, profanował godność swoją kapłańską dla zdobycia sobie stanowisk albo obcych, albo nieodpowiednich, albo za leniwych dla myśli narodowej.

4) Oskarżam Wincentego Pola, że przestawszy kochać i potępiwszy lud, bez miłości zaczął służyć «znarowionej» części naszej szlachty, on, co powiedział:

«I służyć nie lubię — nie dobrze jest służyć!»...

apoteozował najgorsze przywary szlacheckie, za które od całego wieku Bóg nas karze, apoteozował egoizm i brak serca dla rodziny w Przygodzie Winnickiego, pieczeniartwo i frymarkę dobrem publicznem w Sejmiku; z goryczą odzywał się kilkakrotnie w Drobnych poezjach o zniesionej pańszczyźnie, i nową przepaścią chciał oddzielić szlachtę od ludu; umacniał przeto wszelkie zła w misyjnej szlachecie naszej, lał oliwę na rany jej sumienia, odwoził ją od negacji, która jest naszą cnotą, obowiązkiem patriotyżmem. Sł u ż k o w a ł wielkim panom albo ludziom wielkiego imienia: apoteozował braci Czartoryskich, którzy trzema czynami rozgłosili dopiero swe imię w dziejach naszego narodu: pierwszym, obszerniejszem zaprowadzeniem stroju francuzkiego (Kitowicz), pierwszym sprowadzeniem Moskali w łono Rzeczypospolitej, jako jej protektorów, i osadzeniem na tronie Stanisława Augusta, jako jej pogrzebacza. Apoteozował nawet małego Woltera, biskupa Krasickiego; zaparł się własnego sądu o «wołyńskich panach», lud tyranizujących, a co więcej, pozwolił im nahajować nawet szlachećca, byle go potem wynagrodzić «pasem albo koniem»; stawiając więc z takimi przywilejami i wynosząc nad poziom szlachecki magnatów, tworzył nową przepaść, dzielącą ich od szlachty. Zaparł się nawet swego własnego sądu o «podolskich półpankach», tych synach ekonomicznych, bogacących jedynie kraj cukrowniami i pałacykami, a o których imionach sam Wincenty Pol powiedział w innem miejscu:

«Dawne, bo bez wyvodu — a świecą, bo ciemno!»

I tem samem ukorzył swego ducha przed złotem, byle jak nabytem, byle jak trwonionem.

5) Oskarżam Wincentego Pola, że w upadku będąc, niezadowolniony z samego siebie, bo grzeszny, odnosił wewnętrzny swój niepokój najniesprawiedliwiej do przyczyn zewnętrznych. Skarzył się gorzko na świat i na ludzi, obwinał wszystkich tylko nie siebie, on, co powiedział:

«I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie.»

Wyrzucał kochającemu i szczodremu dla siebie narodowi niewdzięczność, i skarzył się z osobistych swoich niesmaków, jakby jeden z nas bajroniczny w osmnastu leciech poeta; on, co jako Janusz młody, namiętny, rozkochany, umiał poświęcić nawet głos jednego z najpiękniejszych ludzkich uczuć: «miłości dla ócz anielskich» dla głosu wyrrywającego mu się żywiej z piersi, dla głosu: o ojczyźnie. Bo sam powiedział:

«Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,

Żale toną w głąb.

Mego serca pieśni własnej,

Śłucha tylko miesiąc jasny,

I stuletni dąb.»

I w innem miejscu:

«I ziemskie gorycze
Sam połknie w milczeniu;
A jasne oblicze
Wyświeci w natchnieniu.»

6) Oskarżam Wincentego Pola, że zwątpienie swoje indywidualne chciał przelać w cały naród; sam wątpiący obwinał wszystkich, którzy żyli wiarą i nadzieją; płynącym z prądem czasu stawiał tamy; bezwzględnie potępiał demokratyzm, który jest treścią nauki Chrystusowej; naigrawał się ze wszystkich pracowników około tej idei, każdemu bez wyjątku przypisując złą wiarę; nie pozwalał na żadne burzenie, sam nic nie budując, on co powiedział: «Trzeba będzie

I niejedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować.»

Wierzył w zbliżające się czasy Antychrysta, i kazał nam w bezczynności oczekiwać śmierci; bezczynność taką uważał za miłą Bogu:

«I rzekł w miłości i w ducha pokorze:
«Wracaj na puszcze, boś ty miły Bogu!»»

Sam mówiąc o sobie:

«Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu,
I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się i zabrał nareszcie do lasu.»

7) Oskarżam Wincentego Pola, że «nie zabrał się do lasu», sam czując, że nie «ma już nic ludziom do dania», i powiedziawszy raz:

«I biednym w sercu, a i w duchu tępy:»

nie milczał, ale pisał, pisał byle co, byle jak, dla autorskiego zysku, nie więcej, duch Janusza odzywał się często do niego: milcz!... duch zły perswadował mu płać! Bez wiary wmawiał w naród, że daje prawdę; bez natchnienia wmawiał w naród, że daje piękność.

Frymarczył poezją jak towarem; sprzedawał ducha! popchnął swoim przykładem wielu z młodszych, utalentowanych poetów na drogę takiej samej frymarki. Z poezji zrobił nierządnicę, ofiarującą się w wypłowiałej szacie byle za jaką nagrodą; i dał dziewiczej poezji, która stać powinna między ludźmi jak słup z czystego ognia i natelnionej wiedzy, dał jej, jak Anglicy mówią: *horizontal condition*, a przecież sam powiedział:

«I świstkami płacić każe:

Względy dzienne, chleb powszedni,

I gdzie zawsze to noc zmaże,

Co nakreślił dzień poprzedni!»

8) Oskarżam Wincentego Pola, że pchał budzący się naród w ramiona Moskwy; w zlaniu się z nią widział nasze zbawienie, z męczennicy chciał zrobić wieczną niewolnicę; ideę zaborczo-moskiewską postawił wyżej od idei Polski: cierpienia i poświęcenia. Żalobną, polską wdowę chciał powtórnie wydać za mąż za dzikiego Mongoła; jej sieroty oddawał w ręce takiego ojczyma!... On, co powiedział:

«. Wdowa!

Ale wdowę ucisnąć to więcej jak zbrodnia,

I już za życia w sercu piekielna pochodnia!»

9) Nakoniec oskarżam Wincentego Pola, że targnął się na naszą świętość narodową, na Pieśń o ziemi naszej do której, jak już raz powiedziałem, nie ma już więcej prawa; nie należy już ona do niego, bo stała się własnością narodu. Janusz nam tę pieśń wyśpiewał, mówię raz jeszcze: Pan Wincenty Pol nie ma do niej prawa!

Wyłożywszy te grzechy Wincentego Pola, jestem tego przekonania, iż one przyczyniły się najbardziej do zdemoralizowania się naszego kraju od lat kilkunastu.

Oskarżyłem!... Mam jednak obowiązek przytoczyć i to wszystko, co może umniejszyć winę oskarżonego.

1) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż nie wytrwał w kapłańskiej swojej misji — to, że powiedzianem jest: *„Duch wasz silny, ale ciało wasze słabe.”* Bo pokusy wielkiego świata nie łatwo dały się odepchnąć miękkiemu sercu Wincentego Pola, ognistej jego fantazji; bo go otoczono wonią kwiatów, blaskiem dyamentów, uśmiechem czarownych kobiet, pieczętą ich głosu; a woń taka odurza, a blask taki olśniewa, a uśmiech taki podbija, a głos taki przytępią słuch i czyni go drażliwym dla szorstkiego głosu prawdy.

2) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż nie przebaczył ludowi, to — że kochał on go jak nikt w kraju; bo on pierwszy wyprowadził go z zapomnianej chaty przed oczy narodu, i powiedział: *„Patrzcie, jaki czysty i piękny — kształćcie się według niego!..”* A część tego ludu zhańbiła się potem zbrodniczym czynem i zalała krwią te same kapłańskie usta, które głosiły cnoty tego ludu. On kochał ten lud nie ślepą miłością matki, ale trzeźwą miłością ojca, więc czem silniejszą była jego miłość dla dobrego tego dziecka, tem głębszy żal dla grzeszącego.

3) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż czepiał się ludzi wstrętnych i obcych narodowi — i schlebiał im często to że sam niezagojone nosząc rany, szpitalnej zapragnął ciszy, a czując się zdatniejszym od innych, chciał na

drodze urzędowej obsługiwać pokaleczonych braci. Sądząc według własnej, strasznie piekającej rany, chciał goić ranę narodową balsamem ukojenia, ciągnącą się oliwą długiej, a nieskutkującej rady, eterem, zanurzającym cierpiącego w bezwładność, a zapomniał o tem, że lepsi lekarze leczą niebezpieczne rany nożem i kauteryzacją. A że w staraniu się o ten urząd szpitalny nie zawsze był oględnym, i często sądzić było można, że powoduje nim „próżność z chęci przewodniczenia” — wybaczenie, bo któż na ślizkiej drodze nie upadnie czasem?... i któż z nas powiedzieć może: „Nie mam żadnej próżności w sobie!...”

4) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż schlebiał panom i szlachcie i apoteozował wszystkie nawet przywary naszej przeszłości narodowej — to, że obleśni są niektórzy panowie, układni w obec plebejusza, żartujący dopiero z niego za jego plecyma; karki takich giętkie, czoła wytarte, znajomość świata wielka; umieją uniżyć i ukorzyć się — gdzie trzeba, podleść — gdzie trzeba, ozłocić największe swoje zbrodnie — gdzie trzeba. A szlachta nasza szczerą, otwartą, serdeczną, zamąci głowę nie jednemu winem i pocałunkami. Cała wielkość ojczyzny spoczywa w jej łonie; nosi ona w sobie wszystkie jej cnoty i przywary bez samowiedzy o tem; sięga do swej piersi, i cokolwiek z niej wydobędzie, złoto — czy błoto, podnosi jako rzecz narodową, bo ślepo kocha swoją ojczyznę i pamięć o niej. A Wincenty Pol jest przedewszystkiem szlachcicem nie tylko każdym rysem swej pięknej twarzy, ale każdą kroplą krwi swojej, każdym uderzeniem

swego złotego, poczciwego serca. Więc i jego ciągle objawiające się niekonsekwencje, jako poety — przywarą są jedynie szlachecką — nie więcej.

5) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż śpiewał o sobie i skarżył się nad sobą — to, że on przedewszystkiem jest poetą lirycznym, a każdy taki poeta to wyśpiewuje, co mu leży na wierzchu serca. Wincenty Pol, dopokąd był Januszem, miał na wierzchu serca: ojczyznę, a pod nią dopiero miłość dla siebie. Wincenty Pol, straciwszy wiarę w ojczyznę, zepchnąwszy ją z najwyższego szczebla swoich uczuć — zaczął śpiewać o sobie.

6) Umniejsza tem samem winę Wincentego Pola, iż dawał innym zwątpienie — to, że sam wątpiąc, nie mógł dawać wiary. Śpiewał zwątpienie, bo jak każdy prawdziwy poeta był szczerym; nie przestał śpiewać, bo pieśń dla poety staje się nałogiem, jak dla innych wino.

7) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż frymarczył bożym swoim darem; bo w dzisiejszym świecie, pokusy złota silniejszymi są nawet od pokus kadzideł. Wincenty Pol był zawsze ubogim, a lubiał, jak każdy poeta otaczać się pięknocią i wygodą, a przy tem jak każdy poeta nie zawsze umiał być rachunkowym. Wincenty Pol miał liczną rodzinę, którą kochał, liczniejszych przyjaciół, którym często dopomagał, zapominając nieraz o własnych potrzebach. Serce u niego bije zawsze głośno, gorąco, litośnie; ręka idzie za sercem i wyrzuca z kieszeni ostatni nieraz swój grosz wdowi. A tymczasem większa część naszych księgarzy, podobną jest do onych obleśnych panów; umieją oni wyprosić, wyłudzić, namówić na co potrze-

ba. Nie każdemu poecie danem jest, otoczyć się katolickim cierniem przed panami i księżarzami.

8) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż oddawał nas w ręce Moskali — to, że nad zwiechniętym jego charakterem góruje zawsze u niego olbrzymia, łatwo zapalająca się fantazja wielkiego poety, która ozłaca wszystko, cze-gokolwiek się dotknie. W patriotyzm Wincentego Pola, w jego polskość, nigdy nie wątpiłem, i nikomu wątpić nie wolno.

9) Umniejsza winę Wincentego Pola, iż pozwolił na wydrukowanie Pieśni o ziemi — to, że sam nie czuł doniosłości tego grzechu. Bo powiedziałem już kilka razy, że skrupulatność sumienia stosuje się do wysokości ducha — a duch Wincentego Pola jest w upadku.

Umniejsza winę Wincentego Pola jeszcze to, że wielu złych, głupich albo nieudolnych ludzi, czy to między literatami, czy między szlachtą, starają się o to usilnie, aby go utrzymać na drodze błędu. Podli!... sami nie mający siły ani ockoty podnieść się z grzechów, zdaje im się, że umniejszą ich wagę, jeżeli będą mogli powiedzieć: „Wszak i Wincenty Pol tak robi, wszak i Wincenty Pol tak mówi.” Podpierają się i zasłaniają tym znakomitym człowiekiem, któremu grzechy nie wydobyły się z trzeźwej, logicznej konsekwencji próżności i samolubstwa, jak u wielu jego faryzeuszowskich wielbicieli. Plotkarze, znoszają oni Wincentemu Polowi różne wiadomości, które posłużyć mogą do ich własnych celów, jeżeli przejdą przez gorejącą i złocącą wszystko fantazję wielkiego poety. Schlebują mu więc, uspakajają, łagodzą budzące się w

nim wyrzuty sumienia, bo im się zdaje, że zniżając ducha Wincentego Pola, ich własny wyda się przeto większym. Karły! obalają olbrzyna na ziemię i cieszą się, że mu dorosli! Piersz leżącego tego olbrzyna wyżej się jednak wznosi nie tylko nad miejsce, gdzie serce być powinno u was stojących, ale nawet wyżej głów waszych!

Umnieszka winę Wincentego Pola jeszcze to, że dotychczasowa nasza krytyka, z małemi wyjątkami, była jedynie dziennikarskim fabrykatem ludzi nieszczerych albo nieudolnych. Dzienniki nasze po większej części nie kierowały opinią, ale schlebiali jej dla zyskania sobie większej ilości prenumeratorów. Z tego względu nikt prawie nie odważał się stanąć przeciw płynącej wodzie, wszyscy płynęli z falą i za falą, obojętnie patrząc na głowy tonących, obojętni na bliską metę, za którą woda, spadając kataraktą, rozbija się o skały. Sami, trzymani na powierzchni wody pęcherzami swojej literackiej nadętości, zagrzewali jeszcze innych: »Garnijcie się około nas, mili prenumeratorowie, płynmy razem a wesoło! ale prenumerujcie, prenumerujcie! A z cicha szeptali sobie: »Na łódkę Charcna może im grosza wystarczy jeszcze! My nie utoniemy, bo nas pęcherze trzymają, i ze spadającą wodą nie rozbijem się o skały, bo wiemy o miejscu tego ludospadu, i zatrzymamy się w porę.«

Wincenty Pol nie usłyszał dotąd od nikogo ani jednego słowa przestrogi; chwalono mu wszystko, zachęcano do coraz płodniejszego tworzenia; tamci nikczemnicy dla własnych swoich widoków; szczeri przyjaciele przez serwilizm, ten straszny, obecny nasz grzech narodowy.

Czy był naprzykład sens, czy była w tem sumiennosc redaktora Czytelnicy dla mlodziezy, wypraszac od przygniecionego na chwile Wincentego Pola glupi pochwalny wierszyk, jakiejś upitej kobieciny, i drukowac go, jakby dla rehabilitacji Wincentego Pola?... I Wincenty Pol ugiął sie przed prosba i mądra perswazja niedowarzonego studenta!

Nakoniec umniejsza wine Wincentego Pola jeszcze to, ze nalezac do rzędu wielkich poetów, a celujac między nimi gorejącą miłością, stał sie przeto niecierpliwym i łatwiej od innych podpadał zwątpieniu. A czujac sie zwątpiałym, czuje sie nieszczęśliwym; pragnie i wzdycha za wiara; chciałby sie podnieść, ale nie ufa siłom swoim. Przed ludźmi on niby spokojny, pewny siebie i hardy, ale nie jedna cisza nocna słyszy jęk jego duszy, gwiazdy przegladaja sie we łzach jego oczu. Wart więc przebaczenia — bo cierpi!

Prześliczna jest jego spowiedź: **Makowe ziarnko**; spowiedź ta smutnego, grzesznego anioła, brzmi tak:

„Szeroko sięgał mój umysł za młodu; wiele miłości i wiele pogardy płynęło mi przez duszę, a trudno było o miarę; więc miłość stała się dla mnie chłostą, a moje cnoty były mi karą. O, praca ducha — to wielka tortura! Często ogarniało mnie zwątpienie i chwiały się nogi w podróży; więc ustawałem dla odpocznienia. A zmęczony będąc i złamany, skarżyłem się niebu: Za co mi taki żywot padł na ziemi?! Nie lepiejż mi było z mojem sercem cichem i skromnem żyć nieznany a szczęśliwy? I w takim zadumaniu zbiegała mi noc bezsenna. Ale

nad ranem pierwszy promień jutrzeńki był mi jak ręka ojca, budzącego swoje kochane dziecko; ze snu smutnej zadumy wstawałem rzeźwy i silny; obmywszy się rosą byłem jakby po chrzcie nowym. I znów mówiłem: Dalej za lepszymi, dźwigaj się duchu przez Chrystusa rany! I znowu brałem mój kostur do ręki — i szedłem dalej.

• Nie szedłem drogą wielką, którądy tłum chadza, bo była ona złą i marną, a małe ścieżki wydały się ciasne dla mojego ducha; więc torowałem sobie moją drogę osobną, własnem mojem ciałem przecinałem zarośla, i często kaleczyłem się cierniem — szedłem samotny i bolejący a szedłem pełen otuchy, bom torował nową drogę dla narodu mego!

• Nieraz mignął mi z gęstwiny wdzięk twarzy niewieściej, i wtedy rzekłem sobie: Nie dla mnie ten uśmiech błogi; ja kocham naród i nie pragnę już innej miłości! Nieraz zajrzałem wznoszący się dym z pod eichej strzechy; tam mieszkają ludzie spokoju i błogosławieństwa, i mówiłem sobie: Moja ojczyzna bez domu, toż i ja własnej chaty mieć nie chcę! Widziałem nieraz z daleka, jako inni bracia rośli w szczęście i dostatki, i rzekłem w duchu: Jam ubogi, a nie zazdroszczę im! I widziałem także, stojąc w mym cieniu na stronie, jako innych uwieńczała sława, i mówiłem: Jam nie głodzien sławy, kiedy mój naród w poniżeniu! I wchodząc w siebie tak mówiłem w końcu:

• Królestwo moje nie jest z tego świata,
I wielkość u nas jeszcze nie na dobie,

I niechaj szczęście wybranych oplata...
 Dla czystej sławy nie ma jeszcze pola!
 W cichości serca trzeba się sposobić,
 Wprzód urosć musi i praca i wola.
 Trzeba odkupić — stracone odrobić...
 A jeśli takie są wyroki Boże,
 To ktoś tam kiedyś na tem urosć może,
 I cichy sercem w równej ziemi siedzie,
 I wielką władzę odziedziczą prości;
 Ktoś tam szczęśliwym — ktoś i sławnym będzie,
 A niezłamany urosnie w wielkości.
 I będą kiedyś, o będą tam tacy,
 Choć nam padł żywot «w pracy i bez płacy.»

•Wiedziałem o tem, że bez miłości wszelka sprawa
 marna. Więc pomimo tego, iż szedłem bez opatrzenia i
 bez towarzyszy, obudziłem na samotnej mej drodze wiel-
 ką, nieznaną prawie w onym czasie miłość dla całego
 mego narodu.

•I już tą miłością wszystko do mnie przemawiało:

«A więc pytałem źródeł, idąc krajem:
 Zkąd się to tyle czystej wody bierze?
 I komu czyste niesiecie w ofierze? —
 I rzekły do mnie: «kochaj, bo my dajem!»

Kochaj lud! bo to źródło, to jego chrzcielnica i kąpiel
 i puhar!

•Pytałem lasów starodawnych w ciszy:
 Co w waszym cieniu tak uroczu dyszy?
 I rzekły do mnie: my rośniem w miłości!
 Kochaj — bo w niebo wierzchołek się prości...•

Kochaj szlachtę!... bo ona podobna do drzew, stoją-

cych między trawą ludu, i z nas drzew na obronę tych traw ciosały się lance.

•Pytałem łąnów: kto wam gospodynim?

I kto napęlnia ziarnem wasze kłosy?

I rzekły do mnie: «łaska Bożej rosy!

Kochaj tą falą, bo miłością płyniem!» —

Kochaj całą polską ziemię, co żywi twój naród i obcych!

•Pytałem mogił nocami całemi:

Komu świadczycie, gdzie już zrosło ciernie?...

I rzekły do mnie: «I niebu i ziemi!

Kochaj i przyświadc, bo my świadcym wiernie.»

Kochaj przeszłość narodową!... bo ona była słońcem na ciemnem sklepieniu dziejów tego świata, co chociaż na krótką noc zaszło, na nowo wstaje, jak jutrzienka!

•Pytałem łąki pokoszonej rosą:

Czemu skoszona taki zapach roni?

I rzekła do mnie: «to dech rajskiej woni!

Kochaj, bo wonne, co padło pod kosą!»

Kochaj mękę obecnych walk naszych!... bo z niej nowe życie się narodzi!...

•Pytałem nieraz tej pajęczej siatki:

Po co osnowa takim srebrem ściernie?

I rzekła do mnie: «bom wdzięczna dla matki,

Kochaj i snowaj, bo ja snuję wiernie!»

Kochaj pieśń swoją!... choćby ją wiatr stargał i padała na serca, jak ścierń pożółkłe i martwe!

•I rzek pytałem: gdzie to tak płyniecie?

I rzekły do mnie: «na gościnne bramy!

Na wsie i grody po ojczystym świecie,

Więc płyn i kochaj — bo znane Kochamy!»

Kochaj i wierz w przyszłość twego narodu!... bo za-
prawdę, jako one rzeki, popłynie on przez świat z bło-
gosławieństwem dla świata!...

«Toć ośmielony w końcu temi głosy,
Do chat zmierzałem przez wonne pokosy,
A były gęsto nasiadłe osady,
I ciche strzechy za dobrimi sady.

W Bogum pozdrowił — a gazdowie na to:

«Kochaj i zasiądź — bo w ziemi bogato!»

•Wróciłem z mojej podróży, przeciąwszy własną pracą
otwartą drogę do chat ludu zapomnianego. A gdy z tą
wieścią o odszukany skarbie stanął przed narodem i zło-
żyłem mu z miłością wszystko, com wziął po duchu i
wiośnie, zdawało mi się, że brał on inaczej, niż ja da-
wałem, i że została zapoznaną miłość moja, i zdawało
mi się, żem usłyszał przebiegający szmer po niechętnych
ustach: «Za co on tak kocha!»

•Więc porwałem się, i powiedziałem sobie: Pójdę sam,
pójdę prosto, jak szermierz Boży do wielkiego celu! Ale
ów głos ironii biegł w ślady za mną i mącił mi głowę
i tumaniał oczy, straciłem miłość — i zbłąkałem się.

•I spostrzegłem:

. . . . „żem z próżną nosił się mozołą:

Bo to nie kolej szerokiego szlaku,

Bo to nie droga — ale błędne koło,

I wiecznie jedno w zakętym deptaku“....

•I usłyszałem wtenczas głos z nieba:

. kochać to nie dosyć!

Kto chce miłować, musi krzyż ponosić,

W ramionach krzyża tylko jest zbawienie:

Jednym cierpliwość — drugim przebaczenie.“

„Ale cóż ja teraz pocznę o Panie! kiedy wszystkie moje uczucia zmały mi w sercu, zwątpiałem na makowe ziarnko. Wprawdzie żywił w niem

„Wszystkie miłości i wszystkie boleści,
I cała przeszłość i cała robota,
Dziejów i ziemi, ducha i żywota“...

ale i to wszystko drobniej mi z każdą chwilą więcej, i coraz mniejszą odmierza się miarką.

«Otóż z tem ziarnkiem, cóż ja panie zrobię?
Czy go zdać ziemi na twe święte Imię,
Niech jako ziarno posiewu tam drzymię?
Czy po mej stracie złożyć go na grobie,
W którym się wszystko, com ja kochał mieści,
I gdzie pogrzebał wszystko krom boleści?
Czyli Cię prosić, byś to ziarnko zmienił
W jedno westchnienie — a to byś ocenił,
W chwili skonanania — w chwili twego sądu,
Gdy się dozwolisz dobić już do ładu? — ? —

Januszu!... Siewaczu dobry!... obudź dawną miłość swoją i wiarę — i z wiarą i z miłością rzuć to drobne, makowe ziarnko w ziemię swoją ojczystą! Nie lękaj się! nie zadrzymie ono w tej ziemi — czujną ona jest i płodną! Makowe twoje ziarnko wnet wypędzi pod słońce w kwiaty białe i amarantowe, i utworzą się z nich w czasie żniwa prac naszych trzy owoce, rojne wewnątrz tysiącami ziarn, stojąca na jednej łodydze!

Taką jest spowiedź Wincentego Pola. Przekonywa nas ona, że w jego duchu drzymią tylko wszystkie jego cnoty i wielkości.

Przez wzgląd dla nich;

przez wzgląd na moją obronę, umniejszającą winy Wincentego Pola;

przez wzgląd na dawne dobre czyny Janusza, nieoceanionych korzyści dla narodu;

przez wzgląd, że miarą zwyczajną nie można nam mierzyć żywotu i czynów znakomitych ludzi;

przez wzgląd, że u poety natury Wincentego Pola częściej niż duch, gorąca tylko fantazja grzeszy;

w imieniu krwi wylanej dla sprawy ojczystej na polach Litwy i Korony;

w imieniu tego ludu, którego Janusz wyprowadził z chat zapomnianych, uczył jego cnoty, otoczył miłością, podniósł do godności pieśni, zбоgacił nim naród;

w imieniu przeszłości narodowej, którą oskarżony ślepo i namiętnie kocha, i umiał z niej wyprowadzić postać Mohorta:

Kłonie się przed narodem, i proszę dla oskarżonego o przebaczenie!

Na zapytanie oskarżonego:

«A życie moje, wszak stanie za grzechy?»

Odpowiedz narodzie, odpowiedz:

«Stanie, mój Ojczy, jak Bóg żywy stanie.»

Przebac! ale pod warunkami:

Aby Wincenty Pol dał nam nową edycję Pieśni Janusza, Obrazów z życia i podróży i Pieśni o ziemi naszej — i wydrukował wszystko inne dobre i przydatne dla nas, chowane dotąd w swej tece.

Aby oczyścił późniejsze swoje prace ze wszystkiego,

co złem i wstrętnem jest dla narodu, i w takim oczyszczeniu wydał je powtórnie.

Sam zaś od siebie ośmielam się podać Wincentemu Polowi następującą radę:

Zaden z naszych poetów nie kocha tak natury, jak ty, mój mistrzu! I żaden z nich nie umiał jej tak śledzić, wykrywać jej piękności i malować wszystkimi barwami słowa, jak ty mój mistrzu! W Drobnych twoich poezjach gdziekolwiek otarłeś się o naturę, czystiejszym się stałeś; z prostotą dziecka, z potęgą wielkiego poety umiałeś ją pojąć i wyśpiewać.

Pójdź jeszcze raz w góry mój Januszu, tam gdzie bole serca mniejsze.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu —
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech

I znajdziesz tam lekarstwo dla siebie, bo:

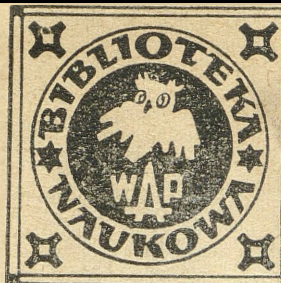
„Jest tam zioło i od kochania
I od gryzienia we wnętrzu.“

A chodząc po górach, wstąpisz zapewne do chat góralskich; mieszkańcy ich poznają twoją twarz natchnioną, którą już dziś siwe włosy otoczyły; a ci, co zostali jeszcze na ziemi, postarzelisi mocno, ci powitają cię z młodością uczucia.

„I stanie się radość i wielkie wesele,
I zmieni się dzionek powszedni w niedzielę,
I w całej wsi będzie pod wieczór już święto,
Bo znowu Janusza podjęto.

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

Nf



36232/

/2